



ARCHIWUM  
LEGIONÓW  
i N. K. N.

Nr 438

leg. 378

Z KOSSAK



# WSPOMNIENIA WOJENNE



438

lg 378

TADEUSZ KOSSAK  
MAJOR W. P.

# WSPOMNIENIA WOJENNE

(1918—1920)



KRAKÓW 1925  
NAKŁADEM KRAKOWSKIEJ SPÓŁKI WYDAWNICZEJ

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI



*GENERAŁOWI*  
*STANISŁAWOWI HR. SZEPTYCKIEMU*

*W DOWÓD NAJGŁĘBSZEGO RESPEKTU ŻOŁNIERSKIEGO*

*PRACĘ MOJĄ DEDYKUJĘ*

*TADEUSZ KOSSAK*  
*MAJOR W. P. w r.*



## SŁUŻBA W PIERWSZYM KORPUŚIE

Sformowany w jesieni 1917 r. 2-gi pułk ułanów, mający stanowić wraz z 1-szym pułkiem, »krechowickim«, i 3-cim pułkiem tejże broni przepyszną brygadę jazdy I-go korpusu generała Dowbora Muśnickiego, — wyruszył w pierwszych dniach marca 1918 r. z Antonin, miejsca swego powstania, do Bobrujska, gdzie stał I-szy korpus. Od paru miesięcy miałem zaszczyt należeć do grona oficerów tego pułku w randze porucznika, której dosłużyłem się zamłodu w służbie austriackiej. — Pierwszym naszym dowódcą był pułkownik Stefan Suszyński, prawy żołnierz, o wysokiej kulturze i gorącym sercu. Na krótko jednak przed opuszczeniem Antonin otrzymał on od gen. Dowbora rozkaz objęcia dowództwa brygady jazdy w Bobrujsku. Wiadomość o awansie przywiózł rotmistrz Waraksiewicz, dzielny Polak i żołnierz, który miał zarazem przejąć dowództwo 2-go pułku. Żegnany z wielkim żalem przez wszystkich oficerów i żołnierzy, pułkownik Suszyński odjechał na nowe, wyższe stanowisko, a rotmistrz Waraksiewicz objął ów śliczny oddział jazdy wraz z plutonem artylerji konnej, i poprowadził go ku Bobrujskowi.

Przeszło 500 wiorst marszu miał pułk przed sobą. Długa, dwutygodniowa przeprawa przez Szepetówkę, Korosteń, Kalinkowicze, Złobin, była jedną ustawiczną walką z bolszewicko-ukraińską czernią, nienawidzącą »pańskiego« wojska, — pełna potyczek, zasadzek urządzanych przeciwko



ułanom przez byłych żołnierzy rosyjskich, którzy wróciwszy do swoich gospodarstw na Rusi z bronią i zapasami amunicji, robili z każdej wsi samodzielną republikę i doskonale uzbrojoną forteczkę zarazem. Niejeden z ułanów został wówczas w bestjański sposób zamordowany, o ile jechał sam z rozkazem, lub jako szpica. Nie żartowali też i nasi. Zemsta i kara szły w ślad za morderstwem, a wzajemna nienawiść doszła wtenczas do szczytu.

W marcu więc 1918 r. prowadził rotmistrz Waraksiewicz pyszny ten oddział w daleką drogę. Ja sam, z powodu zranionej nogi, a przytem i dlatego, że znałem dobrze niemiecki język, niezbędny przy pertraktacjach, zostałem wraz z dwoma jeszcze oficerami i setką ułanów odkomenderowany do odprowadzenia kolejną taboru pułkowego. Tabor to był nielada: zboże, mąka, amunicja, broń, dwa pancerne automobile, zdobyte w ciągu zimy na bolszewikach, i t. p. Wszystko to miało samo przez się ogromną wartość, a dla pułku, stanowiło niemal podstawę dalszej egzystencji.

W chwili kiedy się nasza podróż zaczynała, przez rozległe przestrzenie Ukrainy dążyło do Bobrujska sporo jeszcze mniejszych i większych oddziałów polskich. (O niestrudzony żołnierzu polski! — gdzie ciebie wtenczas nie było?!) Pomimo nowych rozkazów naczelnego wodza bolszewickiej armji, praporszczyka Krylenki, znanego ongiś w Lublinie brudasa i błazna, — rozkazów wypowiadających wojnę wszystkim formacjom polskim, jako »antydemokratycznym«, »kontrrewolucyjnym«, — przebijiała się przez morze bolszewickie dywizja gen. Iwaszkiewicza, robiąc 600 wiorst pieszego marszu z Jelni do Bobrujska: Prowadził z Odessy śliczny szwadron ułanów rotm. Plisowski; — ogromny transport broni i amunicji przeprowadził cudownie kolejną z Krzemieńca do Bobrujska ppułk. Chromiński; — ku Bobrujskowi dążyła



druga brygada gen. Hallera, zatrzymana pod Kaniowem. Część innych oddziałów polskich, kręcących się na Ukrainie, rozbijali już Niemcy lub Austriacy; niektóre zostały rozbite wśród klęski i rzezi, jak n. p. nieszczęsny oddział pułk. Kuncmana pod Niemirowem. Agitacja wywrotowa, nietylko ze strony żydów-bolszewików i Moskali, ale niestety i ze strony polskiej lewicy, wpływała deprymująco na umysły i poczucie narodowe wielu zwolnionych z rosyjskiego wojska żołnierzy Polaków, a całe postępowanie niemieckich władz wojskowych w stosunku do formacyj polskich było coraz bardziej niejasne i podejrzane.

W tym to czasie bogaty nasz tabor dojechać miał do Bobrujska. Zadanie nie było wcale łatwe: Z jednej strony »przyjaciele« (!) Niemcy podejrzliwie patrzyli na zasoby wojenne, które transport zawierał, z drugiej strony ukraińska hołota nie chciała wypuścić tak cennego na przednowku, ogromnego zapasu owsa, jęczmienia, pszenicy, maki, słoniny i t. d. Niemcy opóźniali wydanie potrzebnych wagonów, ukraińskie »sielskie komitety« wytaczały pretensje o owies i jęczmień, jako potrzebne do siewu. Z każdym dniem rosły apetyty jednych i drugich, a telegramy do władz niemieckich zostawały przeważnie bez odpowiedzi. Poszedłszy wkońcu »po rozum do głowy«, urządziliśmy z kolegami pijatykę dla Ukraińców i Niemców, a otrzymawszy od spitych pozwolenie i wagony, ładowaliśmy gorączkowo dzień i noc nasz tabor. Nareszcie! Transport z 60 wagonów gotowy, lokomotywa pod parą, zbiórka przed dworcem; krótka modlitwa, pożegnanie się z Antoninami, z bliskimi, — i jazda w daleką drogę...

Nie był to jednak koniec trudności, bo na najbliższej większej stacji, Szepetówce, Niemcy zatrzymali nas, chcąc zabrać zapasy, twierdząc, że w umowie między gen. Dowbo-rem a Dowództwem »Ober-Ostu« jest tylko mowa o prze-

wozie żołnierzy, broni i koni, ale o zbożu, mące i słońnie niema wzmianki. Szczęściem, dowodzący w Szepetówce pułkownik niemiecki, wziął mnie za brata mego, Wojciecha (który znany mu był swojego czasu w Berlinie jako *persona gratissima* cesarza Wilhelma), i to niespodziewane *qui pro quo* ułatwiło nam nadzwyczajnie wydobyć się z pośród Scylli i Charybdy. Po dwóch dniach postoju w Szepetówce ruszyliśmy z zapasami dalej, na Zdobunów, Zwiabel, Korosteń, Kalinkowicze. Jeszcze raz, w Homlu, mieliśmy moment krytyczny, ale w tym wypadku zdecydowana postawa naszych stu ułanów, gotowych do bitwy w obronie transportu, uratowały sytuację, i przejechawszy nareszcie pod Złobinem przez Dniepr, zobaczyliśmy pierwsze polskie posterunki na moście. Okrzyki radości z jednej i drugiej strony i śpiewy witały nas na terenie polskiej okupacji na Białej Rusi. Ze Złobina, bez żadnych już przeszkód, doprowadziliśmy transport do Bobrujska. Rótmistrz S., oficer gospodarczy 2-go pułku ułanów (*de mortuis aut bene, aut nihil*), pozostał z taborem, ja zaś śpieszyłem jak najprędzej do stojącego w okolicy pułku.

Miasto Bobrujsk, takie sobie rosyjskie miasteczko, dość porządne, prawie niezniszczone, pełne było wówczas wojskowych polskich i inteligencji polskiej; — forteca Bobrujsk, punkt obronny starego autoramentu, mogła mieć jakąś wartość i znaczenie strategiczne za Napoleona I-go, albo w 31 roku, ale teraz — jeden, drugi i trzeci ekrazytowy pocisk rozwaliby tę »fortecę« w przeciągu kwadransa. Niemniej był to dla I-go korpusu poważny punkt oparcia, gdyż koszar, stajen i różnych magazynów było wiele i porządných.

W chwili, kiedy 2-gi pułk ułanów przymaszerował na Białoruś z odległego południowego Wołynia, sytuacja polityczna nie była wesołą. Z jednej strony władza bolszewicka, czyli rozmaite żydki: Miasnikow, Tomaszunas, Łachman,



Kałmanowicz i t. p.; a z drugiej strony lewica polska, której reprezentanci żądali »demokratycznej armji« i »rewolucyjnych czynów«, t. j. wypędzenia oficerów i dowódców. — wypowiedziały wojsku polskiemu wojnę na noże. — Gdzie i jak można było, szkodzono wojsku polskiemu: wykolejano pociągi i w wywróconych wagonach mordowano żołnierzy Polaków. Tak pod Mińskiem zniszczono 5-ty pułk piechoty; zginęło wielu żołnierzy wraz z dowódcą, dzielnym pułk. Maciejewskim. Pod Witebskiem ucierpiał mocno dywizjon ciężkiej artylerji polskiej, tracąc wielu żołnierzy i rannych; w Tiekińcu złapała dzicz bolszewicka cały oddział Czerwonego Krzyża i wymordowała co do jednego wszystkich lekarzy i sanitariuszów. Ułańskie pułki były postrachem bolszewickiej czerni i dowodzących nią żydów, a zarazem przedmiotem największej nienawiści i nagonki.

Równocześnie coraz wyraźniej zarysowywała się niechęć Niemców do wojska polskiego. Od połowy kwietnia czuć było w atmosferze gromadzącą się elektryczność. Stojąc z 2-gim pułkiem ułanów daleko od sztabu naszego korpusu, na zachodniej granicy naszego terenu okupacyjnego, w miejscowości Urzecz, o 20 wiorst na wschód od Słucka, mało wiedzieliśmy, co się właściwie dzieje. Dochodziły nas wieści o złej woli Niemców, o ciężkiej sytuacji Rady Regencyjnej i t. d., nie braliśmy tego jednak zbyt do serca. Nadszedł dzień 3-ci maja i uroczysty obchód rocznicy konstytucji we wszystkich polskich garnizonach. Rotmistrz Waraksiewicz i ja byliśmy delegowani na tę uroczystość do Bobrujska. Niezapomniany to dla każdego Dowborczyka dzień apoteozy tego ślicznego korpusu, jeden z ostatnich dni jasných przed tragicznym rozwiązaniem. Ze wszystkich oddziałów zjechały mniej lub więcej liczne delegacje, a że w samym Bobrujsku stał silny garnizon, wzięło więc udział w tej



rewji około 20.000 wojska polskiego. Piechota, artylerja, jazda, oddziały techniczne, awiacja, — wszystko w wyborowym stanie, doskonale uzbrojone i wyekwipowane, defilowało przed generalicją, w grupie której widziało się prócz dowódcy, gen. Dowbor Muśnickiego, jenerałów: Iwaszkiewicza, Odyńca, Ostapowicza, — pułkowników: Rodziewicza, Łempickiego, Suszyńskiego, Jazwińskiego, i wielu innych.

Wkrótce potem, bo już w połowie maja, zaczęły i do Urzecza dochodzić niepokojące wiadomości, że Niemcy coś przeciw nam szykują. Nie chcieliśmy pogłoskom tym wierzyć, tem bardziej, że niemiecki oficer łącznikowy, przydzielony do sztabu pułku, niejaki leitnant Bischof, przychodził po staremu do nas na obiady i kolacje, i tak jak zawsze spotykał się ze mną codzień o 5-ej godzinie popołudniu na stacji Urzecze, dla przyjmowania raportów o tem, co się dzieje na linji kolejowej Słuck—Urzecze, Stare Drogi—Osipowicze. Na każdej bowiem stacji kolejowej znajdował się wojskowy posterunek polski i niemiecki, — przysłowiowe pilnowanie szperki przez psa i kota. My dwaj — por. Bischof z polecenia swojej władzy, ja z polecenia mojej — mieliśmy przyjmować raporty i załatwiać je, albo przesyłać do wyższej instancji.

Raporty o zajściach na linji były przeważnie na temat kradzieży (ja to nazywałem »zdobyczą wojenną«), popełnianych przez naszych chłopców na szkodę Niemców. Ciężka »landwera« badeńska, z fajkami w pyskach, obfitująca w cygara, papierosy, wódki, wina i t. p., których nasi spryciarze nie mieli, — nie potrafiła uchronić się od rozmaitych konceptów, na które wysilali się nasi chłopcy, aby tylko uszczknąć coś z tych skarbów.

Bywały jednak i sprawy »poważniejsze«. Pewnego razu objeżdżał tę linję gruby major pruski i na stacji Osipowicze poczuł się dotkniętym, że polski komendant stacji nie oddał

mu honorów. Porucznik ten, zainterpelowany za pośrednictwem tłumacza, odrzekł, że Niemiec tu gościem, a on gospodarzem, zatem Niemiec powinien uklonić się pierwszy, — a gdy rozmowa (zawsze przez tłumacza) zaczęła być gorąca, zakończył dysputę nieśmiertelnym wyrazem *Cambronne'a*. Major, wściekły, zatelegrafował do *Ober-Ost-Kommando* po oddział, by cały posterunek polski aresztować, — oparło się to o mnie, bo Bischof, który towarzyszył majorowi, wziął tę sprawę bardzo do serca. Jakoś się to wkońcu załagodziło, po wielu gadaniach i raportach, pomimo, że porucznik słów swoich cofnąć nie chciał.

Koło 20-go maja sytuacja pogorszyła się wyraźnie. Najlepszy barometr, mianowicie zachowanie się miejscowego i wrogiego nam żydostwa, wskazywało na burzę. Dnia 23-go maja o 5-tej popołudniu wpadł na stację ułan, z kartką pisaną po niemiecku ołówkiem, — meldując zdyszczanym głosem, że cała dywizja niemiecka idzie ze Słucka na Urzecze; we wsi Pogóść wzięto do niewoli nasz posterunek w sile 18 ułanów, a oficer niemiecki kazał tę kartkę doręczyć dowódcy pułku; rotmistrzowie Ciechomski i Żeliszewski szykują się do bitwy, — baterja nasza już na pozycji, a karabiny maszynowe również.

Nic z tego nie rozumiem, Bischof także. Kartka brzmi:

*Laut Einvernehmen zwischen dem Ober-Ost-Kommandanten General bar. Falkenheym und dem polnischen General Dowbor-Muśnicki soll die polnische Legion in Urzecze die Waffen niederlegen, in entgegengesetztem Falle, werden wir mit Kraft vorgehen.* — Podpis nieczytelny.

Rozkazuję naszemu podoficerowi aresztować natychmiast posterunek niemiecki, wraz ze zdziwionym i nieopierającym się Bischofem, poczem, co tchu w koniu, pędzę po rozkazy do podpułk. Tokarzewskiego, zastępcy dowódcy pułku. (Rotm. Waraksiewicz wyjechał dzień przedtem do Bobrujska,



dla poinformowania się w sztabie korpusu, ile jest prawdy w niepokojących pogłoskach).

Podpułk. Tokarzewski mówi mi:

— Bierz pan trębacza i ułana, z prześcieradłem czy serwetą na lancy, rznij do Niemców z takim ultimatum:

»1) O żadnym porozumieniu dotychczas nie wiemy, — broni nie złożymy, bronić się będziemy, pułk, baterja i karabiny maszynowe stoją gotowe do boju; 2) żądamy wydania ułanów wziętych do niewoli, wraz z końmi i bronią, 3) cofnięcia się dywizji niemieckiej w tył, w kierunku Słucka, o kilometr od miejsca spotkania się parlamentarzy, 4) zawieszenia na 48 godzin z obu stron wszelkiej akcji, celem wyjaśnienia sytuacji«.

Wykonywam rozkaz piorunem i wyjeżdżam zachodnim wylotem wsi Urzecza z trębaczem i białą płachtą. Ale droga zamknięta już krzyżakami z drutu kolczastego, baterja stoi na pozycji, karabiny maszynowe nasze i pruskie trajkoczą, — pułk rwie się na Niemców jak brytany do dzika. Rotm. Żelislawski nie chce mi drogi otworzyć.

— Nie puszczę pana za nic, kolego; — prac szwabów a nie paktować!! — woła.

Z bólem serca swojego i mojego puścić mnie musiał, i pojechałem ku widocznej zdaleka linii tyraljerów niemieckich.

Kiedy zauważyli białą parlamentarską chorągiew, ogień karabinowy ucichł, a od linii niemieckiej wyjechał ku mnie oficer pruski, Polak z Poznańskiego, pytając, z czem przyjeżdżam. Usłyszawszy nasze ultimatum, wstrzymał linię swoją na miejscu, a sam ruszył ze mną do dowódcy dywizji, o parę wiorst w tył. Sztab ów zrobił na mnie wrażenie, jakby się im bitwa wcale nie uśmiechała; ultimatum nasze zostało przyjęte, prócz wydania naszych 18 ułanów, a to z powodu, że



posterunek, broniąc się, zabił jednego Niemca, a kilku poranił. W chwili, gdy spieraliśmy się o ten warunek, wszedł wachmistrz pruskich ułanów, meldując: *Soeben haben die Polen 22 deutsche Uhlanen gefangen genommen*. Uprościło to sprawę nadzwyczajnie, tem bardziej, że na uwagę, iż jeńców pruskich jest o czterech więcej, robię ręką gest, mówiący wyraźnie: »Naszych osiemnastu więcej znaczy, niż waszych pięćdziesięciu«. — Szef sztabu niemieckiej dywizji, z którym zamieniamy wzajemnie na piśmie zawartą konwencję, wydaje rozkaz odstawienia moich ułanów wraz ze mną — pod konwojem plutonu pruskich ułanów — do linji demarkacyjnej; lance i karabinki jadą za nami na wozie; w ten sam sposób obowiązuję się dostawić 22 niemieckich ułanów do tejże linji, gdzie nastąpi wymiana jeńców.

Cała ta sprawa przeciągnęła się do późnego wieczora. Gdzieś około północy dopiero wróciłem do Urzecza; pułk wychodził właśnie ku Bobrujskowi. W czasie mojej nieobecności rotm. Waraksiewicz powrócił stamtąd zgnębiony, przywożąc rozkazy i wiadomości, które wstrząsnęły nami do głębi. Najgorsze przypuszczenia pesymistów były prawdą: mieliśmy być zdemobilizowani.

Z ust do ust podawano sobie szczegóły umowy: Oficerowie i żołnierze powrócą bez przeszkód do Polski; materal wojenny ma jakoby pozostać własnością państwa polskiego; konie wszystkie po oszacowaniu przez specjalną komisję będą sprzedane Niemcom, którym gazy trujące zniszczyły wiele koni na froncie zachodnim.

Nie silę się, aby opisać ogólne wrażenie przygnębiającej, bezradnej rozpacz, która ogarnęła nas wszystkich na widok tego marnego końca wojska, z którego byliśmy tak dumni. Oddalony od głównego sztabu, niewiele mogłem wiedzieć istotnych szczegółów o zajściach, które pod wpływem podobnych

uczuc miały tam miejsce. W drodze do Bobrujska odebraliśmy rozkazy, podpisane nieznanymi nam nazwiskami: Bartha i Matuszewskiego, a dopiero przyszedłszy do sztabu, dowiedzieliśmy się, że ci dwaj oficerowie, objawszy samowładztwo, zaaresztowali gen. Dowbora Muśnickiego i przez parę godzin rządili korpusem. Jeden z uczestników zamachu, puszczoney wolno przez oswobodzonego generała, strzelił sobie w łeb, wychodząc z kancelarji dowództwa.

Wszystko to było szalone, głupie, niepotrzebne, lecz nie mogło dziwić nikogo, wobec strasznego rozdrażnienia i rozstroju nerwów, jakie zapanowały ogólnie. I w miejscowości Wilcza, wyznaczonej na postój 2-go pułku, gotowało się i wrzało od pomysłów, rojących się w rozgorączkowanych głowach. Niektórzy desperaci udali się na drugą stronę Dniepru, na los szczęścia, — tych bolszewicy odrazu wymordowali; inni próbowali przedostać się na północ ku Murmanowi. Nadjechał generał Dowbor Muśnicki, by pożegnać się ze sztandarem i pułkiem. Będziemy wszyscy pamiętać tę ciężką chwilę, gdy głęboko wzruszony, stojąc w swoim samochodzie przed frontem wyciągniętego pułku, — ścisnął równocześnie w objęciach sztandar nasz i szlochającego rotm. Waraksiewicza. Generał Dowbor Muśnicki miał dobre przecucie, mówiąc nam wówczas, że ratuje dzielnych żołnierzy dla ojczyzny, która nas rychło potrzebować będzie, — że nas zawezwie... W cztery miesiące potem zawezwał nas — i stawiliśmy się na rozkaz.

Następnego zaraz dnia otrzymałem polecenie stawić się w Bobrujsku, by wraz z rotm. Bystramem z 3-go pułku ułanów wejść w skład komisji, mającej szacować konie I-go korpusu. Komisja miała się składać z dwóch oficerów z jazdy polskiej, dwóch z niemieckiej, z bar. Ressdorffem, majorem strzelców konnych pruskich, jako prezesem. Komisja ta zaczęła pracę



swą w końcu maja, a skończyła 8-go lipca, czyli po sześciu tygodniach. Całem naszym dążeniem było sprzedać konie jak najdrożej, i, jeżeli tylko to było możliwem, uratować od czasu do czasu rasową klacz na matkę dla krajowej hodowli. Za konie płacili Niemcy gotówką ceny dość wysokie, i wszyscy koledzy byli z nich zadowoleni. Klaczy stadnych uratowaliśmy też kilkadziesiąt, mniej jednak, niż bylibyśmy chcieli.

Poznaawszy wówczas dobrze koński materiał I-go korpusu, mogę wydać jak najlepszą opinię o koniach byłej jazdy rosyjskiej. Prawda, że wyzwalające się z pułków rosyjskich oddziały polskie starały się wybierać lepsze konie, — niemniej ogół musiał też być dobry, skoro przez komisję naszą przeszło zgórą 4.000 koni typu wierzchowego, wszystkie doskonałe. Dawny typ rosyjskiego zimnokrwistego konia — w guście antypatycznych dla mnie rysaków orłowskich lub ciężkich »bitiugów«, — prawie się nie trafiał. Widzieliśmy bez wyjątku konie pół-krwii, wschodniej lub angielskiej, doskonałe. Najwięcej uznania i sympatji miała komisja dla »anglodonów« — produkt jednorazowej krzyżówki klaczy kozackiej z nad Donu z folblutem. Koni tego pochodzenia miała jazda rosyjska w wielkiej wojnie dużo, — rzeczywiście idealny typ wierzchowego konia: wzrostu wyżej średniego (160 cm), przy doskonałej budowie, długiej szyi, stalowych nogach, głębokiej piersi. Łby zlekka tylko garbonose, po matkach, niemniej wygląd ogólny bardzo pociągający. Typ ten konia jest tak charakterystyczny, że na pierwszy rzut oka Niemcy wykrzykiwali z zadowoleniem: *Da, haben wir wiederum einen Anglodoner.*

Konie szacowano z punktu jako wierzchowe, kawalerskie (*kriegsfähig*), lub robocze (*arbeitsfähig*); pierwsze osiągały oczywiście większą cenę i szły na front zachodni, drugie wysyłało wprost z Bobrujska do Niemiec, dla celów



rolniczych. Nieraz właściciel protestował, przeciwko za niskiej ocenie konia dowodząc jego cnót wierzchowych. Odbywało się tedy siodłanie, przejeżdżanie, próbowanie w skoku, kończące się zazwyczaj tem, że obaj z kolegą Bystramem spuszczałyśmy nosy na kwintę w ponurem milczeniu, a major Ressdorf rozkładał rozpaczliwie ręce. Dobrze te bowiem, mocne konie, były przeważnie tak źle wyjeżdżone, tak popsute w pysku, bojące się wędzidła jak rozpalonego żelaza, uciekające od munsztuka rzucaniem głowy i szyi w tył, — że nabrałem od tego czasu — przeciwnie niż co do jakości koni — najgorszego pojęcia o metodzie wyjeżdżania ich w byłej kawalerji rosyjskiej.

W armji austriackiej młode, surowe konie rozdzielano między szwadrony danego pułku, gdzie były, pod kierunkiem dowódcy szwadronu, starannie ujeżdżane przez najlepszych jeźdźców z pomiędzy oficerów i podoficerów. Zanim młode konie zostały okiełznane m u n s z t u k i e m, musiały odbyć kilkumiesięczną tresurę na trenzli, a dopiero, gdy nauczyły się robić całą szkołę, renwersy, trawersy, wolty i t. d., nadchodził ważny dzień kiełznania »remont« munsztukiem, na który to popis schodzili się wszyscy oficerowie pułkowi, a zdarzało się nieraz, że niektóre konie cofano jeszcze do »redresury« jako niedostatecznie wyjeżdżone.

W Rosji panował inny system: w kilkunastu punktach państwa były wielkie *dépôts*, gdzie ujeżdżano młode konie, i gotowe, niby to już ujeżdżone, rozdawano między pułki jazdy. W zakładach tych ujeżdżano konie odrazu na munsztuku, i to dresurą ręczną, metodą Filis'a, która to dresura pozwalała rzekomo na kiełznanie młodego konia munsztukiem i czyniła go po tygodniu(!) gotowym do szyku. — Być może, że p. Filis był genialnym sportsmanem i że — o ile koń po jego tygodniowej dresurze dostawał się pod

miękką rękę dobrego jeźdźcy, — dresura ta wystarczała; że jednak w 99% wypadkach na sto koń po tej krótkiej nauce dostawał się w twarde łapy zwykłego żołdata, wyniki tego systemu nie mogły być inne, jak te, które nas obydwóch, mnie i kolegę Bystrama, kosztowały tyle zgryzoty w Bobrujsku.

Tymczasem, w ciągu miesiąca czerwca, zdemobilizowane oddziały odjeżdżały do kraju. Transport po transporcie odwoziły Dowborczyków do ojczyzny; na sam koniec zostawały te oddziały, które nie skończyły jeszcze zdawania koni, — więc przedewszystkiem jazda i artylerja.

Wszystkie trzy śliczne pułki ułanów zdawały naprzód najgorsze konie, zatrzymując instynktownie najlepsze do końca, — licząc jeszcze na jakąś nieoczekiwaną zmianę losu. W sztabie robiono zupełnie poważnie nadzieję, że na skutek starań Rady Regencyjnej z każdego pułku zostawione będą dwa szwadrony, które utworzyłyby w Warszawie pepinjere nowej jazdy polskiej. Sprawa ta zdawała się być na dobrej drodze, tak dalece, że kiedyś ppułk. 2-go pułku, Mosiewicz, zapytał mię półoficjalnie, czy przyjąłbym ewentualnie dowództwo jednego z tych szwadronów. W odpowiedzi rzuciłem mu się zupełnie nieoficjalnie na szyję.

Niestety, nadzieje te zawiodły, jak tyle innych. — Niemcy oparli się stanowczo pozostawieniu szwadronów. Z końcem czerwca Bobrujsk ostatecznie opustoszał. 8 lipca zakończyliśmy naszą pracę w komisji zdawania koni, a wyczytawszy z kolegą Bystramem w rozkazie dziennym, że dostaliśmy obaj odznaczenie »amarantowej wstążeczki«, — zameldowaliśmy się wraz z nieocenionym naszym kasjerem, por. Kąkorskim z 3-go pułku ułanów u gen. Dowbora Muśnickiego by zdać ostateczne rachunki, kwity, gotówkę, szanownego naszego Dowódcę pożegnać i za wyróżnienie podziękować.

---



## II

### NA PRZYMUSOWYM URLOPIE

W dniu zakończenia naszej pracy w komisji zebraliśmy się na wspólną wieczerzę z oficerami niemieckimi i majorem Ressdorfem, który zagadnął nas, czy nie mógłby nam, oficerom polskim, być pomocnym w czemkolwiek wobec władz niemieckich. Kolega Bystram odparł, że chciałby móc jechać do Warszawy na Kijów, skąd pragnął zabrać swoją matkę, — ja prosiłem o list otwarty do władz wojskowych niemieckich, by w razie potrzeby okazały mi swoje poparcie. Zarówno rotm. Bystram, jak ja, otrzymaliśmy żądane dokumenta, i na drugi dzień wyruszyliśmy do rodzin. Jechałem przebywaną przed kilku miesiącami drogą, przez Kalinkowicze, Korosteń, Szepetówkę; ze mną dwóch moich kolegów, również Wołyniaków: rotmistrz M. i chorąży W.

Pilno mi było do Starokonstantynowa, do rodziny, do gospodarstwa rolnego, które dzięki rządowi »hetmana« Skoropadzkiego zaczęło się potrochu z ruiny podnosić. Na wyjeździe wzięliśmy jeszcze przepustki z pieczęciami polskimi i niemieckimi, pozwalające na jazdę w pełnym uzbrojeniu, które to prawo przysługiwało wszystkim zdemobilizowanym oficerom I-go korpusu.

Na stacji Szatłówce — pierwszej stacji po wyjeździe z okupacji polskiej — wtoczyło się do naszego wagonu kilku brudnych i śmierdzących żandarmów ukraińskich, któ-



rzy żądali od nas dokumentów ukraińskich na broń, a że mieliśmy tylko niemieckie i polskie, — chcieli nas rozbroić. Wyrzuciliśmy z łatwością to świństwo z wagonu, ale spokój nie trwał długo. W Kalinkowiczach (pierwsza większa stacja) posterunek żandarmerji ukraińskiej zabrał nas do kancelarji. Tam oficer, ordynarny parobek z olbrzymim tłustym puklem nad lewem uchem, rzucał się i lżył nas, przykładając mi rewolwer do piersi i rycząc: »Ruki w wierch«! czego, rzecz prosta, nie wykonałem. Odpięto nam szable, rewolwery i ostrogi, — poczem moi towarzysze, korzystając z tego, że pociąg czekał na koniec naszej awantury, — odjechali, ja zaś, wściekły, postanowiłem zostać i swojego nie darować. Po drugiej stronie budynku stacyjnego była niemiecka *Stations-Kommando*. Tam się udałem z listem majora Ressdorfa, który wywarł należyte wrażenie. Komendant wezwał oficera ukraińskiego i w mojej obecności zwymyślał go przez tłumacza od ostatnich, broń kazał zwrócić, a na moją uwagę, że ostróg sam nie odpinałem, więc i przypinać nie myślę, — butny przed chwilą Ukrainiec, pod surowym wzrokiem Niemca, potulnie ukląkł na ziemi, własnoręcznie przypiął mi ostrogi, poczem dał mi jeszcze dokument ukraiński, upoważniający do jeżdżenia z bronią po całym terytorjum Ukrainy.

Wróciwszy do zniszczonego naszego gospodarstwa pod Starokonstantynowem, zamieszkałem z żoną w tem miasteczku, gdyż dwór w Skowródkach, jak i cały prawie folwark, został podczas pogromu poprzedniej jesieni spalony.

W miasteczku tem zastałem prawie wszystkich ziemian okolicznych, lokujących się jak kto gdzie mógł, starających się w miarę możności o podźwignięcie swoich gospodarstw. Przeczuwając, że lada dzień wypadnie mi wrócić do służby wojskowej, nabyłem dobrą klacz anglo-arabkę, »Zorzę«, ze

stada kniazia Szachowskiego, a wkrótce potem jeszcze dobrego wierzchowego wałacha.

Czasy zdawały się spokojne, załoga niemiecka pilnowała porządku, władza hetmańska starała się robić wrażenie silnej i kulturalnej, a chłopci udawali niewinnych baranków, spędzając winę za niedawne pogromy na wojsko, agitatorów, i t. p., i zwracając część zagrabionych zimą inwentarzy i narzędzi.

W październiku wyczytałem w *Dzienniku Kijowskim* przedruk z pism warszawskich, z wezwaniem do oficerów byłych formacyj polskich, by zgłaszali się do służby wojskowej w Warszawie. Zdecydowałem się jechać natychmiast, ale nie było to łatwą sprawą, gdyż granice okupacyjne niemieckie i austriackie były szczelnie zamknięte, i prócz wojskowych niemieckich nie przepuszczano nikogo. Byłbym w niełada kłopotcie, gdyby w końcu października nie zjawił się nagle w Starokonstantynowie mój brat bliźniak, Wojciech, rotmistrz austriacki, z powodu wysokich odznaczeń bojowych (krzyż Żelaznej Korony i *signum laudis*) przyjęty z wielkimi honorami przez komendanta niemieckiego i ukraińskiego starostę. Brat mój przyjechał umyślnie, aby pomóc mi wydostać się z Ukrainy.

Dnia 27-go października, w wigilię naszego wyjazdu, byliśmy jeszcze na polowaniu *par force* w Antoninach, z hrabiną Józefową Potocką, jej synami, panem T. Dachowskim, znanym sportsmenem, i gronem oficerów z bawarskiego pułku szwoleżerów, stojącego w Antoninach. — Ostatni raz wtedy zachwycąłem się ślicznymi Antoninami, pysznymi końmi, ogólną, wysoką kulturą, której Antoniny od tak dawna były ogniskiem i pionierem; nikomu wówczas na myśl nie przyszło, że w przeciągu paru tygodni nastąpi rewolucja wojsk niemieckich, — pewni siebie, butni oficerowie, zdani na ła-



skę »rad żołnierskich«, zmykać będą wraz z wojskiem do Niemiec w poniżeniu i wstydzie, — podnoszące się gospodarstwa rolne zniszczy po raz wtóry nowa, straszniejsza fala bolszewizmu, ze wspaniałego pałacu antonińskiego zostaną zgłiszczą, a władza hetmańska pęknie jak bańka mydlana.

W Antoninach brat mój kupił od p. Dachowskiego wysokiej krwi kasztana, którego wraz z mojami dwoma końmi chcieliśmy koniecznie zabrać ze sobą; jednak wobec surowych zakazów rządu hetmańskiego co do wywozu koni z Ukrainy, musieliśmy pozostawić je w Starokonstantynowie. Porucznik Szczucki, brat mego zięcia, oficer byłych szwoleżerów rotm. Jaworskiego znanego partyzanta, obiecał w jakikolwiek, legalny czy nielegalny, sposób dostawić nam do Warszawy nasze konie, jako też swoją piękną klacz bojową.

Puściliśmy się więc w drogę, — ja, jako ordynans mego brata rotmistrza. Wyjeżdżając, nie przypuszczałem również, że zostawiam rodzinę na pastwę bolszewikom, że nie zobaczę żony i córki aż w wiele miesięcy później.

Droga przeszła nam pomyślnie. W Płoskirowie nie robiono nam żadnych trudności, w Podwołoczyskach wprowadzie komendant (Czech oczywiście) stawiał się i zaręczał, że jestem bratem, a nie ordynansem, ustąpił jednak, i dojechaliśmy bez innych przeszkód do Lwowa.

Od tej chwili miałem wrażenie oszałamiającego snu. Lwów przekształcił się właśnie z austriackiego w polskie miasto, a nie przypuszczając, jakie dni, pełne grozy, czekają go niebawem, szumiał radością i weselem. Oficerowie polscy z II-giej brygady, świeżo przybyli po skończonym właśnie procesie w Marmarosz-Sziget, byli owacyjnie witani przez publiczność, a mundur Dowborczyka ściągał też i dla mnie na każdym kroku dowody sympatji. Tegoż dnia jeszcze wyjechałem do Krakowa, gdzie trafiłem na dalszy ciąg tej samej



cudownej przemiany. Zorganizowane na oczekaniu władze polskie przejmują miasto od władz austriackich; żołnierze z triumfem zrzucają »bączka«, przypinając na to miejsce orzełka; publiczność niszczy emblematy rządowe, a flagi narodowe barwią śliczny rynek krakowski, aż oczy łzami zachodzą.

Południe bije. Hejnał z wieży Marjackiej, wierny, zawsze ten sam, towarzyszy niezapomnianej chwili, gdy niewidziany od tylu lat o d d d z i a ł p o l s k i zajmuje wartę główną koło ratusza i Sukiennic.

Rynek pełen ludzi, którzy — nie wiedząc już, czem okazać swoją radość — porywają na ręce kilku obecnych nas oficerów polskich, i obnoszą dokoła rynku wśród krzyków radości.

Wieczorem tegoż dnia wyjechałem do Warszawy stawić się po rozkazy u mojego dowódcy, pułkownika Waraksiewicza. Zanim go jednak znalazłem, wezwano mnie do ówczesnego szefa sztabu, gen. Tadeusza Rozwadowskiego. Tam dowiedziałem się, że wobec niechybnej wojny, jaka czeka nas na wschodzie, preliminowana początkowo ilość jazdy jest stanowczo niewystarczającą, w przeciwieństwie bowiem do wielkiej wojny na froncie zachodnim, kawalerja będzie tu grała ważną rolę. Sztab postanowił zatem powiększyć kontyngent jazdy szwadronami ochotniczymi, po jednym z każdego okręgu (powiatu). Mnie powierzono zorganizowanie pierwszego takiego szwadronu w województwie mazowieckiem, z okręgu warszawskiego.

Rozkaz ten, acz zaszczytny, zmartwił mnie i stropił. Byłem przywiązany do mojego pułku. Dowódca okazywał mi zawsze dużo życzliwości, z kolegami łączyła mnie szczerza przyjaźń, utrwalała tyloma przejściami; spodziewałem się objąć jeden z szwadronów... Perspektywa formowania czegoś,

co — obawiałem się — będzie rodzajem gwardji narodowej miejscowej dla pilnowania porządku w mieście, nie uśmiechała mi się zrazu bynajmniej. Ale rozkaz rozkazem, i rady nie było. W pierwszych dniach listopada 1918 r. ogłosiłem w gazetach, że z rozporządzenia sztabu generalnego organizuję ochotniczy szwadron ułanów; kandydaci powinni się zgłaszać z końmi i rynsztunkiem. Na garnizon wyznaczył nam Sztab gen. początkowo Mińsk Mazowiecki; udałem się więc tam dla obejrzenia koszar.

---



### III

## WARSZAWA W LISTOPADZIE 1918 ROKU

Zanim opowiem, jak się ta niedaleka podróż odbyła, chciałbym w najogólniejszych choćby zarysach dać pojęcie, co się w tych pamiętnych pierwszych dniach listopada 1918 roku w Warszawie działo. Wojska regularnego było bardzo mało: tylko »Wehrmacht«, t. j. przez Niemców wyćwiczony, doskonały oddział polski — wszystko późniejsi instruktorzy; pozatem dawniejsze pułki austriackie (galicyjskie), żołnierze i oficerowie z armji niemieckiej i rosyjskiej i Dowóbczy — wszystko jednak w stanie organizacji. Jeden zorganizowany zespół niby wojskowy był P. O. W. (Polska Organizacja Wojskowa), z charakterem czysto partyjnym, socjalistycznym, starał się na wszystkie zdobycze po Niemcach kłaść pierwszy swoją łapę. Czyto chodziło o konie po Niemcach, czy o broń lub magazyny, wszędzie w drogę wchodzili »peowiacy«, występujący wrogo przeciwko organizującej się regularnej, bezpartyjnej armji polskiej. Siedlisko sztabu P. O. W. było w pałacu Staszycy, z czerwoną flagą socjalistyczną na froncie, gdzie roiło się od młodzieży, nieraz i dzielnej, ale agitacją lewicową obalamuconej. W tym czasie wojska niemieckie, zrewoltowane, zdeorganizowane, uciekały masowo na zachód wszystkimi drogami kołowemi i żelaznemi, dając się rozbrajać bez oporu. Czyto w Warszawie samej, czy w prowincjonalnych miastach, czy na stacjach

kolejowych, wszędzie odbierano Niemcom broń, a amatorów do tej roboty było co niemiara. Nigdybym nie przypuszczał, że oficerowie armji niemieckiej, tacy pewni siebie i dumni z pruskiego »Drillu«, z głośnej w świecie dyscypliny i subordynacji, tak potulnie zniosą tę haniebną katastrofę.

Przecież i my, oficerowie polscy, przechodziliśmy także ciężkie chwile, czyto w Bobrujsku, czy pod Kaniowem lub pod Rarańczą — w żadnym jednak zdemobilizowanym lub rozbrojonym oddziale polskim nie było rad żołnierskich, nie było buntów, zdzierania odznak oficerom i t. p., — zawsze i wszędzie honor i godność oficera zostały przez podkomendnych uszanowane i stosunek między oficerami a żołnierzami jeszcze ściślej przez wspólne przejścia zawiązany. To, co widziałem u Niemców, wzbudzało we mnie współczucie dla oficerów niemieckich, gdyż powaga ich i władza względem podwładnych zesłała całkiem »na psy«.

Jak wspomniałem, w pierwszych dniach listopada 1918 wybrałem się do Mińska Mazowieckiego, by obejrzeć kawaleryjskie koszary. Zastałem tam zawiązek organizującego się 5-go pułku ułanów i kilku oficerów: rotm. Rabińskiego, por. Spychalskiego i innych, którzy z koleżeńską uprzejmością przyjęli nas i oświadczyli gotowość dać nam tyle miejsca, ile będzie potrzeba; załatwiwszy więc sprawę szybko i pomyślnie, postanowiłem wrócić tego samego dnia do Warszawy. Oczekujemy wieczorem na stacji pociągu od Brześcia, który niebawem nadjeżdża do Mińska Mazowieckiego przepełniony wracającym do kraju wojskiem niemieckim; pomimo że jedzie bataljon około 1000 ludzi, oficerów nie widać wcale. Na zapytanie moje: *Wo sind die Herren Offiziere?* zagadnięty podoficer odpowiada: *Wir brauchen jetzt keine Offiziere, Herr Rittmeister; wir haben unsere Soldatenrätthe.*



Siadamy do wagonu, pełnego Niemców, i jedziemy. — Między Mińskiem a Rembertowem wpadło do naszego wagonu kilku oficerów Polaków z armji rosyjskiej, jadących w sąsiednim wagonie do Warszawy, do wojska polskiego, którzy będąc już pod dobrą datą, na widok nas dwóch, pierwszych spotkanych oficerów armji polskiej, dostają z radości lekkiego bzika, manifestującego się wymyślaniem na Niemców, Austriaków, Moskali, pokpiwaniem z jadących z nami żołnierzy niemieckich i t. d. Na stacji Rembertów stało kilka kompanij piechoty niemieckiej w pogotowiu marszowem, z zamiarem pakowania się do naszego pociągu. Tego już było tym trzem pijanym radością i alkoholem dzielnym chłopcom za wiele i jeden z nich, porucznik Wollmann (później oficer w moim 2-im pułku strzelców konnych, bardzo dobry oficer) wygarnął przez okno wagonu z rewolweru do Niemców. *Herrje!* Co za awantura — jaka panika! Żeby na żołnierzy, którzy byli w tyłu huraganowych ogniach, jeden głupi wystrzał rewolwerowy zrobił takie wrażenie, na to potrzeba ostatecznej depresji moralnej. Ochłonawszy ze strachu, rzucają się Niemcy na nasz wagon, z krzykiem: *Wer hat geschossen?* Por. Wollmann melduje odrazu, że to on, — solidaryzują się z nim jego dwaj towarzysze. Wszystkich trzech aresztują Niemcy i ciągną pod sąd rady żołnierskiej. Pociąg zatrzymany stoi w Rembertowie. Idę z moim adjutantem por. Goeblem za delikwentami, widzę radę żołnierską, widzę nareszcie kilku oficerów niemieckich, do których zwracam się z uwagą, że wobec bezskuteczności strzału (nikt nie został ranionym) niema o co robić takiej historii. Na to pyskаты jakiś feldwebel (prezes rady żołnierskiej) robi mi uwagę: *Die Herren haben da nichts zu reden*, i ostatecznie ci trzej sympatyczni warjaci mają być sądem doraźnym sądeni — kiedy wraz z oficerem polskim, komen-

dantem stacji Rembertów, oświadczamy radzie żołnierskiej, że przy przemarszu pułku niemieckiego przez Warszawę z dworca na Pradze do dworca wiedeńskiego może ich, Niemców, dotknąć sroga zemsta ludności polskiej i wojska; — jeżeli jednak oddadzą mi tych trzech oficerów, to obowiązuję się przeprowadzić pułk niemiecki przez Warszawę bezpiecznie. Układ zawarty: delikwenci mają jechać z nami do Warszawy, ja gwarantuję bezpieczny przemarsz pułku przez Warszawę, z zastrzeżeniem, że broń i amunicja musi być złożona u polskiego oficera stacyjnego na Pradze i że do chwili potwierdzenia tego układu przez sztab generalny nie wolno żadnemu żołnierzowi niemieckiemu wysiąść z wagonu. Tak się i stało. Przez całą krótką drogę do Warszawy Niemcy skakali koło nas i widać było ze wszystkiego, że się Warszawy okropnie bali; — oficerowie niemieccy, obserwujący w ponurem milczeniu i pertraktacje moje z radą i obecny niepokój swoich żołnierzy, przechodzili widoczne męki moralne.

Północ już była, gdyśmy dojechali na Pragę. — Energetyczny komendant obstawił wagony strażą obywatelską, a ja pojechałem do generała Szeptyckiego z meldunkiem i po rozkazy. Umowa została potwierdzona, broń porządnie — wagon za wagonem — złożona, a cały oddział rozbrojony przeprowadziłem przez śpiącą Warszawę na dworzec wiedeński, gdzie z rozkazu sztabu generalnego stał już przygotowany pociąg dla Niemców.

Idąc długo z Pragi na dworzec wiedeński, widząc przygnębienie oficerów niemieckich, z którymi siedłem na czele oddziału i z którymi wyłącznie rozmawiałem, ignorując głupi, tchórzliwy a zarozumiały *Soldatenrath*, myślałem mimowoli o zmienności losów. Przecie nie dalej jak cztery miesiące temu byłem zależny w Kalinkowiczach od grzech-



ności koleżeńskiej niemieckiego oficera... Staralem się też z mojej strony odwdziaczyć się uprzejmością względem nich będących w stokroć gorszym położeniu, bo my, oficerowie polscy, nie potrzebowaliśmy się wstydić za naszych żołnierzy, — przeciwnie, byliśmy zawsze dumni z nich.

Doprowadziwszy na dworzec wiedeński oddział, pożegnałem się z oficerami niemieckimi, którzy dziękując mi za życzliwe zachowanie się względem nich, życzyli mi, bym nigdy przez takie piekło, jak oni, nie przechodził.

Organizacja mojego szwadronu szła tymczasem szybkim tempem naprzód. By ochotnikom mniej zamożnym ułatwić wstępowanie do mojego szwadronu, ogłosiłem, że przyjmuje również kandydatów nie posiadających własnego konia i rynsztunku. W krótkim czasie miałem 150 dzielnych chłopców, wyłącznie z inteligencji miejskiej i wiejskiej; w tem 40 ochotników przyprowadziło konie własne. Dla jak najszybszego dokończenia stanu koni posłałem por. Pawłowskiego z 60 ułanami do Gniezna, aby zabrał konie od stojącego tam pruskiego pułku dragonów (wiadomość o tym skarbie dostałem telegraficznie od znajomego). Porucznik Pawłowski przyprowadził 285 koni doskonałych, z kompletnym rynsztunkiem, z których 60 dostałem dla mojego szwadronu; resztę ministerstwo wojny oddało artylerji konnej. Ponieważ jeszcze mi koni niedostawało, wybrałem ze szpitala końskiego na Pradze za zezwoleniem szefa weterynaryi, pułk. Malewskiego, z 900 koni rekonwalescentów po świerzbie — pięćdziesiąt najlepszych, które po dwóch tygodniach obserwacji w szpitalu, w osobnej stajni, przez dziesięciu moich odkomenderowanych ułanów czyszczone i suto żywione, stanowiły dla szwadronu doskonały materiał.

Wojna na wschodnim froncie wisiała w powietrzu, toteż organizacja, uzbrojenie i wyszkolenie dzielnych, zrę-

cznych, inteligentnych moich ułanów, szło w tempie galopa. Siodła były różne: niemieckie kawaleryjskie, niemieckie artyleryjskie, i austriackie kulbaki, i rosyjskie »lencyki«; również i broń: każdy pluton miał innego systemu karabinki i, co za tem idzie, inną amunicję; były karabinki francuskie, niemieckie, austriackie i rosyjskie — ale duch i serce jedno, polskie. Koszary i stajnie mieliśmy na Bugaju pod Zamkiem, gdzie i nam i koniom było doskonale. Tłumy publiczności, stojące na Zjeździe, przypatrywały się z zajęciem ćwiczeniom w mustrze pieszej, konnej, w jeździe maneżowej, wołyżerce, ćwiczeniom z lancą i szablą. Prócz publiczności cywilnej miałem codziennego dyskretnego obserwatora zajęć szwadronowych w osobie pułkownika Kaweckiego, jednego z najlepszych jeźdźców jazdy austriackiej, który będąc wówczas bez przydziału, objeżdżał regularnie dwa własne swoje konie na maneżu mojego szwadronu. Nie przypuszczałem wówczas, że to przyszyły inspektor jazdy polskiej, z którym w następnych latach mieliśmy spotykać się często na różnych frontach.

Robota postępowała szybko, byłaby jednak mogła postępować jeszcze szybciej, gdyby nie ciągle ostre pogotowie, zabierające nam wiele czasu we dnie i w nocy. Wobec zdarzających się wypadków rozbijania pojedynczych żołnierzy, a nawet mniejszych oddziałów przez komunistów miejscowych, trzeba było ustawicznie mieć się na baczności. Wiele nocy spędził szwadron pod bronią, z karabinami maszynowymi wystawionemi na bramę koszarową i Zjazd, — jak gdyby nie był w swoim kraju, i do tego w stolicy. Panowie Moraczewski i Thugutt, ze swoją sławną milicją ludową, złożoną z bojowców socjalistycznych i innych lewicowych żywiołów; bandy »bezrobotnych«, pobierających duże na owe czasy wynagrodzenie 15 marek dziennie, propaganda ko-



munizmu, prowadzona przez żydów rosyjskich i miejscowych, której rząd p. Moraczewskiego zdecydowanie nie przeciwdziałał, — wszystko to doprowadziło do tego, że na Zamku wisiała czerwona chorągiew, a każdej prawie nocy grzmiała na Powiślu strzelanina karabinowa.

Jednem słowem, była to epoka brzemenna wielkimi niebezpieczeństwami i trudnościami, tem bardziej, że horyzont polityczny zaciemniał się coraz bardziej. Lwów walczył rozpaczliwie i bohatersko o swój byt, nie mogąc doczekać się pomocy; na Śląsku Cieszyńskim Czesi zdrajcy zajęli bezprawnie kawał naszego, rdzennie polskiego kraju; na całej wschodniej granicy Rzeczypospolitej dzicz bolszewicka następowała, by wraz z żydami, rosyjskimi i miejscowymi, zniszczyć Polskę, jak zniszczyła Rosję, i zaprowadzić »nowy ład«.

Sejm tymczasem, zamiast o poborze rekruta, o obronie kraju, myślał o bezrobotnych lub o koronie orła polskiego.

Komu więc zawdzięczać trzeba, że wygrzebaliśmy się wtenczas z tego bagna głupoty, a może i zdrady, — że nie zginęliśmy? — Żołnierzowi polskiemu. — Ale pozwólcie panowie suwereny, panowie ludowcy, że zaprotestuję z całą energją przeciwko osłuchanemu frazesowi: »Lud zbawił Polskę«. — Lud?? Kto szedł w grudniu 1918 r. z Warszawy ratować Lwów? Kto bronił Śląska Cieszyńskiego? Kto szedł za Niemen, do Wilna? Szli akademicy, studenci, inteligencja miejska i ziemiańska, skauty i skau-ciki, szły orłątka lwowskie, — dzieci i dziewczęta... Gdzie był »lud«, t. j. proletarjat wiejski i miejski? Ludek miejski brał jako bezrobotny 15 marek dziennie, albo służył w milicji ludowej, dobrze płatnej, dobrze żywionej, nie nie robiącej; — ludek wiejski śnił o raju bolszewickim, zezując na dworskie pola i inwentarze, a tymczasem wprawiał się w pasek, w którym doszedł do takiego mistrzostwa.

Ten szumny, tylekroć powtarzany frazes: »Lud zbawił Polskę« jest krzywdą dla całej inteligencji polskiej, dla tych tysięcy dzielnej młodzieży ochotniczej, rekrutującej się wyłącznie z inteligencji, poległej na wszystkich krajach »bezgranicznej« wówczas Rzeczypospolitej. Jest krzywdą dla oficerów, z których padał jeden na dziesięciu żołnierzy, podczas kiedy statystyka wielkiej wojny wykazuje jednego oficera zabitego na pięćdziesięciu szeregowców.

Lud poszedł, i nawet bił się później dzielnie, ale dopiero po uchwaleniu poboru, pod przymusem.

Wyćwiczony i dobrze prezentujący się szwadron mój wystąpił kilkakrotnie w ciągu grudnia 1918 r. jako honorowa eskorta podczas przyjazdu Paderewskiego, misji francuskiej gen. Barthélemy i komendanta Piłsudskiego, a popularne wówczas w Warszawie proporzeczki granatowo-żółte (barwy województwa mazowieckiego) rozpędzały często i *con amore* bandy komunistów, urządzających swoje wiece i pochody na placach Saskim lub Teatralnym.

Z początkiem stycznia 1919 r. doszły nas wiadomości, że koło Trzech Króli ma być wykonany zamach stanu przeciw znienawidzonemu rządowi Moraczewskiego. Koledzy zastanawiali się, jakie stanowisko powinniśmy zająć w takim razie. Zauważyłem, z całym przekonaniem, że wojsko będzie miało niezawodnie wspólną dyrektywę, — że otrzymamy jakieś rozkazy albo od Dowództwa Okręgu Generalnego warszawskiego, albo od Sztabu Generalnego czy Komendy miasta. — »Zrobimy, co nam nasza władza wojskowa każe«.

W sobotę, 5 stycznia 1919 r., koło godziny 4-ej po południu, otrzymałem telefonogram od Komendy miasta: »Dziś w nocy oczekiwane są rozruchy w mieście; szwadron wojewódzki ma oczekiwać dalszych rozkazów w ostrem



pogotowiu, w szyku pieszym, z dwoma karabinami maszynowymi».

Noc tę z 5-go na 6-ty stycznia spędzamy, jak tyle innych poprzednich, siedząc w koszarach, z bronią przy boku, w oczekiwaniu rozkazów. Koło godziny 4-ej w nocy dostaję telefonem rozkaz z Komendy miasta: »Szwadron wojewódzki ma się stawić natychmiast na Saskim placu, przed Komendą miasta. Dalsze rozkazy otrzyma na miejscu«.

Ówczesnym komendantem miasta Warszawy był pułkownik Antoni Zawadzki (z jazdy austriackiej), kolega mój z młodych lat z jednego pułku, nawet z jednego szwadronu, z którym byliśmy jako starzy koledzy w najlepszych stosunkach. Otrzymaawszy powyższy rozkaz, prowadzę szwadron z dwoma karabinami maszynowymi do Komendy miasta. W ciszy nocnej (żadnych strzałów, żadnych krzyków, żadnego alarmu nie słyhać), maszerujemy przez Plac Zamkowy, Krakowskie Przedmieście, skręcamy na Czystą koło Hotelu Europejskiego, i wychodzimy na plac Saski. Na chodniku pod Hotelem Europejskim poznaję po wysokim wzroście i charakterystycznych zręcznych ruchach generała Szeptyckiego ze swoimi adjutantami.

— Co za oddział i dokąd!? — woła generał.

— Szwadron wojewódzki stawia się na rozkaz Komendy miasta, Panie generale.

— Jakiej Komendy miasta? — pyta ostrym tonem Szeptycki.

Nie rozumiejąc zgoła, o co chodzi, powtarzam:

— Tutejszej Komendy miasta, Panie generale!

Tymczasem oddział mój i ja stoimy na »bacność«, a generał po chwili poleca swojemu adjutantowi, por. Stamierowskiemu, sprawdzić w Komendzie miasta, czy rozkaz taki był wydany. Wraca za chwilę por. Stamierowski i po-

twierdza mój meldunek. Podczas całej tej sceny widzę na Saskim placu ruch rozmaitych oddziałów, wypełniających plac Saski i otaczających szczelnie gmach Komendy miasta. Po pewnym namyśle generał Szeptycki rozkazuje mi:

— Odprowadź pan szwadron z powrotem do koszar!

Wydaję odnośny sozkaz, szwadron odchodzi, — a ja, oddawszy komendę najstarszemu z oficerów, wracam do generała Szeptyckiego i proszę o pozwolenie, bym mógł sam iść do Komendy miasta zameldować, że rozkaz komendy, by stawić się na Placu wypełniłem, ale z rozkazu generała szwadron odszedł z powrotem do koszar.

— Słusznie. Idź pan zameldować.

Idę do Komendy miasta, tuż o parę kroków. Kordon piechoty, otaczający cały gmach, puszcza mnie do środka. Widzę ruch, bieganie tu i tam różnych oficerów i podoficerów, pomimo że to noc, 4.30 nad ranem.

Pytam się pierwszego spotkanego oficera, gdzie znajduje komendanta miasta?

— Pułkownik Januszajtis na górze — odpowiada.

Nic z tego wszystkiego nie rozumiejąc, idę na górę i melduję się w adjutanturze. Wychodzi młody pułkownik, średniego wzrostu, z dzielną miną, któremu przedstawivszy się (bo go pierwszy raz wówczas widziałem), melduję, że rozkaz Komendy miasta wypełniłem, ale generał Szeptycki wydał mi przed chwilą rozkaz odprowadzić szwadron z powrotem do koszar, co ma się rozumieć wykonałem.

Spokojnie i w uprzejmiej formie mówi mi na to pułkownik Januszajtis mniej więcej dosłownie tak:

— Wodzem naczelnym wojsk polskich jest obecnie generał Haller; ja go zastępuję i rozkazuję panu rotmistrzowi cofnąć szwadron z koszar i zająć natychmiast



Pałac Namiestnikowski. Pałac ten musi być utrzymany bezwzględnie, w razie potrzeby, kul nie żałować.

— Rozkaz! panie pułkowniku.

Coraz więcej zdziwiony, ale i bardzo zadowolony z otrzymanych wiadomości, bo Pałac Namiestnikowski to siedziba tego błazeńskiego rządu, a generał Haller (wówczas jeszcze we Francji) wraz ze swoją armją oczekiwany jest jak Mesjasz, zbiegam na dół i chcę wyjść, ale kordon piechoty wypuścić mnie nie chce, tłumacząc się surowymi rozkazami, że puścić do środka można, ale wypuścić nikogo nie wolno. Zupełnie jak pułapka na myszy była tej nocy Komenda miasta Warszawy.

Kiedy zirytowany rozważam, co to wszystko ma znaczyć, przebiega między kordonem wojska a ścianą gmachu por. Stamierowski.

— Kolego kochany, wyprowadźcie mnie z tej pułapki — mówię do niego.

— Gdzie pan rotmistrz chce iść?

— Do generała Szeptyckiego — odpowiadam.

— Dobrze! proszę tu za mną, pod ścianą, dojdziemy do głównej warty; tam jest generał.

Idę za por. Stamierowskim. Podchodzimy pod taras głównej warty, na którym stoi cała grupa oficerów z generałem Szeptyckim, pułkownikiem Zawadzkiem (wszyscy, zwłaszcza pułk. Zawadzki, patrzą się na mnie »z podełba«), i melduję generałowi Szeptyckiemu:

— Panie generale! wracam od pułkownika Januszajtisa, który mi powiedział, że zastępuje generała Hallera, naczelnego wodza wojska polskiego, i kazał mi zająć natychmiast Pałac Namiestnikowski!

Generał Szeptycki wśród ogólnej ciszy powiada mi po momencie namysłu:

— To pan zajmuj; proszę tylko ze strzelaniem i rozlewem krwi się nie śpieszyć.

Zasalutowałem i poleciałem na Bugaj po mój szwadron, czując instynktownie, że otwartem postępowaniem uniknąłem dwuznacznej sytuacji.

Szwadron, uradowany moim widokiem (bo gruchnęła w szwadronie pogłoska, że jestem jako »spiskowiec« aresztowany), kontent również z otrzymanego rozkazu, maszeruje znowu tą samą drogą przez ciągle śpiącą Warszawę — zdobywać Pałac Namiestnikowski.

Idąc z oddziałem, rozmyślałem, jak połączyć rozkaz generała, żeby nie być skorym do strzału, z rozkazem pułkownika, by kul nie żałować? Pocieszam się, że bieg wypadków rozwiąże sam to dilemma, — i zajmuję Pałac Namiestnikowski bez wystrzału, bez oporu, bo tylko kilku zaspanych woźnych zastają jako załogę. Dwa plutony zajmują gmach główny, jeden pluton skrzydło lewe, jeden skrzydło prawe, dwa karabiny maszynowe na balkonie pałacu wymierzone na bramę, właściwie na księgarnię Gebethnera i Wolffa. — Pałac Namiestnikowski zajęty.

W ślicznych salach odpoczywamy po całonocnem czuwaniu, oczekując dalszych wypadków. Nikt nas jednak nie atakuje. Publika świąteczna spaceruje po Krakowskiem Przedmieściu, patrząc z zaciekawieniem i sympatją, na moich ułanów, stojących na warcie przed pałacem. — Żołnierzom zachciało się przeglądać papiery leżące na ministerjalnych stołach; zauważywszy to, rozkazałem woźnym zabrać je i schować.

Jeden jednakże list pozostał w archiwum szwadronowem na pamiątkę owej nocy. Był to list kolegi p. Moraczewskiego z czasów gimnazjalnych, z Tarnopola, podpisany pełnem imieniem i nazwiskiem, w którym ów, nieznany mi



a porządny człowiek, piętnuje osobę p. Moraczewskiego i jego działalność, tak bez ogródek, takimi dosadnymi słowami, że ich absolutnie powtórzyć nie mogę, — bo choć stokrotnie zasłużone, ale — niecenzuralne.

Okupacja Pałacu Namiestnikowskiego przez mój oddział trwała do godziny 3-ciej popołudniu 6-go stycznia, poczem otrzymaliśmy rozkaz powrotu do koszar. Jaki to był spisek, — co miał zdziałać, jaką rolę grali w nim pułkownik Januszajtis i ks. Sapieha, — poco spiskowcy za-aresztowali w Bristolu gen. Szeptyckiego — opisze kiedyś ktoś, wtajemniczony w te sprawy. Dowiedziałem się później, że spotkanie mojego oddziału z gen. Szeptyckim w ową noc na Placu Saskim nastąpiło w parę chwil po odbiciu go z rąk spiskowców przez patrol Komendy miasta. Mam wrażenie, że całą tę noc można było nazwać »nocą nieporozumień«, jak nazwano podobny jeden dzień w historii francuskiej (*journée de dupes*).

Z Ukrainy dochodziły złe i straszne wiadomości, które mnie przejmowały głęboką troską o los pozostającej tam rodziny. Toteż nie umiem wyrazić mej radości, gdy pewnego dnia styczniowego zobaczyłem niespodzianie wjeżdżającego na nasz dziedziniec por. Szczuckiego, z dwoma żołnierzami oraz końmi mojemu, mojego brata i całym ryszunkiem. Powitanie nie było końca. Otrzymałem przez niego upragnione wiadomości o żonie mojej i córce, że żyją, choć w trudnych warunkach, i względnie są zabezpieczone.

Przeprawa dzielnego por. Stanisława Szczuckiego, jednego z najlepszych moich oficerów, ze Starokonstantynowa, przez Włodzimierz Wołyński, Lublin, do Warszawy, wyglądała na epizod wyjęty żywcem z *Ogniem i Mieczem*. W najgorszej porze roku, wśród mrozu i śniegów, przebiegał

się przez morze czerni bolszewickiej chłopskiej, dyszącej nienawiścią do wszystkiego, co polskie, — z dwoma ordynansami, sąsiadem i przyjacielem p. Bilińskim, i dwiema ładnymi a dzielnymi pannami Pruszyńskiemi, które konno ruszyły razem z nim ze Starokonstantynowa i dzielnie całą drogę przebywały. Niesłychana ta podróż zakończyła się jeszcze bardziej powieściowo, bo w krótki czas potem obie śliczne amazonki poślubiły swoich towarzyszy podróży: starsza p. Bilińskiego, — młodsza por. Szczuckiego.

W tym czasie trafiło mi się kupić od por. Stamirowskiego klacz, importowaną irlandkę *Queen Mary*, najmilszą, najlepszą towarzyszkę wszystkich bitew i pochodów na Wilno, Cieszyn, Kijów, w których miałem w przyszłości brać udział, — nieocenioną klacz bojową, bo mądrą i pewną, kiedy śliczna również i wytrwała, ale nerwowa »Zorza« nie znosiła trajkotu karabinów maszynowych, a szrapnele silnie ją denerwowały. *Queen Mary*, przemianowana w szwadronie na »Królowę«, była faworytą i dumą naszego oddziału, bo (nie mówiąc już o wielkich zaletach moralnych) była to jedna z najpiękniejszych klaczy wierzchowych, jakie kiedykolwiek widziałem.

Rozkaz wymarszu, rozkaz tak niecierpliwie oczekiwany — nadszedł. Dnia 17-go lutego 1919 r. załadował się szwadron wojewódzki do wagonów, by dojechać koleją do Białej siedleckiej, stamtąd na Czeremchę, Hajnówkę, do Białegostoku, gdzieznaczono punkt zborny dla mającej się złożyć grupy zaniemeńskiej. Mnie rozkazano zdać dowództwo szwadronu zastępcy, samemu zaś udać się prosto do Łap (na ówczesnej granicy między Polską a okupacją niemiecką), gdzie od wydelegowanego oficera niemieckiego miałem przejąć miasto



Białystok i do dnia zebrania się grupy pozostać kometantem miasta.

Zatem tegoż jeszcze dnia znalazłem się na stacji »Lapi« (tak ją wówczas nazywali Niemcy), gdzie oficerowie granicznego posterunku żandarmerji polskiej przyjęli mnie serdecznie i po koleżeńsku. Delegat niemiecki, oficer, spóźnił się prawie o dobę. Miałem więc dość czasu na obserwowanie naszych władz granicznych i przejeżdżającej publiki.

Była to ta, najwstrętniejsza chyba jaka jest na świecie, smrodliwa, szwargocząca tłuszczą żydowska, przewożąca z bolszewji złoto, brylanty i olbrzymie sumy pieniędzy, a wywożąca z Polski sacharynę, cukier, czekoladę i t. p. Władze polskie, mające rozkaz nieprzepuszczania zarówno jednego, jak drugiego, spełniały swój obowiązek energicznie i konsekwentnie; pozycja ich jednak była niezmiernie trudna wobec stanowiska warszawskiego rządu. Gdy zdarzyło się, że żandarmerja zatrzymała typowych agentów bolszewickich, opchanych nowemi 500-rubłówkami, ci uśmiechali się ironicznie, telegrafowali do Warszawy, i — nadchodził rozkaz, by pieniądze i zatrzymanych osobników puścić do Polski wolno. — Gdy prasa warszawska zaczęła wołać »gwaltu!« na to otwarte sprzyjanie Belwederu i rządu żydom-bolszewikom, — wprowadzono pewne utrudnienia na stacjach granicznych, ale zato została otwarta »zielona granica«, przez którą plugastwo bolszewickie waliło się, jak bramą otwartą, do Polski.

Nie jeden porządny i dzielny oficer żandarmerji, spełniający sumiennie swój obowiązek Polaka, pokutował za to w więzieniu, pod śledztwem, na skutek skargi postów Priłuckiego lub Grünbauma, — jeden oficer młody chłopiec zastrzelił się w więzieniu — a tymczasem agitatorzy bolszewicy jeździli po przedmieściach Warszawy z »bibułą« i pieniędzmi całkiem jawnie.

Po całodniowym oczekiwaniu w Łapach doczekałem się przybycia oficera niemieckiego, z którym, po wzajemnej wymianie mandatów, pojechałem obejmować Białystok w imieniu władz wojskowych polskich. — Nieszczęsny Białystok... jak on wówczas wyglądał! Dworzec zniszczony, miasto pełne śmiecia, zamarznętych odpadków, pomyj, odchodów koni i ludzkich, stosów nieokreślonych szczątków, w których podarte książki przeważały; domy rozbite, sklepy pozabijane deskami, — a wśród tej nędzy rojąca się »mniejszość narodowa«, żałująca bolszewików, a patrząca na nas z nieukrywaną niechęcią. Minąwszy nieszczęsne miasto, zajęchaliśmy do koszar kawaleryjskich. Stajnie we względnym porządku, bo tam stały konie, szlachetne i czyste zwierzęta, — ale koszary żołnierskie! — jedna olbrzymia, potworna kloaka. W pierwszej chwili wydawało mi się niepodobieństwem, by koszary te mogły wogóle kiedykolwiek stać się zdawnymi do użytku, nawet po najgruntowniejszym odnowieniu. Kto nie widział jakiego miasta po odejściu »krasnoarmiejców«, ten nie może mieć pojęcia, co to jest dziez rosyjska.

Wieczór nadszedł, ciemności egipskie wszędzie, bo elektrownia popsuta, a świec w mieście nie dostanie, — o nafcie nawet mowy niema. Tylko część miasta od kościoła katolickiego do hotelu Ritza, część miasta wyłącznie polska odbija względny porządek. — Hotel stoi nawprost bramy wjazdowej, ozdobionej herbami Branickich i różnymi emblematami hetmana koronnego, przez którą prowadzi aleja do pałacu. Zajechaliśmy na chwilę do tej rezydencji, głośnej w swoim czasie na całą Europę. Kiedy patrzyłem na straszny, splugawiony szkielet gmachu, przyszło mi na myśl, że gdyby tak, za czasów Klemensa Branickiego, bawiący czas jakiś w Białymstoku sławny mag Cagliostro



ukazał był ówczesnemu świetnemu towarzystwu, na dnie czary kryształowej, jak będzie wyglądał ów śliczny pałac z początkiem XX wieku, — to piękne panie zemdlałyby z obrzydzenia, a wytworni panowie uspokajaliby je, tłumacząc, napozór logicznie, że to zły żart tylko, bo ludzkość i kultura idą naprzód, a nie wtył. — A jednak...

Objąwszy komendę miasta, zarządziłem pod groźbą sądu wojennego oddanie ukrytej broni i oczyszczenie natychmiastowe ulic i chodników. Toteż po kilku dniach Białystok wyglądał nieco lepiej, ludność polska, chowająca się dotychczas przed bolszewikami, zaczęła żyć normalniej i śmieiej. Otwarto Dom dla Żołnierza Polskiego, herbaciarnię na dworcu i t. p. Od pierwszego zetknięcia się z ludnością na Litwie aż do końca, t. j. do wzięcia Lidy, miałem wrażenie, i zachowałem je dotychczas, że nigdzie w centrum kraju (o Lubelskiem wcale nie mówię) nie ma takiego patryjotyzmu czystego, bezpartyjnego — jak na Litwie. W Kowieńskim nie byłem, ale w Grodzieńskim, Łódzkim i Oszmiańskim nie natrafiłem na żadnego litwomana. Wszyscy: księża, ziemianie, nauczyciele, drobna szlachta, chłopci katoliccy — byli nam szczerze życzliwi i sprawie polskiej oddani.

Tu pierwszy raz spotkałem się z przedstawicielem zaśluzonego K. O. K. (Komitet Obrony Kresów), hr. Stanisławem Mohlem. Komitet ten, do którego należeli ziemianie polscy na Litwie, zebrał duże fundusze na cele wojska polskiego i — zwłaszcza w pierwszym okresie działań wojennych na Litwie — położył ogromne zasługi.

Intendantura nasza nie funkcjonowała jeszcze należycie, komisje kasowe również, — wszystkim tym brakom zaradził K. O. K. Przed wymarszem z Białegostoku chciałem moim ułanom wypłacić żołd, aby w ostatniem miesiącu, w którem stali przed akcją wojenną, mogli sobie cośkolwiek kupić

w składzie Czerwonego lub Białego Krzyża. Hrabia Mohl zaawansował mi natychmiast potrzebną na ten cel sumę. — O ile pamiętam, głównymi działaczami w K. O. K. byli pp. Reytan, hr. Mohl, Ciundziewicki i Wasilewski.

Tymczasem grupa zaniemeńska gotowa! Szumnie się nazywała, ale jakże była słaba liczebnie! Cztery kompanje suwalskiego ochotniczego pułku piechoty pod majorem Mackiewiczem (jednym z czterech pierwszych kawalerów *Virtuti Militari* i członkiem kapituły tegoż orderu), trzy szwadrony ułanów pod mojem dowództwem (mój szwadron wojewódzki i dwa z 4-go pułku ułanów), — baterja artylerji konnej pod mężnym rotmistrzem Mirzą Sulkiewiczem, i ośm karabinów maszynowych. — Sztab grupy stanowili: dowódca, pułkownik Stefan Dziewulski, dowódca 4-go pułku ułanów, — szef sztabu, kapitan Wolff (zginął przy mnie, nad Bugiem w 1920 r.), i adjutant grupy, por. Szalkiewicz z 4-go pułku ułanów (i ten zginął na polu chwały). — Ogółem grupa zaniemeńska mogła mieć około 1000 ludzi w szyku bojowym, — bronić zaś miała długiego odcinka, bo od Skidel pod Grodnem aż do Wołkowyska, t. j. zgorą 100 wiorst, przeciw dziesięćkroć silniejszemu liczebnie nieprzyjaciółom.

---



#### IV

### NA FRONCIE

Z końcem lutego otrzymałem rozkaz załadowania się w wagony, by jechać przez Wołkowysk do stacji Mosty nad Niemnem. W trzaskający mróz, przy silnym wschodnim wietrze, dojechaliśmy do Wołkowyska, gdzie była kwatera sztabu dywizji litewsko-białoruskiej. Dowódcą jej był wówczas gen. Iwaszkiewicz, któremu zameldowałem o przyjeździe szwadronu i jego sile. Zadowolony z przybycia pierwszego oddziału jazdy, dał mi generał rozkaz wyładować szwadron, przedefilować przed nim a następnie przez miasto, by ludności miejscowej pokazać, jak jazda polska wygląda.

Pomimo »psiego« czasu, oddział mój zrobił efekt wielki, bo rzeczywiście był prześliczny. Żołnierze zgrabni, doskonale uzbrojeni i ubrani, konie bardzo dobre; śpiewając z fantazją, przejechali przez całe miasto i wrócili do wagonów, trochę przewiani mroźnym wiatrem, ale w doskonałych humorach.

Załadowaliśmy się z powrotem wraz z naszymi końmi. Zaczne to towarzystwo w podróży — konie. Miłe ciepło i sympatyczny zapach rozchodzi się po wagonie, a człowiek, rozciągnąwszy się na sianie lub słomie, śpi wspaniale. Przebudzenie gorsze, bo na gołej podłodze: to przyjaciele wyjedli pościel dokumentnie, bez żadnej żenady. Niewiadomo, czy śmiać się, czy kłąć, bo noc jeszcze długa a od desek

kości bolą; kończy się zwykle na energicznem »psiakrew!« i poklepaniu zjadacza pościeli.

Niemen! Pociąg nasz mija przyczółek zerwanego mostu i wjeżdża powoli, ostrożnie, na most prowizoryczny. Dawny, zerwany przez bolszewików, sterczy z wody, a na przeciwnym brzegu (północnym) pracują już nasi saperzy nad szańcami. Jesteśmy na stacji Mosty, u celu podróży, na froncie. Jadąc od Wołkowyska przez pusty, ubogi kraj, prawie niezamieszkały, mieliśmy wrażenie, że i my i nasze konie ciężkie przechodzić będziemy terminy. Zaraz po wyładowaniu w Mostach przekonaliśmy się, że przeczucia te były słuszne. Trudno bowiem mieć pojęcie o nędzy i zniszczeniu, jakie wojna kraju w tym, biednym z natury, zrobiła. Widziałem na Ukrainie zrujnowane pałace, dwory, dworki i folwarki, ale wsi bogatsze niż przedtem, zubożone grabieżą dworskich zapasów. Tu zniszczone było wszystko. Dość powiedzieć, że mając później polecenie, by jechać ze szwadronem na wywiad przez takie a takie wsie, — nie znajdowałem niektórych zupełnie; zaledwie po zgłiszczach sterczących z pod śniegu można było domyślić się, że kiedyś była tu wieś.

Stacja Mosty była również jedną ruiną. Grupa zanie-meńska kwaterowała nad samym Niemnem, we wsi Mosty, sztab we dworze, własności jakiegoś Moskala, wroga Polaków, który uciekł przed nami do Grodna.

Śliczne rzeczywiście są brzegi Niemna, ładne i położenie wsi Mostów na wysokim brzegu tej rzeki; wogóle cała Litwa ma swój odrębny »romantyczny« charakter, ale »poetycznością« krajobrazów nie zaspokoi się głodu żołnierskiego, a tembardziej końskiego. Nigdzie nie zaznaliśmy takiej biedy, jak tutaj. Może na Polesiu wołyńskim, podczas odwrotu z pod Kijowa, zwłaszcza nad Stochodem,



w osławionej kilkoletnim frontem okolicy Kołków, Kamienia Koszyrskiego, Maniewicz, widziało się takie same piaski, błota i zniszczenie, jak tutaj. Pamiętam, że szukaliśmy kiedyś za jakąś szafą kawałka czerstwego chleba, który według zeznań ordynansa miał tam się znajdować; — ziemniaki z solą, herbata i cukier to było całe nasze pożywienie. Ostatecznie wcale niezła rzecz — ziemniaki upieczone w popiele lub na blasze, ale pomimo napchania się niemi, w godzinę znowu się jeść chciało. Przypominam sobiem wybuch homerycznego śmiechu, gdy wchodząc kiedyś do naszej kwatery sztabowej zawołał kochany pułkownik Dziewulski: »Ci tylko cały dzień jedzą!« Niemniej zasiadł z nami do tej biesiady. A jednak mając herbatę i papierosy, a od czasu do czasu jakąś gratkę z Warszawy w postaci wódki i wędlin, żyło się przedewszystkiem wesoło.

Tymczasem byliśmy od pierwszych dni przybycia w kontakcie z nieprzyjacielem; akcja wojenna zaczęła się rozwijać, grupa nasza rozciągała się w coraz rzadszą siatkę. Dwa plutony z mojego szwadronu, również część piechoty majora Mackiewicza poszły do Skidla, na południe od Grodna. Reszta grupy ze sztabem stała w Mostach, gdyż obrona tej ważnej linii i stacji węzłowej: Mosty — Lida — Wilno i Mosty — Grodno była głównem zadaniem grupy zaniemeńskiej. Wywiady nasze posuwały się coraz dalej przez Szczucin ku Lidzie; ludność miejscowa dostarczała nam najdokładniejszych wiadomości nie tylko o ruchach nieprzyjaciela, ale nawet o jego zamiarach, które przez niedyskrecję bolszewickich sztabowców przedostawały się do uszów inteligencji polskiej. Mówiąc o ludności miejscowej, mam na myśli ludność polską na Litwie, tak polską, tak szczerze i jednolicie »narodowo« polską, jak nigdzie w centrum kraju.

Z wywiadów i poufnych wiadomości, dostarczanych nam przez księży, nauczycieli, chłopów katolików, szlachtę

drobną, wiadomem było sztabowi grupy, że duże siły bolszewickie gromadzą się w Lidzie, i że w krótkim czasie mają przejść przez rzekę Dzitwę i Lebiodę, uderzyć na nas pod Mostami, zdobyć przyczółek mostowy, i po zgnieceniu naszej grupy iść na Wołkowysk, Białystok, Warszawę i t. d.

Równocześnie zaczęły się kręcić koło nas, nad Niemnem, mocno podejrzane figury, przeważnie żydzi, szpiegi i agitatorzy bolszewicy, nadziani pieniędzmi i odezwami bolszewickimi, drukowanymi po polsku przez towarzyszków Polaków z bolszewji, namawiającami naszych do rzucenia służby w wojsku polskim, a przechodzenia do »krasnoarmiejców«. Żle się wybrali »towariszczi« z warszawskiego sowieckiego pułku piechoty; widziałem raz dzielnych suwalskich chłopców majora Mackiewicza, jak jednego takiego agitatora wraz z odezwami przyprowadzili do swojego dowódcy. Agitator (wyjątkowo nie żyd) udawał trochę głupiego — niemowę; gdyby nie major Mackiewicz, byłiby go te dzielne chłopcy rozerwali na sztuki. Żołnierze nasi łapali tych łotrów codziennie kilku, — po rewizji w sztabie, po obliczeniu i opieczętowaniu znalezionych pieniędzy i dowodów szpiegostwa lub agitacji, odsyłało się aresztantów pod konwojem do dywizji. Prawie zawsze »próbowali w drodze ucieczki«, zwłaszcza w jednym miejscu, gdzie gościniec do Wołkowyska szedł groblą wśród gęstej olszyny na bagnie z jednej i drugiej strony. Tam zwykle usiłowali uciec, ale tam też i konwój dobrze uważał, i nie wiem, czy choć jednemu udało się ta impreza.

Tymczasem doszły nas wiadomości pewne, że nieprzyjaciół ruszył z Lidy w kierunku na Szczucin i że 7-go marca będzie już pod Szczucinem. Ponieważ sztab dywizji litewsko-białoruskiej w myśl swojego dowódcy, generała Szeptyckiego (generał Iwaszkiewicz objął w tym czasie front



łwowski, a generał Szeptycki litewsko-białoruski) uważał, że lepiej atakować, niż być atakowanym, że najlepszą obroną jest ofenzywa, zostaliśmy wezwani na »odprawę« do sztabu naszej grupy zaniemeńskiej, na której — po wyjaśnieniu, jaka jest sytuacja, otrzymaliśmy rozkaz szykować się zaraz do marszu na Szczucin, dokąd już konne nasze wywiady ruszyły.

Miasteczko Szczucin, dość porządne i wojną niebardzo zniszczone, z kościołem katolickim, piękną rezydencją i ogromnym folwarkiem ks. Hieronima Lubeckiego, przecina szosa idąca z Grodna na Lidę do Wilna, względnie do Mołodeczna. Okolica bardzo lesista, lasy wspaniałe, a i ziemia nie taka licha, jak pod Mostami. Po przybyciu naszej grupy (7-go marca) do Szczucina, zamknięto przede-wszystkiem całe miasto posterunkami, by się nikt z miasta przez dwadzieścia cztery godzin nie mógł wydalić. Tyczyło się to przede-wszystkiem sympatyków bolszewickich — żydów, by nie mieli możności zawiadomić bolszewików o naszych ofenzywnych zamiarach.

Sztab zakwaterował się w ciepłym, miłym mieszkaniu p. Pasewicza, administratora dóbr szczucińskich, a oboje państwo Pasewiczowie gościnnością swą i uprzejmością zapisali się mile w naszej pamięci. Zaraz pierwszego wieczoru, na »odprawie«, wydano następujące rozkazy:

»Nieprzyjacieli, w sile dwu bataljonów warszawskiego sowieckiego pułku, jednego bataljonu marynarzy, jednej szybkostrzelnej baterji i czternastu karabinów maszynowych, zajmuje odległy o 16 wiorst od Szczucina folwark Możej-kowo, skąd jutro, 8-go marca, ma zaatakować Mosty. Wobec powyższego, grupa zaniemeńska uderzy jutro, 8-go marca, na Możej-kowo, z dwóch stron, mianowicie: rotmistrz Kossak wyruszy dziś w nocy, przed świtem, z kolumną obchodową

(3-ci i 4-ty szwadron i dwa działa), okrążając od południa lasami folwark Możejkowo, i zaatakuję nieprzyjaciela od strony południowo-wschodniej, skąd tenże ataku przypuszczać nie może. O godz. 7-mej rano wyruszy ze Szczucina kolumna główna, pod majorem Mackiewiczem (trzy kompanje suwalskiego pułku piechoty, dwa działa, szwadron wojewódzki), i idąc szosą lidzką, uderzy na Możejkowo. Zadanie obu kolumn: wyprzeć nieprzyjaciela, wyrzucić za rzekę Lebiędę, mosty na tej rzece (kolejowy i szosowy) zniszczyć».

Niezmiernie uradowany odpowiedziałnem zadaniem, pobiegłem do proboszcza z prośbą o pewnego przewodnika. Marsz bowiem nocny przez lasy, tylko z pomocą mapy, mógł mnie łatwo narazić na zabłąkanie, a tem samem opóźnienie i zwichnięcie całej akcji. Niemcy, którzy dłuższy czas zajmowali tę część Litwy, zaczęli na wielką skalę eksploatację lasów, nie żałując kolejek, nowych dróg drewnianych (»Prügelwege«) i tartaków, co topografię rzeczywistą czyniło zupełnie różną od naszej, wskazanej na mapach.

Załatwiwszy sprawę u proboszcza, który chętnie i życzliwie obiecał mi przewodnika, poprosiłem do siebie dowódców szwadronów i półbaterji, by jeszcze otrzymane zadanie wspólnie z nimi omówić. Szwadronem 3-cim 4-go pułku ułanów dowodził por. Prądyński, szwadronem 4-tym 4-go pułku ułanów por. Nowicki, półbaterję miał poprowadzić dowódca 1-go Daku (dywizjonu artylerji konnej), rotmistrz Mirza Sulkiwicz. Chodziło mi o to, by przy pochodzie kolumny mojej po okrężnych drogach leśnych i drózkach uniknąć, a przynajmniej zabezpieczyć się od załamania mostku jakiego pod armatami, ugrzęźnięcia w bagnie, jednym słowem od wszystkiego, co mogłoby pochód kolumny opóźnić lub zdradzić go przed nieprzyjacielem. Z podanych na odprawie danych wiedzieliśmy, że mamy



przed sobą siły względnie ogromne (około 1500 ludzi), że nieprzyjaciół zajmuje duży, solidnym murem otoczony folwark, położony na dominującym nad okolicą wzgórzu, że ma cztery szybkostrzelne nowoczesne armaty (podczas kiedy my mamy tylko dwie stare austriackie armaty z r. 1875), że ma czternaście karabinów maszynowych (a my tylko dwa), że schowanego za murem folwarcznym nieprzyjaciela będziemy musieli atakować w szyku pieszym, tyraljerą, wyprowadzając do boju co najwyżej 100 ludzi, gdyż jedna trzecia część ułanów musi trzymać konie walczących, jeden zaś pluton będzie zmuszony trzymać jako rezerwę i osłonę artylerji zarazem. Na to rady nie było; więcej nas bolała myśl, że atak w szyku konnym jest prawie wykluczony, — bo ten jest zawsze najpewniejszy i najmilszy.

Na zakończenie omówiliśmy jeszcze przygotowanie środków technicznych i narzędzi, potrzebnych do zerwania mostów na rzece Lebiodzie.

Zaczem w nocy, przed świtem, ruszyliśmy w największej cichości. Zaraz za miasteczkiem zapuściliśmy się w las, dziękując Bogu za myśl wzięcia przewodnika, bez którego, mimo busoli i mapy, nie bylibyśmy się nigdy mogli zorjentować, bo cały las był pocięty siecią nowych dróg, nieistniejących na mapie. Przewodnik, uczciwy i porządny człowiek, prowadził nas rażno, obiecując za kilka godzin wyprowadzić w pobliże Możejkowa.

Jakoż koło godziny 9-tej rano wyjechaliśmy z lasów na otwarty teren — i równocześnie, kiedy my obserwujemy widoczny na wzgórzu, o półtorej wiorsty oddalony folwark Możejkowo, jesteśmy także przez nieprzyjaciela spostrzeżeni i natychmiast silnym ogniem baterji i karabinów maszynowych ostrzeliwani. Przed nami wąska grobla, przez którą tylko trójkami nasza dość długa kolumna przejechać

musi. Na groblę tę sypią się pociski jeden za drugim; jadę na przodzie, koło mnie dzielny, kochany kolega, rotm. Mirza-Sulkiewicz. Jedziemy spokojnego zebranego kłusa, żeby szybszem tempem nie wywołać zatkania i wogóle zdenerwowania. Za nami dwoma por. Prądyński prowadzi 3-ci szwadron 4-go pułku ułanów; na przodzie szwadronu plutonowy Sułowski Tadeusz, stary wiarus wachmistrz Lisowski Leon, obok Dekanski Tadeusz, podoficer, — wszyscy ziemianie z Płockiego, wszyscy wraz z wieloma innymi, których nazwisk nie pamiętam, »morowe« chłopcy. Padają ranni żołnierze i konie; ogień nad groblą coraz silniejszy. Ja z rotm. Sulkiewiczem, zdawszy dowództwo por. Prądyńskiemu, ruszam galopem naprzód, by wybrać pozycję dla naszych dwóch armat. Oglądam się jeszcze, jak się sprawa kolumna w tym ogniu, i widzę z radością i słyszę, jak podoficer Sułowski w tym najgorszym momencie intonuje: »Jeszcze Polska nie zginęła«, a cały szwadron 3-ci, idąca w środku półbaterja, za półbaterją 4-ty szwadron por. Nowickiego, wpada w tempo pieśni — i rozlega się mazurek Dąbrowskiego przy akompanjamentem trzasku szrapneli i granatów. Słuchałem jej zawsze z radością, ale tej, śpiewanej wtenczas na grobli pod Możejkwem, nie zapomnę nigdy.

Przejechawszy fatalną groblę, ustawiamy na wybranej pozycji w małym lasku, na wzgórzu, półbaterję; za wzgórzem lokujemy konie artyleryjskie i konnowodów, półtora szwadronu rozwijamy w tyraljery, a dwa plutony pod por. Nowickim zostają w szyku konnym, by czuwać nad naszym prawem skrzydłem i półbaterją. Pomimo że nas jest garstka w porównaniu do atakowanych przez nas bolszewików, posuwamy się stale naprzód ku folwarkowi, który grzmi kanonadą jak forteca... »Powstań!« — »Padnij!« — »Naprzód!« — powtarza się komenda bez zmiany; granaty



i szrapnele sypią się, ale linja nasza ma takie duże dziury, — jeden tyraljer od drugiego o 50 kroków — że wielkiej krzywdy nam nie robią, podczas kiedy nasze dwie armaty (wcale niezłe te austriackie *Stahl-Bronz-Uchatius-Kanonen*, tylko wolno się z nich strzela, bo po każdym strzale cofają się wtył i trzeba nastawienie poprawiać), doskonale kierowane, walą w folwark, gdzie skoncentrowany nieprzyjaciół ponosi duże straty. Przechodzimy z por. Prądyńskim koło linji tyraljerów, i widząc, jak się nasi chłopcy sprawiają, rzucamy się z radości w ramiona. W danym momencie widać, że celny granat nasz wywołał jakieś wielkie zamieszanie na folwarku; ułani wołają: »Niech żyje artylerja konna!«, artylerja odpowiada: »Niech żyją ułani!« — Nastrój ogólny bajeczny!

Podjeżdżam do półbaterji pod lasem. Przy jednej z armat uwija się zręczny, silny podoficer; pracuje zawzięcie, bo radła od armat łamią się na zmarzniętej ziemi. Kurtkę zrzucił, rękawy od koszuli zawinął, i zwija się jak w ukropie.

— Brawo, kolego! — jak nazwisko? — mówię.

— Ogniomistrz Herse — odpowiada mi dzielny artylerzysta, syn współwłaściciela znanej firmy warszawskiej.

— Gdzie pan rotmistrz? — pytam się w dalszym ciągu.

— Tam, panie rotmistrzu! — i pokazuje mi sosnę, na której wysoko, na konarze stoi rotmistrz Suliewicz z lornetą przy oczach a telefonem przy ustach i w ten sposób kieruje ogniem swojej półbaterji.

Zobaczywszy mnie pod sosną, na której wisało sporo gałęzi obciętych kulami, zeskakuje rotm. Suliewicz jak wiewiórka; odbywamy krótką naradę.

— A więc jeszcze bliżej ku folwarkowi z półbaterją, bo główna kolumna powinna być niedaleko od przeciwnej

strony Możejkowa; — trzeba im zadanie ułatwić; ja ruszę zaraz z tyraljerą do szturm.

Podczas kiedy rotm. Suliewicz podsuwa się z półbaterją, a tyraljera podbiega skokami: »Padnij! — Powstań! — Biegiem!« ku tej fortecy, jaką było Mojżekowo, słyszymy strzały armatnie od zachodu (godzina 13<sup>1/2</sup>). Ogień przeciwko nam słabnie, a cały gwar bitwy i trajkot karabinów maszynowych słyszymy od strony Szpilkowa i wsi Możejkowa. Równocześnie melduje por. Nowicki, że nieprzyjacieli opuszcza Mojżekowo, że artylerja bolszewicka zmyka galopem szosą ludzką ku mostowi szosowemu na rzece Lebiódzie. Rozkazuję dzielnemu por. Nowickiemu ścigać nieprzyjaciela, i uważając bitwę za wygraną, pozostawiam nieprzyjaciela w Szpilkowie i wsi Możejkowie na pastwę głównej kolumnie, a sam z ułanami i półbaterją ruszam wzdłuż toru kolejowego ku mostowi kolejowemu na rzece Lebiódzie, by resztę zadania wypełnić — a mianowicie zerwać mosty szosowy i kolejowy na tej rzece, zamknąć tem samem drogę do odwrotu taborom nieprzyjacielskim, bo co do artylerji nie mam nadziei, żebym ją dogonił. Przybywamy nad rzekę. Most kolejowy już zerwany, również i szosowy — sam wróg zadanie ułatwił; artylerja bolszewicka i część piechoty bolszewickiej już z tamtej strony rzeki; w mig ustawia rotm. Suliewicz swoją półbaterję i wali przez rzekę do nieprzyjaciela. Celny nasz granat rozbija jedną armatę z obsługą i zaprzęgiem. Tabory, kancelarja i sporo jeńców wpadło w ręce głównej naszej kolumny.

Stanąwszy nad rzeką, posyłam raport do głównej kolumny i proszę o dalsze rozkazy. Wraca podoficer Sułowski Tadeusz z 4-go p. ułanów z rozkazem od pułkownika Dziewulskiego, że wraz z moją kolumną mam wracać tą samą drogą do Szczucina. Zanim półbaterja ściągnęła z pozycji



nad rzeką straże boczne, zanim odbyła się zbiórka i obliczenie strat w zabitych i rannych, nadszedł wieczór. Dopiero teraz głód, zimno i zmęczenie zaczęliśmy odczuwać, dopiero teraz czuję wściekły ból głowy i lewego ramienia, zeszywniałego od kontuzji. Każę przyprowadzić »Królowę«, bo siadamy, by jechać z powrotem, — ale ona tak samo smutna, łbem potrząsa, oczy ma przekrwione. Od jednego pocisku, który koło naszych głów przeleciał, gdy się na niej podczas bitwy uwijał, oberwaliśmy z moją przyjaciółką kontuzję. Mróz chwyta na noc ostry, głód dokucza, a najbardziej ta myśl, że armaty bolszewickie zdążyły uciec przed zerwaniem mostów.

Do Szczucina kilka godzin drogi: przyjedziemy w nocy kiedy główna kolumna, mająca bliższą drogę i szosę, uprzedzi nas znacznie, zje niewątpliwie wszystko, co będzie do zjedzenia, zajmie kwatery; nie wiem nawet, czy w domku pana Pasewicza znajdzie się jakie miejsce dla mnie, bo na froncie kto pierwszy, ten lepszy. Klacz kochana łbem kiwa, smutna; widocznie boli ją głowa, podobnie jak mnie. Po kilkugodzinnym marszu po leśnych drogach, pokrytych nawpół zlodowaciałym śniegiem, dojeżdżamy nareszcie o północy do Szczucina. Zmierzam ku dworkowi w ogrodzie; w oknach się świeci, — dobry znak! Wchodzę i oczom nie wierzę:

Wszyscy na mnie czekają! Kochany pułkownik Dziewulski z całym sztabem; — stół nakryty, mnóstwo dobrych rzeczy, wódka, a w kącie samowar szumi rozkosznie. Pułkownik ściska mnie serdecznie, winszując bitwy dzisiejszej. Przy wieczerzy opowiadamy sobie wrażenia z dnia dzisiejszego. O moim szwadronie wojewódzkim, który na czas tej wyprawy przydzielony był do głównej kolumny, słyszę od pułkownika Dziewulskiego najpochlebniejszą opinię, jestem więc »w siódmym niebie«, — a tu jeszcze zacny gospodarz,

p. Pasewicz, widząc moje przekrwione oko i spuchniętą głowę, proponuje mi na tę noc swoje łóżko. Przyjmuje ofiarę z radością, lecz przedtem jeszcze biegnę do mojej klaczy. Felczer przy niej już był, uspokoił ordynansa, że »Królowa« za parę dni przyjdzie do siebie. Półgębkiem wprawdzie, ale bierze się do owsa, — dwa wiadra ciepłej wody z solą i otrębami wypila. Uszczęśliwiony, całuję ją gorąco w pachnący, aksamitny pyszczek, chrupiący kawałek cukru.

Bitwa pod Możejkowem — pierwsza bitwa, w której prowadziłem samodzielną akcję, — jest dla mnie jednym z najmilszych wspomnień, tem bardziej, że za tę bitwę właśnie miałem zaszczyt być podanym przez pułk. Dziewulskiego i gen. Szeptyckiego do krzyża *Virtuti Militari*.

Ofenzywa bolszewicka na Mosty nie udała się; zamiast 1-go iść na południowy zachód, cofnęli się bolszewicy na wschód, z powrotem do Lidy. Od 8—22-go marca 1919 grupa zaniemeńska przebywa jakiś czas w okolicy Szczucina, Radunia i Wasiliszek, prowadząc ciągle wywiady ku Lidzie i Wilnu, zasilając się potrochu przybywającymi oddziałami uzupełniającymi.

W wywiadach tych zarówno mój szwadron wojewódzki, jak i dwa szwadrony 4-go pułku ułanów odznaczyły się wielokrotnie; epizodów rycerskich, w których męstwo i zimna krew stanowiły o powodzeniu wywiadu, a nieraz o ocaleniu oddziału, notuje historia szwadronu wojewódzkiego bardzo wiele.

Kapral Tadeusz Tarnowski z kuzynem swoim Zdzisławem Tarnowskim i kilku ułanami wysłani zostali na wywiad do Radunia, miasteczka nad rzeką Pielasą. Wieś była zajęta przez bolszewików, którzy przepuściwszy szpicę, rozpoczęli ogień do patrolu; klacz kaprała Tarnowskiego pada zabita i przygniata jeźdźcą, na którego z okien i drzwi



sypią się kule, podczas kiedy ułani patrolu walczą i bronią szablami od otaczających ich bolszewików. Zdzisław Tarnowski z jednym z ułanów wśród zamętu walki wyciągają kaprała Tadeusza Tarnowskiego z pod zabitego konia i sadzają go na małego kozaczka (zdobytego parę dni przedtem na bolszewikach), i strzelając bezustannie z brauningów, wycofują się wraz z patrolem z tej zasadzki cało i zdrowo, pomimo że dzielna szkapina (taki sobie bułanek, więcej do osła niż do konia podobny), niosąc na sobie dwóch ułanów Tarnowskich (chłopców na schwał), dostaje kulę w pęcinę. Dzielny ten bułanek, którego z początku chciałem wyrzucić, żeby nie szpecił szwadronu, został jednym z faworytów oddziału, odbył wszystkie marsze i bitwy aż do zawarcia pokoju — z rany wyleczył się zupełnie. Obaj Tarnowscy otrzymali »Krzyże Walecznych«. P. por. Stanisław Szeliski, wysłany na wywiad nad rzekę Dzitwę do miejscowości Ejszyszki, otoczony całą zgrają bolszewicką, wali z rewolweru na prawo i lewo, kładzie trupem trzech bolszewików — reszta ucieka, — a on, spełniwszy zadanie, cało i zdrowo wraca do oddziału.

Podczas bitwy pod Ejszyszkami ułan Lamparski, będący w linji tyraljerów bardzo blisko nieprzyjacielskiej tyraljery, morduje się z łuską (magazyn z 5 kulami), która nie chce wejść w karabinek, i równocześnie widzi, że jego *vis-à-vis* mierzy do niego; — nie tracąc fantazji (i, przyznać trzeba, humoru!) woła Lamparski: »Padażdi sukinsyn! padażdi!« — Bolszewik zgłupiał. Łuska tymczasem weszła, Lamparski strzelił i bolszewika gapę położył.

Por. Stanisław Szczucki robi kilkakrotne wywiady głęboko w linje nieprzyjacielskie, przywożąc zawsze dużo wiadomości ważnych, często parę zdobytych koni bolszewickich, a nie tracąc nic z oddziału.

Dnia 22-go marca 1919 otrzymał sztab grupy zanie-

meńskiej dywizji litewsko-białoruskiej rozkaz wykonania rejdów na Lidę, celem zaatakowania nieprzyjaciela, zbadania jego sił i pokrzyżowania mu zamiarów ofensywnych.

Rejd ten na Lidę pozostał nam wszystkim w pamięci jako jeden z najuciążliwszych epizodów kampanji litewskiej.

Pomimo wiosny kalendarzowej i astronomicznej, w dniach tych (22, 23 i 24-go marca 1919 roku) temperatura była — 12<sup>0</sup> R., czyli mróz siarczysty, w połączeniu z wiatrem wschodnim, t. zw. »wycinkiem«, przenikającym przez krótki kożuszek i mundur do kości; ręce przymarzały do cugli, stopy do strzemion, przytem ślizgawica na szosie, a hacele tępiły się po kilku godzinach; jazda kłusem, który trochę rozgrzewa, była utrudnioną, — jednym słowem, warunki atmosferyczne »pod psem«!

W rejdzie brała udział tylko jazda i artylerja konna. Do jazdy, będącej jak dawniej pod moją komendą, przybyły jeszcze dwa szwadrony 7-go pułku ułanów pod majorem Głuchowskim (dziś dowódcą 7-go p. ułanów). Oba te oddziały jazdy — majora Głuchowskiego i mój — wraz z baterją konną rotm. Mirzy Sulkiwicza, poprowadził na Lidę dowódca grupy, pułk. Dziewulski. Maszerując od świtu lasami, przybyliśmy koło godziny 8-mej rano pod miasto Lidę, o niecały kilometr od koszar, leżących na zachodnim krańcu tego miasta. Koszary zajęte były przez znaczne siły bolszewików, którzy się zupełnie takich gości nie spodziewali i żadnych wart ani patroli nie wystawili: — spali sobie jak się patrzy. Obudzenie było mniej przyjemne, bo na rozkaz dowódcy grupy, artylerja nasza rozpoczęła ogień na bliski dystans, prosto w koszary, a co parę strzałów jakiś granat lokowała w stację kolejową, gdzie stał opancerzony pociąg bolszewicki, który, będąc pod parą, zaczął się ruszać to wtył, to naprzód, żeby utrudnić nam celowanie.



Na to »dzień dobry!« z naszej strony zrobił się w koszarach i w mieście rwetes i alarm, skrzęt i zamęt. Wachmistrz Lisowski Leon z 4-go p. ułanów wpadł z kilkunastoma ułanami, i korzystając z paniki wezwał do poddania się cały bataljon; bolszewicy byli już gotowi złożyć broń, ale przybiegł inny oddział bolszewicki i wyparł garstkę naszych.

Bitwa zaciekała rozwija się na całej linii, pociąg opancerzony sypie do nas granatami i szrapnelami, kręcąc się po linii tu i tam; artylerja bolszewicka stanęła na wschód od Lidy na wzgórzach od strony Mołodeczna, i wali do nas o 8 km. Nasze stare działa niosą tylko na 5 km, nie jej więc zrobić nie możemy. Wtem celny granat rotm. Sulkiewicza trafia w ruszający się ciągle opancerzony pociąg, w samą lokomotywę: — pociąg ubezwładniony, a do stojącego trafiają teraz granaty jeden po drugim. Nasza tyraljera ułańska posuwa się coraz dalej w głąb miasta, w mieście wre i kipi, — oprócz bolszewików walczy z ukrycia, z okien, z poddaszy, żydostwo litwackie.

Niezliczone tabory bolszewickie i żydowskie uciekają na wschód w stronę Mołodeczna. Godzina mniej więcej druga po południu, — słysząc jakieś strzały na prawo od naszej drogi, w stronie rzeki Dzitwy. Na rozkaz dowódcy grupy jadę z ordynansem zobaczyć, co się to tam dzieje. Zapuszczam się w las szeroką piaszczystą drogą, i zrobiwszy parę kilometrów, przekonuję się, że to nasz oddział przybyły z nad Myta bierze udział na skrzydle w ogólnej akcji. Wracam galopem, by zameldować o tem sztabowi i przejeżdżam tą samą szeroką leśną drogą. Obok tego gościńca w wysokim starym lesie stoją konnowody artyleryjskie mojego oddziału i 7-go p. ułanów, to wszystko obstrzeliwane granatami i szrapnelami bolszewickimi, które psują duże drzewa starego lasu, ale oddziałom straty nie wyrzą-

dzają. W moich oczach pada granat w ogonek konnowodów 7-go pułku ułanów, stojący przed kuchnią polową jednego ze szwadronów majora Głuchowskiego (typowego polskiego ułana i dzielnego dowódcy); — granat nie pękł na szczęście (byłby narobił jatek strasznych) — z dziury, jaką zrobił obsypał ułanów piaskiem, kilku pędem powietrza przewrócił, ale nikogo nawet silniej nie kontuzjonował.

Dojeżdżam, aby sprawdzić, i czuję, zgłodniałym będąc strasznie, że z tej kuchni polowej idą nadzwyczajne jakieś zapachy.

— A co to u was w kotle? — pytam się rozbawionych epizodem z granatem ułanów.

— Pęczak z kurą, panie rotmistrzu! — odpowiada z dumą kuchmistrz ułanów.

— Z kurą???

— Tak jest, panie rotmistrzu, z kurą; może pan rotmistrz pozwoli?

Ma się rozumieć, uprzejmą ofertę przyjąłem i zdumiałem się, gdy, zaczerpnąwszy warzączki na chybił trafił, napełnił mi żołnierski rondelk gorącym pęczakiem z kilkoma kawałkami kurzego czy koguciego mięsa. Cóż to była za uczta! Blisko dwadzieścia godzin bez niczego w ustach, przemarznięty nocnym marszem, połknąłem ten rondelk pęczaku jak olimpijską ambrozję. Skąd ci spryciarze z 7-go pułku ułanów mogli w tym biednym piaszczystym kraju »zarekwirować« (!) czy kupić (o czem wątpię) tyle drobiu, żeby w każdej szalce był jeden lub dwa kawałki kury, — tego ja nie zgadnę nigdy; to tylko wiem, że mi to niespodziewane zaspokojenie straszego głodu zostanie długo w pamięci, nietylko jako pyszna uczta, ale i jako dowód, że w takich wypadkach względy etyczne idą w ką, — bo gdy połykałem ten pęczak, było mi zupełnie obojętne, jakie jest



pochodzenie potrawy. — Pamiętając o tem, nie dziwiłem się i nie byłem nigdy srogim w następnych ciężkich czasach, gdy widziałem żołnierzy zbyt energicznie dopominających się po wsiach ukraińskich o sprzedaż lub danie żywności.

Tymczasem zbliża się zachód słońca; mróz bierze coraz większy, wicher tnie jak nożem, bitwa się kończy. Dla przekonania się, czy miasto zostało przez bolszewików całkowicie opuszczone, wysyłam na rozkaz pułk. Dziewulskiego dwa plutony moich dzielnych ułanów pod dowództwem por. Szczuckiego. Zaledwie por. Szczucki ze swoim oddziałem podjechał w pobliże miasta, zaczyna się strzelanina nieustająca ani na chwilę, z karabinów maszynowych i ręcznych. Sztab jest bardzo zaniepokojony o los oddziału, a ja w rozpaczę, bo nie wystawiam sobie, żeby choć połowa mogła z tego ognia wrócić. Wtem przylatuje co koń wyskoczy dzielny plutonowy z mojego szwadronu, M. Orzeszkowski, inteligentny, odważny, pyszny kawalerzysta i pierwszy tenor w oddziale. Bez czapki, bo mu ją kula nieprzyjacielska zerwała, melduje od por. Szczuckiego, że miasto jeszcze silnie obsadzone, a porucznik pyta się, co ma robić? Za zgodą szefa sztabu powiadam: »Wracać natychmiast!« I wracają wszyscy; niektórzy bez czapek, wielu ma dziury w siodłach i mundurach, ale wszyscy cali i zdrowi. Tylko najlepszy w szwadronie koń ułana Rogowskiego padł pod jeźdźcem, ale Rogowskiego wzięli koledzy — i moi dzielni chłopcy są znowu, wszyscy. Jakim cudem wyszli z gradu kul bez straty, tego do dziś dnia nie pojmuję; nieraz jeszcze widziałem tego rodzaju przykłady szczęścia czy przeznaczenia, sam byłem niejeden raz, jak później opowiem, w pozycji napozór bez wyjścia, — zawsze się szczęśliwie skończyło. W każdym razie utarła się legenda w szwadronie, a potem dywizjonie moim, że pod moją komendą

nikomu się krzywda nie stanie. Wierzyły w to matki wielu ułanów, tem silniej, że, jak przyszłość pokaże, ile razy dowodził szwadronem kto inny, szwadron ponosił bolesne straty.

Wobec tego, że nieprzyjaciel nie opuścił Lidy całkowicie, a baterje jego, ustawione na wzgórzach od strony Mołodeczna, obsypują nas granatami i szrapnelami, cel zaś rejdru osiągnięty, bo nieprzyjaciel stropiony wycofuje się na wschód, siły zaś jego obliczone z zeznań jeńców mniej więcej dokładnie, dowódca grupy wydaje rozkaz do odwrotu, do miejsca, skąd nastąpił w nocy minionej wymarsz, t. j. do Wasiliszek.

Godzina 6 wieczorem (24 marca), mróz coraz większy, słońce zachodzi krwawo na mróz i wiatr, — toteż siecze nas po twarzy i rękach jak rozpalonem żelazem. Mamy za sobą jeden marsz nocny, cały dzień bitwy, a przed sobą całą noc marszu. Żeby choć kropla wódki albo szklanka herbaty! (błogosławiony trunek; i w zimie i w lecie). Co kto miał w manierce lub termosie, dawno do spółki z kolegami wypił. Ja z moim szwadronem dostaję rozkaz osłaniania tyłów kolumny, bo nieprzyjaciel, zmiarkowawszy, że się cofamy, manifestuje zamiary ofenzywy. Stoimy na pozycji, aż główna kolumna odejdzie na odpowiedni dystans, i wytrzymujemy bez szkody armatnie salwy bolszewickie. Słońce zaszło, a ponieważ w tych właśnie dniach przypadał nów księżyca, nastaje więc odrazu noc ciemna zupełnie. Ruszamy nareszcie, ostrzeliwani pewien czas na chybił-trafił szrapnelami bolszewickimi, i staramy się jak najlepiej zabezpieczyć tyły kolumny na szosie i po obu flankach szosy. Proszę sobie wystawić zgłodniałych, zmarzniętych, całodzienną bitwą zmęczonych ułanów, na koniach tak samo wyczerpanych i głodnych, którzy mają pociemku, o tysiąc kroków od



szosy na lewo i tyleż na prawo przeglądać teren, czy nieprzyjaciel nie szykuje zasadzki. My nawet naszych koni nie możemy zobaczyć, a cóż dopiero nieprzyjaciela, któryby się przecie ogniem bengalskim nie oświecał. Biedne konie ślizgają się po zamarzniętych bagnach i bajorach, wpadają w rowy zakryte śniegiem, a ja, mając obowiązek czuwać nad odwrotem kolumny i zachować od niej mniej więcej wiorstę dystansu, nie widzę ani szosy, którą jedziemy, tem bardziej naszej kolumny, nawet tak zwanych łącznikowych, t. j. pojedynczych ułanów, jadących między kolumną a mną. Wszystkich nas morzy sen, — druga to przecie noc na koniu, a cały dzień bitwa! Nie mam serca robić wymówek, bo i mnie napada śpiączka, chwilami tak przemożna, że ani papieros ani szczypanie się nie pomoże. Niestety sen mój trwał zawsze bardzo krótko; ile razy później był nam ten jeden tylko spoczynek dostępny, śpiąc na koniu śniłem zaraz, że jadę konno, ale we śnie widziałem inny krajobraz, inną drogę, inne przeszkody, skręcałem od kolumny w rów, albo na płot, lub chałupę, — cucilem się natychmiast, zawstydzony wobec mojej klaczy, którą te fantastyczne senne rejdy męczyły również. Pytałem się nieraz kolegów, czy mają to samo usposobienie; żaden tego nie doznawał: spał to spał, puścił powody i zdał się na rozum swojego konia; — ja siebie i moją klacz męczyłem zawsze niepotrzebnie.

Maszerujemy już kilka godzin. Mróz i wiatr coraz ostrzejszy. Około północy meldują mi łącznikowi, że jesteśmy »na ognie« kolumny, do której, nie orjentując się w ciemnościach, przysunęliśmy za blisko. »Stój!« — »Do zsiadania!« — »Z koni!!!« Trzeba się zatrzymać i zaczekać z dziesięć minut, aż kolumna główna oddali się na odpowiedni dystans. Przyznaję, że sam nie mam ochoty zsiadać, żeby się za chwilę nie fatygować wsiadaniem, i zasypiam

natychmiast na stojącej w miejscu klaczy. Budzi mnie śpiew, gwizdania i tupot jakiś na szosie: to moje dzielne chłopcy, ułani wojewódzkiego szwadronu (dziś wszystko oficerowie czynni lub zapasowi w różnych pułkach jazdy polskiej) dla rozgrzania się i zabicia głodu tańczą sobie oberka na szosie, tańczą na zmianę: — jedni tańczą, drudzy trzymają konie, gwizdząc lub śpiewając, i *vice versa*. Ma się rozumieć, zsunąłem się z konia, i z radości, że mam takich podkomendnych, ocuciłem się i wytrzeźwiałem zupełnie. O ile mi się zdaje, sam także parę obrotów oberka zatańczyłem.

Dystans przywrócony. »Baczność!« — »Do koni!« — »Do wsiadania!« — »Na koń!«... Dopiero o 9-ej rano przybyliśmy do miejsca, skąd się rejd na Lidę rozpoczął, byliśmy więc półtorej doby, czyli 38 godzin na koniu, t. j. w marszu lub w bitwie, o głodzie i na ostrym mrozie z wiatrem. Pomimo marszu nocnego w ciemnościach i tych ciężkich warunków, szwadron mój nie miał ani jednego żołnierza chorego, ani jednego konia skaleczonego; jedyną stratą był zabity śliczny kasztan Rogowskiego. Bitwy i takie trudy, które się znosiło wspólnie z humorem i fantazją ułańską, łączą wszystkich uczestników — bez względu na rangę — na zawsze; chwile takie najcięższe wspomina się potem, po skończonej wojnie, przy spotkaniu z kolegami z wzajemną sympatją i uznaniem.

Żaden »cywil« albo żołnierz »tyłowy« (mieliśmy kilku elegantów, którzy, dopóki szwadron stał w Warszawie, paradowali u Lours'a lub w teatrze, a jak przyszło iść w zimie na front, zachorowali), żaden, powtarzam, nie pojmie, co to za rozkosz wyciągnąć się po takich 38 godzinach rejdu na łóżku polowem, albo na snopie słomy, i wypić, już na poły śpiąc, z wiadro gorącej herbaty. Że tam w »sypialni«



cielę beczy, kury gdaczą i pluskwy gryzą, to rzetelnego ułana nie denerwuje; śpi, dopóki wolno, i wstaje gotów do nowej służby.

W krótki czas potem, w grupie zaniemeńskiej zaszły znaczne zmiany. Dowództwo grupy, silnie powiększonej, objął generał Józef Lasocki (także kolega mój z jazdy austriackiej, z tego samego pułku); pułkownik Dziewulski dowodził swoim 4-y pułkiem ułanów i moim szwadronem, który przemianowany został na 4-ty szwadron 3-go pułku ułanów, i do tego pułku wcielonym. Nowy prąd w sztabie generalnym, uważając powiększenie liczebne oddziałów jazdy za zbyt wielki ciężar dla kraju, wstrzymał formacje szwadronów wojewódzkich, te zaś, które były już sformowane, postanowiono włączyć do istniejących pułków jazdy. Kampanja kijowska miała wkrótce wykazać, jak dalece rozporządzenie to było mylnem, przewidywania zaś gen. Rozwadowskiego słusznymi.

Równocześnie, przez przybyłego do Górnofelu (miejsce naszego postoju) rotm. Stanisława ks. Radziwiłła otrzymałem rozkaz, że mam zdać mu dowództwo szwadronu, a sam stawić się w Warszawie, by objąć stanowisko oficera sztabowego w 3-im pułku ułanów.

Nieodżałowanej pamięci rotm. Radziwiłł, ordynat dawidgrodzki, nieustraszony bohater, głośny w całej armji, dowodził jakiś czas b. szwadronem wojewódzkim, został następnie adjutantem Naczelnego Wodza; zginął podczas kampanji kijowskiej, pełniąc funkcje szefa sztabu w grupie pułkownika Rybaka. Był to oficer nie tylko niezwyklej odwagi, lecz i wyjątkowych zdolności.

Pod jego dowództwem bił się mój szwadron pod Wasiliszkami i Ejszyszkami; w bitwach tych zginęli dzielni, nieodżałowani moi ułani: Bolesław Skarzyński, Adolf Sznajder;

oprócz nich kilkunastu ułanów zostało rannych. Zmiana dowództwa przyniosła nieszczęście szwadronowi, a nam wszystkim zmartwienie, bo i mnie mój awans na oficera pełniącego funkcje oficera sztabowego był bardzo nie na rękę; wolałbym zostać nadal tylko dowódcą szwadronu, aby być razem z moimi dzielnymi towarzyszami, z którymi zżyłem się od pierwszych chwil formacji. Wszystkich rannych, których — jadąc na nowe stanowisko do Warszawy — wziąłem pod swoją opiekę, widziałem później, jednych wcześniej, drugich później, zdrowymi. Niektórzy wyszli cudem, np. ułan A. Daab; kula trafiła go pod jedną łopatkę, a wyszła pod drugą; dostawiony w zwykłym wozie do stacji Mosty, po 20 wiorstach drogi kołowej po grudzie i na mrozie, wytrzymał dzielny ułan te ciężkie chwile; spotkałem go później zdrowego w Warszawie, z czego się bardzo ucieszyłem. Niedarmo śpiewali moi ułani: »Bo w Mazurze taka dusza, że choć umrze, to się rusza«.

Jadąc do Warszawy, zatrzymałem się w Wołkowysku, zarówno dla opatrzenia swoich rannych jak i dla zameldowania się dowódcy frontu, dzielnemu, kochanemu przez nas wszystkich generałowi Stanisławowi Szeptyckiemu. Niech mi wolno będzie wyrazić tu moją najgłębszą cześć żołnierską dla swojego Szefa, zaufanie i wdzięczność za starania, jakie sztab generała ponosił, by wszystkie braki, jakich doznawaliśmy z początku, zostały usunięte. Nie potrzebowaliśmy się zwracać więcej do K. O. K. o pieniądze lub owies, a dowódca sanitarnego posterunku w Szczucinie, który nie dbał o potrzeby rannych i chorych, poszedł pod sąd. Z generałem Szeptyckim żartów nie było! Będąc w Wołkowysku, dowiedziałem się, że w tym mniej więcej czasie sławetna »milicja ludowa« została zlikwidowana i odesłana z Warszawy do różnych oddziałów na froncie. Jeden taki



bataljon »zasilił« dywizję litewsko-białoruską, ale w pierwszym zaraz dniu pobytu bohaterowie ci, nie uznający żadnych rang i subordynacji, odrzucili naszywki przydzielonym z rozkazu sztabu podoficerom i powiedzieli, że nie mają wcale ani zamiaru, ani ochoty bić się z bolszewikami, »bo to takie same ludzie, jak i jensze«. — Otoczono ich porządnem polskiem wojskiem, zatoczono karabiny maszynowe, co dziesiąty dostał kulą w łeb, a reszta została rozdrobniona między różne oddziały. Tak wyglądała działalność »obrońców ludu« na froncie.

Właśnie tego dnia, w którym meldowałem generałowi Szeptyckiemu o nowem mojem przeznaczeniu, zdejmowano z całego sztabu dywizji litewsko-białoruskiej fotografię do cyklu »Nasi bohaterowie«. Widziałem się później w Warszawie na ekranie kinematograficznym, w chwili kiedy stoję przed generałem Szeptyckim w Wołkowysku; byłem jednak »w naturze« taki brązowo-czarny od wiatrów litewskich, że na ekranie robię wrażenie murzyna w polskim mundurze. Pożegnawszy się z generałem, z pułkownikiem Thullié, godnym szefem sztabu tej dzielnej dywizji, i adjutantem, porucznikiem Stamierowskim, udałem się dalej, do Białegostoku, dokąd i moi ranni, w coraz lepszych warunkach, pojechali. Przyjechawszy do tego miasta wieczorem, zdumiony byłem różnicą między wyglądem jego dwa miesiące temu, a obecnie. Różnica pierwsza, »olśniewająca«, — to łuna świateł elektrycznych, bijąca od dworca i miasta. Na stacji porządek i czystość; toż samo na ulicach; — pełno sklepów z bogatemi wystawami, ruch uliczny ożywiony, — w hotelu Ritza bal, mnóstwo ładnych toalet... Zdawszy moich rannych troskliwej opiece szefa sanitarnego w Białymstoku, ruszyłem dalej, wraz z mojami kłaczami, do Warszawy, do koszar 3-go pułku ułanów.

Sliczny ten pułk, »Dzieci Warszawy«, stał wtenczas gdzieś pod Pińskiem, jedzony żywcem przez najrozmaitszego rodzaju baki, komary i muchy, w które ta kraina szczególnie obfituje, — kadrą zaś, stojącą w Warszawie, dowodził major Borewicz, kolega mój, dowborczyk. Jako jego zastępcą (gdyż wkrótce miał objąć dowództwo jednego z formujących się pułków strzelców konnych) stanąłem kwaterą w Łazienkach. Losy zbliżyły mnie znowu z bratem moim Wojciechem, który jako rotmistrz tego samego 3-go pułku ułanów przydzielony był do Ministerstwa Spraw Wojskowych. Podobieństwo nasze, a przy tem jeszcze ta sama ranga i te same odznaki pułkowe, powodowały przeróżne zabawne pomysły i *qui pro quo*.

Pomimo że przez cały miesiąc maj i czerwiec 1919 r. mogłem prowadzić życie »jedwabne« — bo kwaterę miałem w cudnych Łazienkach, w »myśliwskim« pałacyku, obie moje kłaczki w stajni ułańskiej, tuż niedaleko, i bardzo mało zajęcia — tęskno mi było za moim oddziałem, tęskno za życiem na froncie.

Podział całego społeczeństwa w każdym kraju prowadzącym wojnę na dwie biegunowo sobie przeciwne połowy: jedna, t. j. wojsko na froncie, ponosząca całemi miesiącami, a nawet latami, same i ciągłe ofiary, bo nadmierne trudy, głód, brak wszelkich udogodnień życiowych, brak towarzystwa kobiecego, i, wobec ciągle grożącej śmierci od kuli lub tyfusu, lekceważąca sprawy materialne i majątkowe; — druga, mężczyźni »cywile«, obfitująca we wszystko, wobec zmniejszonej konkurencji, wyzyskująca łatwo interesy korzystne wywołane wojną, robiąca miliony, — ten podział społeczeństwa musi w każdym frontowym żołnierzu wywołać pewnego rodzaju pogardliwe lekceważenie dla »cywilów«. Pomimo że każdemu inteligentnemu żołnierzowi



dobrze wiadomo, że nie wszyscy mogą być na froncie, że są posterunki cywilne również bardzo ważne dla sprawy krajowej, — pomimo to ta niezmierna różnica między umęczonym żołnierzem, myślącym, czy dożyje najbliższej dekady, czy dostanie gdzie papierosów lub tytoniu, albo czystą koszulę, mającym jedyne pewne towarzystwo: wszy, — a cywilem, siedzącym sobie wygodnie przy muzyce w Bagateli, w »Łazienkach«, w teatrze, a na zakończenie w wykwintnej restauracji w towarzystwie ładnych pań przy wieszczy, myślącym, ile zarobi jutro na tym lub innym interesie, jest tak diametralnie odrębna, że się uczuciu nienawistnej, zarazem zawistnej pogardy oprzeć trudno. Podczas akcji wojennej na froncie wpadłem kiedyś służbowo do Warszawy. Jadąc tramwajem, ujrzałem kilkakrotnie jadącego w tym samym kierunku doróżką cywila, sądząc z rysów twarzy Polaka i widocznie zdrowego »jak byk«; — młodzieniec ten siedział rozwalony w doróżce, w wyciętej na szyi koszuli, we flanelowych porteczkach, w płóciennych trzewiczkach, a raketę tenisową trzymał w rączkach. Gdy przy jednym mijaniu się doróżki z tramwajem usłyszałem odezwane się tego wałkonia do doróżkarza czysto po polsku, przyznaję się, że odczułem do niego odrazu dziwną nienawiść i pogardę.

\*

\*

\*

Dnia 10-go czerwca 1919 dawny mój szwadron wojewódzki, obecnie 4-ty szwadron 3-go pułku ułanów, otrzymał rozkaz powrotu z frontu na odpoczynek do Warszawy. W dniu tym stanął szwadron w Lidzie do pożegnalnej parady przed generałem Szeptyckim, który skreśliwszy w krótkiej przemowie całą działalność szwadronu podczas

tej kilkomiesięcznej kampanji litewskiej, wyraził się w niezapomnianych dla każdego z nas słowach: »Szwadron wojewódzki jest perłą jazdy polskiej« — i za wierną służbę dla Ojczyzny podziękował. Za kampanję tę, na wniosek dowódcy grupy, pułk. Dziewulskiego, i dowódcy frontu, generała Szeptyckiego, dwudziestu ośmiu dzielnych moich chłopców otrzymało »Krzyże Walecznych«, w tej liczbie polegli: Bolesław Skarzyński i Adolf Sznajder.

Zaraz po przybyciu szwadronu do Warszawy, dowiedziałem się oficjalnie, że szwadron wojewódzki ma być wydzielony ze składu 3-go pułku ułanów, przemianowany na 3-ci szwadron 2-go pułku strzelców konnych, z przydziałem do 6-tej dywizji piechoty (śląskiej) jako jazda dywizyjna. Dowództwo 3-go pułku ułanów oświadczyło równocześnie oficerom szwadronu, że kto z nich zechce, może zostać w składzie pułku. Przemiana ta zgnębiła nas wszystkich; pomimo moich prośb, by nadal razem dzielić losy, nie opuszczając żołnierzy i szwadronu, wystąpili ze składu tegoż: rotm. Radziwiłł, por. Zygmunt Borkowski, por. Szeliski, por. Stanisław Szczucki. Co do mnie, przed jego wymarszem na front śląski żegnając się z oddziałem, zaręczyłem mu, że postaram się jak najprędzej doń powrócić, rezygnując ze stanowiska oficera sztabowego. Zobowiązania tego wkrótce dotrzymałem.

Tak więc były szwadron województwa mazowieckiego, przemianowany na 3-ci szwadron 2-go pułku strzelców konnych, opuszczony przez większość swoich oficerów, pomaszerował na Śląsk, pod dowództwem jednego oficera, — nieżyjącego już dziś Kazimierza Bejzyna, — prawda, że wyjątkowo zdolnego, energicznego i oddanego szczerze szwadronowi.

Z początkiem lipca 1919 r. dowiedziałem się, że 5-ta brygada jazdy, do której należały 1-szy, 3-ci i 9-ty pułk



ułańów, ma ruszyć na Wołyń, na ową pierwszą kampanję wołyńską, podczas której ententa nie pozwoliła nam iść dalej, jak do Horynia. Dowództwo 5-tej brygady jazdy objął pułkownik Suszyński, mój pierwszy dowódca z 2-go pułku. Znając jego dobroć i uczynność, liczyłem, że może uda mi się przedostać podczas tej kampanji do Starokonstantynowa i wydobyć stamtąd moją żonę i córkę, z którymi rozstałem się dziewięć miesięcy temu, a o których wiedziałem, że żyją, lecz w najgorszych warunkach.

Pomimo że *ordre de bataille* został zmieniony i 3-ci pułk ułańów pozostał nadal na błotach pińskich, a tylko 1-szy i 9-ty pułk ułańów weszły w skład 5-tej brygady, zgodził się pułk. Suszyński wziąć mnie ze sobą jako starszego oficera ordynansowego. Szykowałem się więc znowu do wymarszu. »Królowę« postanowiłem zostawić w Warszawie, pod opieką brata mego — dla kompletnej rekonwalescencji po kontuzji, — zabierając tylko »Zorzę« i jednego konia skarbowego, do czego przysługiwało mi prawo.

Zgłosiłem się więc do generała Bielińskiego, inspektora jazdy, i otrzymałem kwit do zapasu koni w Łazienkach, upoważniający mnie do wybrania sobie stamtąd odpowiedniego wierzchowca. Dowódcą zapasu koni był pułkownik Sobolewski, zacna osobistość, ale z pozorami szorstkiemi, zawsze niezadowolony, — a że głos miał bardzo głośny i gruby, więc robił na wszystkich interesentach wrażenie straszne. Jako zastępca majora Borewicza, starając się ciągle o uzupełnienie koni dla 3-go pułku ułańów, naraziłem się niejednokrotnie pułkownikowi, bo grymasilem nieraz i zawsze chciałem wybierać najlepsze konie. Toteż sam widok mojej osoby oddziaływał na pułkownika Sobolewskiego bardzo nieprzyjemnie. — W tym właśnie czasie przybywało z Francji moc koni wierzchowych i pociągowych, również mułów,

zakupionych przez rząd polski po zdemobilizowaniu armji francuskiej, było więc w czem wybierać, ale i amatorów nie brakowało również. Bywając tak często w Zapasie koni, będąc w najmiłszych stosunkach z oficerami jazdy, podkomendnymi pułkownika, znałem niektóre tajemnice, np., że w stajni Nr. 3 jest osobna przegroda, gdzie są najlepsze konie, nie dla zwykłych jednak śmiertelników, ale dla matadorów lub protegowanych. Otrzymawszy kwit z inspektoratu, idę zaraz do Zapasu koni; zdaleka widzę ogromną postać pułkownika i słyszę rozlegający się jego głos z intonacją zirytowaną. Zobaczywszy mnie, woła pułkownik Sobolewski:

— Czego chce tu znowu ta moja plaga, rotmistrz Kossak?

Pokazuję kwit i proszę o pozwolenie wybrania sobie konia ze stajni Nr. 3. — Żachnął się pułkownik:

— Co mi pan tu będziesz dysponować? — Wybierz pan tu sobie z tych koni! — i pokazuje mi partję »takich sobie« koni.

Wybrałem jednego, zrobiłem galop do Wilanowa. Koń mi się nie udał, oddałem go na drugi dzień, wziąłem innego na jego miejsce; także krowa, nie koń. Oddaję go z powrotem do Zapasu i proszę o innego. Za wiele już tego było pułkownikowi!

— Nie mam innych koni! — Muła pan sobie weź, kiedy ci niedobre te konie — huknął okropnym basem kochany pułkownik, i odszedł.

— Rozkaz! panie pułkowniku — odpowiadam równie rozgoryczony, bo mi ta stajnia Nr. 3 stoi ciągle na myśli, i idę do stajni z mułami, by sobie muła wybrać. Koledzy z Zapasu koni, widząc moją decyzję niezłomną, wywołaną silnem podrażnieniem, mają ochotę kulać się ze śmiechu,



tembardziej patrząc się, jak kazałem osiodłać wybranego muła i wyruszam na nim do Łazienek, mówiąc, że jadę do Inspektoratu pochwalić się wierzchowcem. I pojechałem. Zobaczył mnie po drodze pułkownik Sobolewski, rozdrażnienie ukoił pozwoleniem wybrania dobrego konia ze stajni Nr. 3, a muł wrócił do swoich kolegów mułów.

Załatwiwszy więc sprawę koni wierzchowych, wyjechaliśmy w parę dni potem do Łucka, gdyż tam był punkt zborny 5-ej brygady jazdy.

Dnia 8-go sierpnia 1919 rozpoczęła się ta pierwsza akcja na Wołyniu, której celem było zajęcie dwóch ważnych węzłów kolejowych: Równego i Zdołbunowa. Akcja tak szybka a tak skuteczna, jak pchnięcie lanca; w cztery dni spełniliśmy zadanie. Gdyby nie wpływy Sazonowa w Paryżu i iluzje gabinetu francuskiego, liczącego się jeszcze z Rosją, bylibyśmy zajęli cały polski Wołyń po Słucz i dalej, po Teterew, w przeciągu dwóch tygodni.

Piąta brygada jazdy składała się z dwóch pułków: pierwszego krechowieckiego, dziewiątego ułanów i z baterji artylerji konnej. Pierwszym pułkiem dowodził rotm. Podhorski, dziewiątym — w zastępstwie chwilowo nieobecnego dowódcy, rotm. Dunin-Borkowskiego — rotm. Jampolski, baterją artylerji konnej por. Skalkowski. Sztab brygady stanowili: pułk. Stefan Suszyński, por. Mieczysław Łebkowski, adjutant i zarazem szef sztabu brygady, i ja.

Dnia 8-go sierpnia ruszyła brygada z Ławrowa marszem bojowym w kierunku na Satyjów i doszła tam wieczorem, zrobiwszy 45 km. marszu. Na drugi dzień, pod Satyjowem, nietyłe odważna ile zarozumiała banda jazdy bolszewickiej napadła brygadę, ale 9-ty pułk, będący wten-

czas w przedniej straży (co 24 godzin zmieniały pułki służbę) uderzył na nich pierwszy i zerznął na sieczkę. Dnia 9-go sierpnia dalszy marsz brygady, spotkanie z nieprzyjacielem pod Dąbrówką. Nieprzyjaciół dostał »lanie«, stracił karabin maszynowy i jeńców kilkudziesięciu.

Dnia 11-go sierpnia dalszy marsz brygady w kierunku Kryłowa; tu, pod wzgórzem, na którym rozsiadła się wieś Kryłów, rozlała się w bagniste stawy rzeka Stułba; przez stawy te prowadzi droga dwoma groblami, obie groble obsadzone piechotą bolszewicką i karabinami maszynowymi. Trzeci szwadron pierwszego krechowieckiego pułku ułanów, pod dowództwem por. Chmielewskiego, pełniący tego dnia służbę awangardową, natyka się na nieprzyjaciela i melduje natychmiast o tem pułkownikowi Suszyńskiemu, który wraz z nami, t. j. ze mną i por. Łebkowskim, trzymał się zawsze przedniej straży. Dowódca brygady ma zamiar zaczekać na jej nadejście, by ogniem baterji spędzić bolszewików; porucznik Chmielewski, argumentując, że do chwili nadejścia brygady wróg ucieknie, prosi gorąco, by mógł swoim awangardowym szwadronem atakować nieprzyjaciela. Otrzymawszy pozwolenie pułkownika, rozdziela por. Chmielewski swój szwadron, i z dwoma plutonami uderza na nieprzyjaciela, atakując trójkami jedną groblę, podczas kiedy por. Racięcki z dwoma plutonami atakuje tę hołotę na drugiej grobli. Był to jeden z najpiękniejszych ataków, jakie sobie wystawić można. Kolumną wąską (z powodu grobli), w szyku najmniej odpowiednim do atakowania nieprzyjaciela, a najdogodniejszym dla wroga, wśród kul sypiących się jak grad, wpadli »Krechowiacy« na krasnoarmiejców, skłuli lancami, posiekli szablami, stratowali i zepchnęli w bagno z jednej i drugiej strony grobli, zdobyli karabiny maszynowe, nabrali jeńców, — wszystko »piorunem«. Nim nadeszła brygada, wszystko było



skończone i droga otwarta; jazda bolszewicka, stojąca z drugiej strony rzeki Stułby, drapnęła tak wcześnie, że pogoń wysłana już jej dostać nie mogła. Z naszej strony poległo kilku dzielnych chłopców, straty jednak w porównaniu do nieprzyjacielskich minimalne.

Chodzimy po grobli młyńskiej — pułkownik Suszyński z nami dwoma — i oglądamy pole tylko co zakończonej bitwy. Oprócz bolszewickich trupów, leżących na grobli, widać nieboszczyków leżących na bagnie i w pogniecionych trzcinach z jednej i drugiej strony grobli.

— Może pan pułkownik rozkaże zrewidować poległych bolszewików; mogą mieć ciekawe listy lub dokumenty, a i pieniędzy, jakie mają przy sobie, szkoda, bo to chłopci miejscowi po naszym wymarszu zabiorą — powiada chytry por. Łebkowski.

— Dobrze, wydaj pan rozkaz, niech który wachmistrz zrewiduje zabitych — odpowiada pułkownik.

Złazi więc w bagno któryś z podoficerów 1-go pułku ułanów, i brodząc po kolana, zbliża się do pierwszego leżącego na boku bolszewika; ale kiedy jest o dwa lub trzy kroki, nieboszczyk chwyta karabin i mierzy do ułana. Nie zdążył strzelić, a już dostał szablą po łbie. Wobec tego, że mogło znaleźć się więcej takich pseudo-nieboszczyków, którzy w nocy ożyliby napewno i przebrawszy się w sukmany pozostaliby we wsi jako spokojni kmietkowie (rzecz stale praktykowana przez czerń chłopską bolszewicką), rozkazał pułkownik Suszyński zrewidować oba bagniste stawy dokumentnie. Zwołano zaraz chłopów miejscowych i pod dozorem podoficerów 1-go pułku puszczono w ruch nagonkę — jakby na polowaniu na dzikie kaczki. W trakcie tego stoimy na pomoście przy młynie i obserwujemy to

oryginalne polowanie. W pewnej chwili za naszymi plecami słyszę jakieś chlapanie wody, obracam się i widzę wyłazącą z pod upustu młyńskiego nową spłoszoną zwierzynę: — typowa żydowska twarz, z rudemi, zabłoconemi włosami, zakrzywionym nosem i odstającymi uszami; podaje dobrowolnie karabin, widząc, że ukrywanie się nic nie pomoże. Trącam delikatnie pułkownika i kolegę Łebkowskiego i pokazuję im to straszzydło.

— Co ty za jeden?

— Ja bolszewickij komisar...

Skończyła się rewizja stawów, piętnastu takich mądrali przywrócili ułani do życia, dołączając ich do wziętych na groblach jeńców; — zostajemy na nocleg w Kryłowie, przyglądając się wieczorem dziwnym jakimś pociskom świetlanym, które ostrzeliwuje wieś Kryłów opancerzony pociąg bolszewicki, kursujący na linii Zdołbunów—Dubno, chcąc nas widocznie z tej wsi wykurzyć. Pociski te, jak świecące olbrzymie piłki, padały na ziemię, odbijały się kilkakrotnie, aż wkońcu z wielkim hałasem pękały. Nie zabiły nikogo, nie wywołały pożaru, zaniepokoiły co najwyżej kryłowskie baby i młodzie. Jesteśmy niedaleko Zdołbunowa. Przepawszy się w Kryłowie parę godzin, w pogotowiu bojowym, ruszamy w kierunku wsi Pokosy. Wszędzie po drodze witają nas koloniści Czesi jak zbawców. Przesadzają się w gościnności, toteż ułani obu pułków używają na świeżym chlebie, na miodzie, śmietanie, świeżem maśle, bo wszystkich tych dobrych rzeczy dostarczają Czesi na każdym odpoczynku masami. Konewki śmietany, miednice pełne masła lub miodu — wszystko równie chętnie jest przyjęte i zjedzone, jak i chętnie ofiarowane. Śliczne te kolonje czeskie na Wołyniu, zasobne w kulturę w polu, koło domu, w sadach i w chmielnikach: wszędzie, gdzie spojrzeć, ład, czy-



stość i bogactwo; inwentarze doskonałe: zarówno konie, krowy, drób i świnie. Bolszewicy rabują im wszystko, toteż cała ich sympatja po naszej stronie.

Koło godziny 6-ej wieczorem stanęła brygada we wsi Pokosy na parogodzinny odpoczynek; Zdołbunów niedaleko, pójdziemy tam marszem nocnym. Nieprzyjaciel w większej sile, awizowany przez nasze oddziały wywiadowcze, znajduje się o parę wiorst zaledwie — toteż brygada odpoczywa w pogotowiu bojowym, zabezpieczona całym szwadronem i baterją stojącą na pozycji. Brygada stanęła w głębokim jarze, każdy posila się czem może, kuchnie polowe dymią obiecująco. Mamy i my ochotę zrobić to samo, co koledzy. Zsiadłbym chętnie z mojej »Zorzy«, której temperament gorący nie znosi, by ją jaki jeździec minął: zaraz parska, tańczy, podryguje — z wielkim wdziękiem i gracją, ale i umęczeniem dla jeźdźca. — Ale nic z tego, bo pułkownik Suszyński mówi do nas dwóch:

— Zostawmy tu brygadę, a sami pojedziemy skontrolować rozstawienie placówek awangardowego szwadronu.

Jedziemy w stronę nieprzyjaciela, czyli w stronę naszych placówek, znajdujących się pod wsią Semigran. Koło wsi tej dużo czeskich kolonij; kiedy przejeżdżamy koło pierwszej takiej kolonji, wybiega gospodyni Czeszka i prosi nas gorąco, by wstąpić do niej na posiłek. Pułkownik Suszyński dziękuje, ale powiada, że nie ma czasu; na usilne jednak dalsze prośby Czeszki, pyta się zaintrygowany: »Co pani tak na tem zależy?« Na to owa Czeszka z widocznem wzruszeniem opowiada, jak wczoraj napadło na jej kolonję 18 bolszewików; zrabowali co było, męża jej ciężko pobili, ale kiedy wyjeżdżali z kolonji ze zdobyczą naładowaną na czeskie wozy, z przywiązanemi z tyłu krowami, nadjechał jak *Deus ex machina* podjazd polskich ułanów, na rozkaz

polskiego oficera bolszewików wszystkich rozstrzelano, a całe dobro wraz z końmi, krowami, wołami i t. d. oddano właścicielom. Ponieważ w tym skrzyć i zamęcie nie mogła odwdziaczyć się swoim wybawcom, pragnie w naszych osobach ugościć pierwszych oficerów polskich.

— Dobrze, moja pani; zaproszenie przyjmujemy, za godzinę wstąpimy. Jeżeli chce nas pani uraczyć, prosimy o kluski na mleku i jajecznicę.

Jadąc ku placówkom, rozmawiamy o tym epizodzie (łykając ślinkę na myśl o czekającej nas uczcie) i konkludujemy, że nikt inny nie mógł być tym »archaniołem«, karzącym zbrodnię a nagradzającym cnotę, tylko »morowy« rotmistrz Sędzimir z 1-go pułku ułanów. Pełno go było podczas tej krótkiej kampanji wszędzie; zarówno on, jak i dwaj bracia, dzielni oficerowie Plater-Zybergowie (bardzo cenieni i kochani przez wszystkich »bracia plasterki«) wysłani zostali z Ławrowa, i Kmicicowym systemem przysyłali najdokładniejsze wiadomości z tyłów nieprzyjaciela, niepokojąc i konfundując go bardzo. (Jeden z dzielnych braci Platerów zginął pod Skwirą w ataku dywizji generała Karnickiego na dziesięć razy liczniejszą jazdę Budiennego — w rok później, podczas imprezy kijowskiej).

Objeżdżamy linię naszych placówek, które z konia lub pieszo odstrzeliwują się placówkom bolszewickim; chociaż nieprzyjaciel w dużej sile w pobliżu, ale tymczasem zwykła sobie awangardowa pukanina — nic ważnego.

— Jedziemy na kluski na mleku — powiada pułkownik Suszyński.

Rozkaz ten trafia nam bardzo do przekonania, — jesteśmy za chwilę na czeskiej kolonji. Czeszka rozpromieniona; mąż, chociaż spuchnięty i pobity, wita nas bardzo serdecznie; mleko się gotuje, ciasto na kluski się zagniatą. Godzina wpół do



ósmej wieczorem, ale dzień jeszcze zupełny, bo to pierwsza połowa sierpnia. Siedzimy na ganeczku domu mieszkalnego, którego front wychodził na nieduże podwórko. Naprzeciwko ganku mamy bramę gospodarską, prowadzącą z podwórza w pole, obok tej bramy stodółka, w której sześć naszych koni — trzy oficerskie i trzy ordynansów — jedzą siano; munsztuki zdjęte, popręgi popuszczone. Jest nam bardzo przyjemnie, a apetyt coraz większy.

Wtem wpada ułan z placówki:

— Panie pułkowniku, nieprzyjaciel następuje!

Za nim drugi i trzeci. W tej chwili, kiedy ordynansi kielznąją nasze konie i przyciągają popręgi, zjawia się w bramie od pola, nawprost nas, o 100—120 kroków, grupa bolszewików z dwoma karabinami maszynowymi i otwiera nieustający na sekundę ogień *à bout portant* na nas trzech. Musimy pod ogniem ciągłym podbiec »pod włos« do stodółki przy bramie, wskoczyć na konie, i przeciwną bramą w ogrodzie, wychodzącą na gościniec, wyjechać. Jesteśmy przez 5, 6 minut pod gradem kul z karabinów ręcznych i maszynowych i żadnemu z nas sześciu (z ordynansami), żadnemu z koni, włos nie spadł z głowy: — albo obsypywała nas ziemia, albo sypały się na nas gałęzie i liście z drzew. W żaden sposób w tej gorączce nie mogła ta hołota trafić w sedno! Nawet taki doświadczony żołnierz, jak pułkownik Suszyński, który tyle przeszedł, tyle razy był ranny, mówił, że w takiej gorącej kąpieli nie był.

Ale kluski na mleku przepadły!! — jajecznicą także! — Psiakrew!!!

Ile razy miałem zaszczyt w późniejszych latach wojny spotkać szanownego generała Suszyńskiego, obecnego komendanta miasta Warszawy, zawsze mnie interpelował: »Kiedyż my majorze te kluski na mleku jeść będziemy?«

Wyjechawszy przeciwną bramą, wystrzelawszy po drodze wszystkie ładunki z rewolwerów do obsługi karabinów maszynowych bolszewickich, spotkaliśmy tuż za kolonją rwący galopem na pomoc szwadron awangardowy porucznika Chmielewskiego, który chciał zaraz atakować bolszewików. Ponieważ jednak i brygada nasza wystąpiła ofenzywnie, a baterja por. Skałkowskiego zaczęła walić do bolszewików, bylibyśmy się znaleźli wraz ze szwadronem awangardowym między dwoma ogniami; wobec tego, wysławszy dwóch ułanów naprzód do naszej baterji, żeby nas przy nadchodzącym zmroku nie wzięła omyłkowo za wroga, przeprowadził nas pułkownik Suszyński marszem flankowym na prawe nasze skrzydło, do baterji. Marsz ten flankowy w ciągłych obłokach od pękających szrapneli i granatów, na mocno zdenerwowanej »Zorzy«, która latała w powietrzu jak Pegaz, był bardzo wesoły, bo kpiny z nieumiejętności strzelania bolszewików, dowcipy i śmiechy ułanów z pękających nieszkodliwie granatów i radość z rozwijającej się bitwy nocnej, wszystko usposobiło rozkosznie nas i żołnierzy. Tylko niepokój o los biednych Czechów, czy ich bolszewicy nie zamordowali, i żal za kluskami mąciły nastrój. Na szczęście, jak to na rozkaz pułkownika sprawdzono, bolszewicy nie mieli czasu ani się za leżących za stodołą 18 towarzyszków zemścić, ani Czechom nic zrabować. Bitwa pod Pokosami trwała do północy z 11 na 12 sierpnia; nieprzyjaciel został definitywnie pobity, — droga do Równego i Zdobunowa otwarta.

Tej samej nocy, idący w awangardzie 9-ty pułk ułanów pod rotmistrzem Jampolskim zerwał tor kolejowy przed opancerzonym pociągim bolszewickim, i zamknął go w ten sposób w Zdobunowie, dokąd w dniu następnym, 12-go sierpnia, wszedł najpierw 9-ty pułk ułanów, i wkrótce i reszta brygady.



Obie stacje węzłowe, Równo i Zdobunowo, z ogromnemi zapasami, z materiałem kolejowym i pociągami opancerzonym, wpadły w nasze ręce. Generał Listowski w rozkazie dziennym oddał wielkie pochwały zarówno dowództwu 5-tej brygady, jak obu pułkom, oficerom i żołnierzom.

Ścigając nieprzyjaciela w kierunku wschodnim, posuwały się oddziały 5-tej brygady aż ku Sławucie; byłem z przednią strażą w Szepetówce, tak już niedaleko od Słuczy, od Starokonstantynowa! — Mieliśmy ciągle nadzieję, że ofensywa nasza nie skończy się na linii Horynia; niestety, kombinacje polityczne zatrzymały nas na miejscu. Tylko wywiady wolno było robić za Horyniem, ale właściwa akcja była tak jakby zakończona.

Widząc, że o marszu dalszym na południowy wschód niema co marzyć, postanowiłem wraz z moim zięciem na własną rękę wyrwać nasze panie z tego piekła. Udało nam się znaleźć odważnego człowieka, który przekradł się szczęśliwie z kartką do Starokonstantynowa, a następnie zorganizować wyjazd obu pań, z dziećmi i dwiema wiernymi sługami, najętą furmanką, w przebraniu, do Ostroga. Tam spotkaliśmy się nareszcie po długiej rozłące.

Z wielką ulgą na sercu — uspokojony co do losu moich pań, — wiedząc przytem, że akcja wojenna na Wołyniu jest chwilowo zakończona, prosiłem pułk. Suszyńskiego, by zechciał oddać mnie do dyspozycji Gen. Inspektora Jazdy. Pragnąłem bowiem co rychlej wrócić do mojego szwadronu. Ku mojej radości pułk Suszyński nie tylko przychylił się do mojej prośby, ale na jego wniosek zostałem odznaczony Krzyżem Walecznych.

Inspektor jazdy, gen. Kawecki, przyjął życzliwie moją prośbę o przydzielenie z powrotem do szwadronu, zwrócił mi jednakże uwagę, że, raz pełniwszy służbę oficera szta-

bowego, cofam się dobrowolnie w hierarchji wojskowej. W odpowiedzi na to prosiłem, bym mógł w przyszłości formować jeszcze jeden szwadron, t. j. dowodzić dywizjonem, co mi generał łaskawie obiecał, i co się też w przyszłości stało.

Oddział mój, opuściwszy w czerwcu Warszawę, pełnił jakiś czas służbę przy VI-ej dywizji, na Śląsku, koło Czeladzi; w sierpniu stał pod Cieszynem, a na czas plebiscytu cofnięty został w okolice Oświęcimia, w pobliżu stacji Libiąż, gdzie go odnalazłem. Dowódcą był czasowo por. Olszowski z 3-go pułku ułanów, dowborczyk, któremu równie pilno było wracać do swojego pułku, jak mnie objąć mój dawny szwadron. Radość więc z mego przybycia była zobopólna, — ale zmiany w składzie oddziału zastałem wielkie. Omyłkowym rozkazem VI-ej dywizji, 40 inteligentnych podoficerów i żołnierzy zostało zdemobilizowanych, a na ich miejsce przyszło uzupełnienie z 6-go pułku ułanów, będące, pod względem materiału ludzkiego, niżej krytyki.

W parę dni po powrocie moim do szwadronu, wróciliśmy do Bażanowic pod Cieszynem, gdzie dostałem rozkaz puszczania podoficerów i żołnierzy akademików na cztero-miesięczne urlopy. Tym sposobem z dawnych moich żołnierzy zostało zaledwie kilkunastu. Całe zadanie było w tem, aby z tego nowego, zupełnie surowego materiału urobić podobnych do dawnych, dzielnych żołnierzy.

W tym czasie 6-ta dywizja piechoty odeszła na front północno-wschodni, oddział mój włączony został w skład 7-mej dywizji, której dowództwo objął gen. Latinik, obrońca Śląska, pogromca Czechów, osoba ogólnie kochana i bardzo popularna na całym Śląsku.

»Front« śląski był w tym czasie taki spokojny, nieprzyjaciel taki niegroźny, że nie miało się wcale wrażenia pobytu na froncie. Generał Latinik parę miesięcy przedtem



dał »pepiczkom« taką naukę, że wyrzekli się wszelkich agresywnych zamiarów. Stosunki z ludnością miejscową były jak najlepsze. Przez cały dwumiesięczny postój mojego szwadronu w Bażanowicach, a następnie w Goleszowie, nie było ani jednej skargi, ani jednej pretensji do moich strzelców konnych. W Goleszowie zorganizowała miejscowa ludność bal dla mojego szwadronu; na balu tym p. Ćwiertnia, wójt Goleszowa, przemówił do moich kolegów tak serdecznie i mile, że tylko odśpiewanie chóralne »Roty« było ze strony moich żołnierzy jedyną godną odpowiedzią na te zacne słowa szanownego pana wójta. Przed samym wymarszem otrzymałem od gminy Goleszów podziękowanie na piśmie dla całego szwadronu, za wzorowe zachowanie się oddziału względem miejscowej ludności i wyrobienie przez to coraz większego zaufania i sympatji do wojska polskiego. List ten, w którym specjalnie podkreślone było nazwisko ś. p. por. Kazimierza Bejzyna, złożyłem na ręce szefa sztabu VII-ej dywizji, majora Adama Rozwadowskiego.

Ujemną stroną służby na froncie śląskim było ciężkie przyzwyczajanie się nas wszystkich do tej specjalnej służby, jaką jest służba kawalerji dywizyjnej, t. j. jazdy przydzielonej do dywizji piechoty. Przedewszystkiem jest to służba pomocnicza; szwadron, a następnie dywizjon mój rzadko występował w całości, a prawie zawsze był rozdzielony pomiędzy 13-tą i 14-tą brygadę, które stanowiły VII dywizję; oprócz tego pluton cały był odkomenderowany stale jako »łącznikowi« przy sztabie dywizji. Obie brygady oddzielały jeszcze po kilku jeźdźców do detaszowanych bataljonów, a nawet kompanij, które marnowały mi jeźdźców i konie, nie dbając, czy koń bez owsa i siana wytrzyma ciągle posyłki tu i tam. Z furazem na Śląsku Cieszyńskim było fa-

talnie, — nieraz pomimo najlepszych chęci nie mógł oficer piechoty, mający przydzielonych kilku lub kilkunastu moich strzelców konnych, na to poradzić. Starałem się zmieniać co parę dni »łącznikowych«, ale skutek był ten, że gdy nadszedł grudzień, kiedy w tym górzystym kraju zaraz tworzą się zasy i ślizgawice z pieca na łeb, — miałem wszystkie konie tak zmordowane i zabiedzone, że mnie desperacja ogarniała. W VII-ej dywizji było kilku zaledwie oficerów wyższych, dowodzących oddziałami piechoty, którzy odczuwali moją stratę i nie szafowali siłami moich jeźdźców, a zwłaszcza siłami koni. Wszyscy inni niemal gonili moich żołnierzy, jakgdyby to byli motocykliści — nie dając nawet benzyny w postaci owsa lub siana. Dowódca takiego oddziału jazdy niema go wcale w rękę; tygodniami całymi nie widzi plutonów, za których stan liczebny i jakościowy jest odpowiedzialny. Dbając o konie osłabione lub odsednione i przeznaczając je do szpitala końskiego przy swoim dywizjonie, może się doczekać, że wyczyta w rozkazie dywizji: »Wobec stale zmniejszającego się stanu xx. dywizjonu xx. pułku strzelców konnych, wszystkie konie odsednione mają być wykazywane w stanie czynnym i pełnić służbę«.

Żółć tę zadawnioną wylewam przed kolegami kawalerzystami, którzy zrozumią mnie doskonale, zwłaszcza gdy im przypomnę te papierowe koce jako podkłady pod siodło, które przesiąknięte potem końskim twardniały jak deska i odparzały konie nasze naokoło, — na całej części grzbietu i boków, przykrytej temi »Ersatz-dekami«

Gdy jeszcze dodam, że jeźdźcy, przez całe tygodnie oddzieleni od macierzystego oddziału, podlegają nieraz innym moralnym wpływom, niezawsze dodatnim, to wyczerpię ten temat prawie zupełnie, konkludując, że służba jazdy



dywizyjnej jest bardzo ciężka, bardzo niewdzięczna, rujnuje przeważnie materiał koński i może bardzo łatwo zniechęcić dowódcę dywizjonu do pracy nad jego stanem.

Dopiero zacząłem rozumieć, dlaczego rotmistrz Stanisław Radziwiłł nie tylko sam pozostał w 3-im pułku ułanów, ale i moich oficerów z wojewódzkiego szwadronu namówił do opuszczenia mojego szwadronu, przedstawiając, co ich czeka w jeździe dywizyjnej. »Psia służba«, ani słowa, ale tem bardziej potrzebująca sumiennych i dzielnych oficerów, którzy podwójnem staraniem się i troskliwością o oddział wyrównać mogą te tak bardzo ciężkie warunki.

Nadmieniam jeszcze, że jako sumienny żołnierz nie śmiałybym tej wady organizacyjnej poruszać, gdyby tak w dal-szym ciągu być miało. — Już w końcu kampanji 1920 roku przyszły jednak do tego samego przekonania wyższe dowództwa, na rozkaz których utworzono przy dywizjach i brygadach piechoty specjalne oddziały konnej piechoty, przeznaczone wyłącznie do służby »łącznikowych« ordynansów i t. d.

W połowie grudnia 1919 roku otrzymałem rozkaz maszerować pod Kraków, do Rakowic, gdyż cała VII-ma dywizja tam, do Krakowa, została przeniesiona. Miły rozkaz, który przedewszystkiem wywołał ściągnięcie wszystkich moich żołnierzy do jednego mianownika, a po najdokładniejszem zbadaniu stanu ludzi i koni, po dwóch dniach wypoczynku, pomaszerowaliśmy przez Skoczów, Bielsko, Spytkowice do Krakowa. Pomimo zimy, marsz tym cudnym krajem, bez męczenia koni, a przy dbałości oficerów o furaz i dobre stajnie, wpłynął dodatnio i na konie i na ogólny nastrój szwadronu.

W Krakowie, w rakowickich koszarach, było nam jak w raju. Doskonałe koszary i stajnie, gościnne, prawdziwie koleżeńskie zachowanie się oficerów 8-go pułku ułanów,

którego kadra stała w Rakowicach, odpoczynek dla koni wymęczonych na Śląsku, a ciągle ćwiczenie żołnierzy, wcale niezły oddział uzupełniający w ilości 30 koni i jeźdźców, których mi przysłano z kadry 2-go pułku strzelców konnych z Pińczowa — wszystko to, razem wzięwszy, wpłynęło na stan liczebny i jakościowy szwadronu doskonale. Kolegom z 8-go pułku: majorowi Rupp'owi, rotmistrzowi Bochenkowi, rotmistrzowi Bojarskiemu (staremu koledze z młodych lat, z jednego pułku), por. Tyszkiewiczowi i wszystkim innym, którzy jako gospodarze w Rakowicach byli dla nas zawsze gościnni i uprzejmi, serdecznie jeszcze raz dziękuję.

---



## WYPRAWA KIJOWSKA

Dnia 22 lutego 1920 r. otrzymałem od sztabu dywizji rozkaz, by łądować swój szwadron w wagony i jechać do Równego na Wołyniu.

W wigilję wyjazdu naszego z Krakowa, dowódca plutonu karabinów maszynowych, Henryk Kulczycki, przedstawił mi po godzinie raportowej kaprała od karabinów maszynowych, specjalistę od celowania, — płci żeńskiej, z prośbą o przyjęcie tej osoby do oddziału, gdyż brakło nam właśnie specjalisty celowniczego. Kandydatka pokazała bardzo chlubne świadectwa z obrony Lwowa, przytem prosiła gorąco o przyjęcie, twierdząc, że marzeniem jej jest służyć w jeździe. Ponieważ Kulczyckiego serdecznie lubiłem i wysoko ceniłem za wyjątkową odwagę, a widziałem, że mu na tym kaprale bardzo zależy (*honny soit qui mal'y pense*, — przypuszczam, że tylko jako na specjaliście celowniczym), zgodziłem się, uprzedzając kandydatkę, że żadnych wyróżnień, żadnych ulg nie dopuszczam i że według mojego przekonania ani tygodnia służby kawaleryjskiej nie wytrzyma.

Kandydatka była krępa, silna, szeroka, podobna zresztą jak dwie krople wody do wszystkich legionistek, które widziałem. Dziwna rzecz, jak kobiety po kilkomiesięcznej służbie wojskowej tracą cały swój wdzięk, grubieją, jednym słowem brzydną okropnie. Toteż uważam zawsze wojskową służbę kobiet za podwójne poświęcenie: umiały one znieść

trudy i niebezpieczeństwa, a przytem — to co dla młodej, ładnej panny może najboleśniej — rezygnację, choćby czasową, ze swej urody.

Droga transportem do Równego mija szybko. W wagonach pełno głów końskich i wesołych twarzy moich ułanów. Śpiewy słysząc zewsząd; z wagonu karabinów maszynowych ciągle wybuchy śmiechu, przerywane wysokim sopranem kobiecym, aż reszta ułanów pochrząkuje zawistnie. Przybywszy do Równego, zameldowałem w sztabie II-ej armji generała Listowskiego o przyjeździe, prosząc o dalsze rozkazy. Gen. Listowski kazał mi przygotować cały oddział w szyku pieszym na dworcu, do wizytacji. Stoimy o wyznaczonej godzinie na peronie, w dwóch szeregach. Szwadron, doskonale wymusztrowany, porządnie wyekwipowany, robi dobre wrażenie i słyszymy od generała kilka miłych słów pochwały. Zaintrygowała jednak jenerała panna-kapral, która pomimo krótko obciętych włosów odbija odrazu różnicą kształtów od kolegów.

— A to co takiego?

— To?... Kapral celowniczy, panie generale.

— Powiedz pan raczej: kapralka. Czyżby ona wytrzymała służbę w jeździe? Zostaw mi ją pan przy sztabie.

— Rozkaz! panie generale.

Ale okrągła buzia kaprała przybiera wyraz tak głębokiego smutku, że generał, śmiejąc się, dodaje:

— A zresztą, jeśli chce koniecznie, niech służy w pańskim szwadronie.

— Rozkaz! panie generale.

Postój nasz wyznaczony w Mizocz, dokąd ze Zdobunowa mamy się udać dziś, zaraz, i według informacji generała stać około 1½ miesiąca, t. j. do 15-go kwietnia. Przejchawszy więc stację Równo-Zdobunów, gdzie wyładunku-



jemy się koło godziny 5-tej popołudniu, jedziemy do Mizocza. Czas szkaradny, śnieg z deszczem, — czarne błoto pokrywa nogi i brzuchy końskie, — płaszcze obryzgane, karabiny ociekają wodą. Choć marsz bardzo krótki, bo około 20 km zaledwie, roboty będzie moc, aby to wszystko poczyścić. Przejeżdżam podczas marszu wzdłuż kolumny i widzę kaprala-celowniczego, który z miną triumfującą siedzi na koniu, dumny i zadowolony.

Mizocz, majątek hr. Karwických, z piękną do niedawna rezydencją, fabryką cukru, kolejką osobną i t. d., jednym słowem jedno z tych centrów polskich, z których kultura promieniowała na szeroką okolicę, — stanowi dziś ruinę. Bogata rola leży odłogiem, lub, zasiana niedbale, na lichej uprawie.

Przed pałacem, pozbawionym okien i drzwi, całe kupy książek polskich, francuskich i angielskich; wszystko bez okładek, z powydzieranymi ilustracjami, moknie na śniegu lub deszczu; okładki poobrywała czerń wiejska na improwizowane pugilaresy, a ilustracje walały się po chałupach.

W skrzydle pałacowem zastaliśmy urzędnika polskiej administracji (podstarościego) z rodziną i nielicznym personelem biurowym, który dla nas, oficerów, wyszukał dwa pokoje jako tako zdatne na kwaterę. Zaraz po przyjeździe do Mizocza do załatwienia ważna (jak zawsze) sprawa, gdzie pomieścić konie, bo plugastwo bolszewickie wносиło wszędzie nietylko zarazę wśród ludzi, ale nosaciznę i parchy u koni, z zasady więc nie stawialiśmy nigdy koni po stajniach, tylko na klepiskach, w stodołach, w opuszczonych fabrykach, często w domach mieszkalnych niezamieszkałych i t. p. Tu, w Mizoczu, pomieściliśmy wszystkie konie w magazynie cukrownianym, gdzie nigdy żaden koń nie stał. Wyznaczyłem punkt zborny, stanowisko dla karabinów maszynowych

w razie alarmu i t. d. Załatwiwszy to wszystko, wracam do kwatery i spotykam panią podstarościnę.

— Panie rotmistrzu! co będzie z tą panną?

— Z jaką panną?

— A z tą w mundurze, co przyjechała konno!

Domyślam się, że to o amazonce celowniczym mowa, dowiaduję się, że kandydatka na ułana przyjechała po tym krótkim marszu nawpół żywa, że leży u pani podstarościny, (która się nią zajęła), a gdy jej powiedziano, że ma wyczyścić, napoić i nakarmić swojego wierzchowca, wyczyścić siodło, płaszcz i buty, oprócz broni, padła bez ducha na posłanie. Zawołałem wachmistrza Kulczyckiego i wytłumaczyłem mu, żeby poszedł do swojego »celowniczego« i przedstawił, że nie da rady twardej służbie kawaleryjskiej, że co innego parada na koniu przez miasto, a co innego wojna, marsze, trudy i ciężka praca, której dziś miała tylko nic nieznaczący prolog. Zrozumiała biedaczka i na drugi dzień, pożegnawszy się z kolegami, pojechała z »kartą służbową« do sztabu II-ej armji.

Wspominam o tym kapralu-amazonce ku przestrodze innych panien, które kiedyś w przyszłości chciałyby tej ciężkiej służby skosztować.

Na drugi dzień po przybyciu do Mizocza zabieramy się z całym przejęciem do urzęduzenia możliwie najlepszego postoju dla ludzi i koni — mamy tu stać przecie około 6 tygodni (!!). Było to 4 marca wieczorem, kiedy przyjechał łącznikowy od sztabu II-ej armji z rozkazem do mnie, że »wobec zamierzonego w dniu 5 marca wybuchu bolszewicko-chłopskiego powstania w Krzemieńcu, które ma się rozpocząć od wyrżnięcia dowództwa etapu i kompanji etapowej w Krzemieńcu, 3-ci szwadron 2-go pułku strzelców konnych ma się tam udać bezzwłocznie i powstanie stłumić«. Data



rozkazu 3 marca — dostałem go o 24 godzin opóźniony. Dziś już wieczór, a 5 marca jutro; — do Krzemieńca najbliższą drogą do Szumska przez góry i lasy, bocznymi drogami około 80 wiorst, dopiero od Szumska połowa drogi szosą. Jechać szosą na Dubno... wprowadzie lepsza droga, ale zgórą sto wiorst!! Zakławszy kilka razy naszym narodowem, a w gruncie nieubliżającem nikomu: »psiakrew«, zwołuję oficerów i wydaję rozkaz do wymarszu dziś w nocy. Taborek nasz, kancelarja, wszystko pójdzie wolno na drugi dzień pod eskortą do Dubna, stamtąd koleją do Krzemieńca; my, t. j. cały szwadron, rzniemy dziś przed świtem, o 3-ej w nocy, do Szumska, stamtąd do Krzemieńca. Przepadł postój i odpoczynek w Mizoczcu.

Przewidywałem ciężką drogę o tej porze roku, ale nie myślałem, że będzie taka okropna. Prawie do samego Szumska jechaliśmy ciągle stępa leśnymi drogami, na których śnieg leżał koniom po kolana. Gdzie mniej było śniegu, zmarznięte głębokie koleje, po których się konie ślizgały... — Jednem słowem, była godzina 17 (5 wieczorem), kiedy dymiący parą od zgrzanych i zmęczonych koni, stanął mój szwadron w miasteczku Szumsku, t. j. na połowie drogi do Krzemieńca. Wszyscy oficerowie dowódcy plutonów, ze ś. p. nieodżałowanym por. Kazimierzem Beyzymem, na moje zapytanie, czy dojdą konie dziś do Krzemieńca, meldują mi, że to absolutnie wykluczone, że ta droga dzisiejsza zerznęła nam konie na nic. Widzę to zresztą sam. Co będzie, to będzie, — rozkazuję por. Beyzymowi zakwaterować się w Szumsku, ale w myśl instrukcyj generała Listowskiego trzymać oddział cały w kupie, w pogotowiu bojowem, w razie potrzeby rznąć bolszewików na sieczkę, wystarać się o owies i siano dla koni a żywność dla żołnierzy. — sam zaś wybieram 6 dzielnych dawnych moich wojewódzkich ułanów na najlepszych koniach,

postanawiając jechać na mojej wiernej »Królowej« z tymi sześcioma ułanami (jako kwatermistrzami) do Krzemieńca. Niech dowództwo etapu w Krzemieńcu widzi, że nie stawiając się w porę, nie robiłem tego dla osobistej wygody. Oprócz sześciu kwatermistrzów, jako siódmy jedzie ze mną nieodstępny mój ordynans, Borowski, który odbył ze mną wszystkie kampanje na frontach polskich, dużo widział wraz ze mną, dużo przeszedł, dbał o moje klacze zawsze, bo wiedział, że mogłem sam znieść głód, ale klacze musiały mieć wikt dobry i obfity. Dawszy godzinę czasu moim sześciu dzielnym chłopcom i Borowskiemu na nakarmienie i napojenie koni, wyjeżdżam koło 6-ej wieczorem z Szumska szosą do Krzemieńca. Jedziemy kłusem dystansowym, niezbyt szybkim ale prawie nieustającym, 5 minut kłusem, 2 minuty stępem; droga nie świetna, ale szosa, więc marsz idzie względnie szybko, chociaż »Królowa« na załamany łódzie skaleczyła się w pęcinę i zostawia od czasu do czasu ślad krwawy na śniegu. Kraj szkaradny, pustkowie zupełne, na całej tej przestrzeni nie spotkaliśmy, jadąc sześć godzin, żywego ducha, a przecie to szosa między Dubnem a Krzemieńcem, co tu za ruch musiał być w swoim czasie! Dziś słupy telegraficzne powalone niektóre, bliżej osad, spalowane i skradzione wraz z drutem, inne leżą na szosie: widocznie nikt tu obecnie nie jeździ. Koło północy, przeszedłszy silne emocje, czy etap już wyróżniony czy jeszcze nie, śpiesząc się gorączkowo, wjeżdżam do Krzemieńca od strony północno-wschodniej. Mam wrażenie, że jestem gdzieś koło Zakopanego, takie tu góry i spadziste drogi; ciemna, ogromna masa góry »Królowej Bony« zajmuje cały skłon nieba. Zjeżdżam w wąwóz między górami, ciągnący się kilka wiorst i stanowiący jedną główną ulicę Krzemieńca: wszędzie cicho, spokojnie, żadnych strażów, wszystko »jak Pan Bóg przykazał«. Pytam się przechodzącego patrolu



pieszego, gdzie dowództwo etapu. Widocznie uradowany z sukcesu, prowadzi mnie podoficer w górę za kościołem, gdzie dużym gmach, ze światłem we wszystkich oknach, góruje nad miastem. Ma się rozumieć po drodze już wypytuję podoficera: co tu u was słychać?

— Wszystko w porządku, panie rotmistrzu. Niby to mają dziś na nas napaść, ale nasze karabiny maszynowe naszykowane, tak łatwo się nie damy!

Przybywszy na miejsce, melduję się u pułk. Połońskiego dowódcy etapu. Stary żołnierz ze służby rosyjskiej wita mnie ze szczerą radością; zapoznajemy się z ppor. Byrko, adjutantem, dzielnym oficerem; — widoczna radość z mego przybycia detONUje mnie, i ledwie śmiem objaśnić, że przybyłem tylko z 7 jeźdźcami, że reszta po forsownym marszu odpoczywa w Szumsku.

— Właśnie doskonale! — mówi pułkownik — bo w Szumsku jest punkt zborny dla powstania bolszewickiego; stamtąd mają na nas uderzyć!

Uradowany z tego obrotu rzeczy, zapewniam pułkownika, że mój szwadron da sobie radę, że już z Szumska bolszewicy tu nie przyjdą; melduję zresztą, że na całej tej drodze nikogo nie widziałem; że p. pułkownikowa (ubrana i przygotowana do ucieczki) może się spokojnie położyć spać. Jak zwykle po wrażeniach takich, po zmęczeniu i głodzie, smakuje mi podwójnie wódka, herbata i różne dobre rzeczy, które miła pani pułkownikowa zastawia bardzo gościnnie. Zajadając za czterech, uspokojony o »Królowę«, o Borowskiego i moich ułanów, których wzięła w opiekę kompanja etapowa, stojąca w pogotowiu bojowym całą noc, i którym uprzejma a bardzo uradowana pani Połońska nie żałuje wódki a i koniom dano wszystkiego wbród, — dowiaduję się, że defenzywa nasza wpadła przed kilku dniami na trop zorganizowanego bolszewickiego powstania, że 3.000 spiskowców do tego należy, że w ręce defen-

zywy dostała się lista nowych wójtów i sołtysów (starostów i »starszyn« po tamtejszemu), naznaczonych już zgóry, i że pierwsze uderzenie na słabą kompanję etapową w sile 60 piechoty i 2 karabinów maszynowych ma nastąpić dziś, w nocy.

Pani pułkownikowa kładzie się spać, a my wszyscy czuwamy, spoczywając na kanapach z bronią w rękę; nad ranem zaś wysyłam dwóch moich strzelców konnych z rozkazem do por. Beyzyma, by został jeszcze w Szumsku i przy pomocy żandarmerji polskiej przeprowadził w Szumsku rewizję za bronią, a nie wracał, aż dostanie rozkaz.

Por. Beyzym wraz z żandarmerją przewrócił Szumsk do góry nogami, znalazł zgórą 3.000 karabinów z amunicją. Tam, gdzie znaleziono karabiny, nałożono karę w formie rekwizycji furazu i prowiantu. Gdy po zlikwidowaniu powstania przyszedł (w parę dni potem) szwadron mój do Krzemieńca, konie wyglądały jak smoki a i strzelcy — niczego!

Po przybyciu szwadronu mojego do Krzemieńca wyznaczono nam jako miejsce postoju koszary kawaleryjskie w Białokrynicy, o 4 km na zachód od Krzemieńca. Stał tam już dywizjon artylerji naszej, a wkrótce przybył i śliczny szwadron 15-go (poznańskiego) pułku ułanów, który po kilku dniach odpoczynku pojechał dalej. W tym miłym garnizonie krzemienieckim staliśmy sześć tygodni; poza codziennymi ćwiczeniami z nowo przybyłymi żołnierzami mieliśmy jeszcze dwie ekspedycje karne przeciwko powstańcom bolszewikom w Jampolu nad Horyniem i w Szestretynie pod Poczajowem. Powstania te łatwo, szybko i bez strat z naszej strony zlikwidowane zostały.

Szykujemy się na wojnę, o wojnie gadają już wróble na dachach, żydzi w Krzemieńcu szykują się do »delikatnych« interesów.

Święta wielkanocne spędzamy jeszcze w Krzemieńcu,



a zaraz po świętach przychodzi rozkaz wymarszu na front, do Zwiahla. Szwadron wygląda doskonale, konie wyobroczone, wypoczęte, idą na stację do ładowania się w wagony w ciągłych lansadach; nic dziwnego, trafiła im się gratka: oto intendatura zamiast owsa przysłała nam jęczmienia (2 czy 3 wagony); — żydki miejscowe zaproponowały mi zamianę: za jeden wagon jęczmienia dadzą dwa owsa. Zamianę natychmiast przeprowadzono. Obie strony zrobiły pyszny interes: żydzi czuli zwyczaję produktów jadalnych, a więc i kaszy jęczmiennej, ja zaś mogłem dawać przez parę tygodni podwójną porcję owsa, zamiast pojedynczej jęczmienia, z którym zresztą dużo kłopotu, aby uniknąć u koni niebezpiecznej »kolki«.

Przed odjazdem z Krzemieńca pożegnanie szwadronu z miastem i z dotychczasowym dowódcą etapu, a więc i naszym przełożonym, pułkownikiem Połońskim. Dostajemy na piśmie:

#### ROZKAZ NR. I.

Do

Dowódcy 3-go szwadronu 2-go pułku strzelców konnych.

Na podstawie rozkazu D-twa II. armji nr. 189 — 3 szwadron 2 p. strz. konnych odjedzie 8 kwietnia b. r. z Krzemieńca do dyspozycji VII. dywizji.

Przy tej sposobności wyrażam rotmistrzowi Kossakowi Tadeuszowi, dowódcy 3 szw. 2 p. strz. konnych, podziękowanie i pełne uznanie za pracę położoną około pełnienia służby w tutejszym garnizonie. Równocześnie zaznaczam, że cały szwadron podczas swego pobytu w Krzemieńcu zachowywał się pod każdym względem wzorowo, jak przystało na żołnierzy polskich, wobec czego składam jeszcze raz podziękowanie w imieniu służby wszystkim oficerom i strzelcom konnym tegoż szwadronu, przyczem życzę wszystkim szczęścia na nowej placówce około odbudowy naszej ukochanej ojczyzny.

Byrko ppor.  
adjutant.

Połoński  
pułkownik i D-ca.

Pochlebna ta opinja w parę dni później wymieniona została z pochwałą w rozkazie II-ej armji.

Po głośnem przeczytaniu tego zaszczytnego rozkazu przed stojącym na froncie gotowym do wymarszu szwadronem, odśpiewano »Rotę« i — »Czwórkami od prawego stępem — marsz!« Uściski dłoni na prawo i lewo, bo cała inteligencja polska odprowadza nas na stację kolejową w Krzemieńcu.

Przyjechawszy do Zwiahla jestem wezwany do Korca, do sztabu VII-ej dywizji, której dowództwo objął pułkownik (dziś generał) Szubert. Generał Latinik zaś zatrzymany został przez Naczelne Dowództwo na Śląsku. W Korcu zastaję cały 9-ty pułk wraz z kolegami przeszłorocznej naszej wyprawy na Zdobunowo i Równe, — przyjechał też na wizytację tego pułku inspektor jazdy, pułkownik (dziś generał) Kawecki. Podczas wizytacji pułkownik Kawecki ma demonstrować nowy regulamin jazdy (przerobiony z francuskiego), dlatego i ja jestem na tę pouczającą demonstrację wezwany. Spędzamy cały dzień na placu ćwiczeń pod Korcem: ciągle próby, pokazy i ćwiczenia z 9-tym pułkiem ułanów. Regulamin francuski prosty, łatwy i celowo zastosowany do dzisiejszych morderczych narzędzi wojennych, pocisków armatnich i ognia karabinów maszynowych. O ile dawniej zasadą ataku jazdy była zwarta masa jeźdźców, czyto szwadronu, czy pułku, czy brygady i t. d., która samym swoim pędem i ciężarem trątowała nieprzyjaciela, o tyle dzisiaj jak najluźniejsza linja, przedstawiająca rzadki i niegłęboki cel dla pocisków nieprzyjacielskich a gromadząca się w kupę dopiero w ostatniej chwili, bezpośrednio na nieprzyjacielu, stanowi zasadę nowego regulaminu.

Tam, w Korcu, otrzymuję od pułkownika Kaweckiego rozkaz formowania dywizjonu strzelców konnych — czyli jeszcze jednego szwadronu, jak mi to w Warszawie obiecał. Zostawiwszy więc szwadron w Filipowiczach pod Zwiahlem, pod dowództwem por. Beyzyma, jadę sam pierwszym lepszym



autem wojskowem do Równego, by stamtąd koleją jechać do Pińczowa, do kadry 2-go pułku strzelców konnych.

Kilku ludzi zdolnych opisywało ten szalony ruch wojsk naszych wiosną 1920 roku, nie będą z nimi współzawodniczył. Poprostu oczom się wierzyć nie chciało, widząc wszędzie, na wszystkich stacjach, i tu, na froncie, i za frontem, w Lublinie, w Warszawie, w Kielcach, w Krakowie, we Lwowie — na wszystkich pośrednich stacjach i stacyjkach — niezliczone trasporty umajone gałęziami, przepełnione żołnierzami, końmi, z wagonami Czerwonego Krzyża, z lorami zapakowanymi armatami, wozami, jaszczykami i t. d. Ciężko mi jechać w tył, choć to na parę dni tylko: boję się spóźnić na ofensywę. Załatwiam sprawy wojskowe w Równem, w Warszawie, w Kielcach i Pińczowie, i dnia 27 kwietnia jestem z powrotem. Dowiaduję się w Zwiąhlu, że VII dywizja pomaszerowała na Żytomierz. Zabieram się jakimś samochodem, naładowanym amunicją, i jadę do Żytomierza. To miłe, najbardziej polskie miasto na Rusi, jak ono teraz wygląda, po ucieczce tego bolszewickiego potwora! Już w Zwiąhlu widziałem całe centrum miasta zburzone celowo, obrócone w kupę gruzów, jak Kalisz w 1914 r. przez Niemców. Tu, w Żytómierzu, pierwszy raz czuję w środku miasta ten straszny trupi odór, — na placyku w śródmieściu płytko pogrzebane ofiary bestjałskich mordów czerezwyczajek. Pozatem ruina, brud, smród, nędza, jak wszędzie po tych bandytach. W Żytomierzu już tyły wojsk polskich. Przez dwa dni, od 25 do 27 kwietnia, poleciała nasza armja jak wichur na przód, — moja VII dywizja jest podobno w Radomyślu. Pakuję się na jeden z kilku samochodów wiozących chleb dla VII-ej dywizji; jedzie mój kolega z tej samej dywizji, por. Sobolewski, jedzie i oficer prowiantowy (żyd), ogromny chłop o marsowym wyglądzie, — przytem, oprócz szoferów, kilkuna-

stu piechurów jako eskorta cennego towaru. Na chleb ten czeka dywizja z upragnieniem, bo tu niczego nie dostanie: co było, zagrabili bolszewicy, — zresztą jest przednowek, a wojsko nasze wali jak nieustająca rzeka, co jest gdzie do nabycia, to już rozkupione. Pilno nam jechać do Radomyśla, W Korostyszewie nad rzeką Teterowem musimy skrócić z szosy Żytomierz-Kijów na lewo, wprost ku północy. Mamy dwadzieścia parę kilometrów do Radomyśla starym, zwyczajnym gościńcem; wieczór już zupełny, a droga piaszczysta, jak gdzieś pod Łukowem lub Opoczmem. Na pierwszym mostku katastrofa: pod ciężkim samochodem, naładowanym tysiącami bochenków, załamuje się most; samochód grzęźnie, parę godzin schodzi na wyciąganiu go. Wyjechawszy na płaskowzgórze, dostajemy się w morze lotnego piasku. Nareszcie gdzieś o północy, wygrzebawszy się z piasku na twardy grunt, jedziemy dalej, aż tu jakieś jakby błyskawice w ciemnościach i świst kul. Gasimy światła latarni samochodowych i narada co robić? — Oficer prowiantowy oświadcza się za powrotem, por. Sobolewski i ja za jazdą naprzód, bo dywizja bez chleba zostać nie może, a nieprzyjaciel z tej strony rzeki to chyba tylko jakiś zabłąkany, opóźniony w odwrocie oddział. Oficer prowiantowy siada na jedną z furmanek, które szły przy kolumnie, i zmyka z powrotem do Korostyszewa. Obejmuje więc komendę nad kolumną i razem z porucznikiem Sobolewskim, z karabinami w ręku, z kilkunastoma chłopcami od piechoty, idziemy przed kolumną wiozącą chleb aż pod sam Radomyśl. Nieprzyjaciel, nastrzelawszy się do nas nieszkodliwie, poszedł swoją drogą, a myśmy dostawili chleb w porządku.

W Radomyślu — sporem miasteczku, względnie mniej zniszczonem niż inne miasta na Rusi — zastaję sztab VII-ej dywizji, gdzie zameldowawszy się otrzymuję wiadomość, że



mój szwadron znajduje się na prawem skrzydle III-ej armji, gdzieś koło Białej Cerkwi, t. j. co najmniej o jakie 150 wiorst na południe. Zjadłszy ze sztabem skromny obiad w kasynie wojskowem — dziś polskiem, a jeszcze parę dni temu bolszewickiem, — spluwam patrząc na liczne portrety Trockiego i rozmaite symbole i aforyzmy bolszewickie, podziwiając olbrzymi perski dywan, rozścielony na estradzie tego kasyna, na którym to dywanie co wieczór urządzali sobie bolszewicy przedstawienie z tańczących całkiem nago panien i młodych mężatek miejscowych. Tak opowiadali nam autochtoni, dodając, że biada było tej, która nie chciała posłuchać. Skąd się wziął tutaj ten królewski dywan? bo i wielkość i gatunek niezwykły. Pewnie z któregoś magnackiego polskiego pałacu...

Wypawszy się doskonale na kwaterze u miejscowego aptekarza, Polaka, bardzo gościnnego gospodarza, wyruszyłem na drugi dzień o świcie samotrzeć z Borowskim i Sitwą<sup>1</sup> na poszukiwanie mojego szwadronu.

Marsz mój z Radomyśla w okolice Białej Cerkwi miał kierunek prosto z północy na południe, szedł więc prostopadle do wszystkich linii kolejowych, szosowych, któremi wyłącznie płynął potok wojsk polskich od zachodu na wschód. Jadąc więc przez tak wielki szmat Ukrainy wpoprzek marszów polskich, byłem kilkakrotnie we wsiach, gdzie jeszcze żołnierza polskiego nie widziano, gdzie o Petlurze i nowej Ukrainie mało wiedziano. Sympatje i antypatje nie były jeszcze wyraźnie zdeklarowane; zależało to przedewszystkiem od tych, którzy w danej wsi rej wodzili; w każdym razie, pomimo że jechałem trzy dni i noce z dwoma tylko ordynansami, nie spotkało mnie nic przykrego podczas całej tej eskapady.

Wyjechawszy o świcie w cudny wiosenny poranek go-

---

<sup>1</sup> Janek Sitwa był moim osobistym ordynansem,

ścińcem do Korostyszewa, jechałem kilka wiorst szosą w stronę Kijowa, do wsi Koszerewo, gdzie wykręciłem na prawo (t. j. prosto na południe), by przez miasteczko Brusilów jechać w kierunku Chwastowa, większego miasta i stacji krzyżowej na drodze Koziatyn-Kijów. W Koszerewie trafiłem na wielki lament i żalobę. Za to, że w tej wsi rozstrzelali Polacy żytomierską czerezwyczajkę, uciekającą z Żytomierza do Kijowa, uciekający oddział bolszewicki ukarał wieś zdziesiątkowaniem miejscowych chłopów. Pięciu rozstrzelanych świeżo włościan leżało pod chałupą, gdyż pięćdziesięciu miejscowych gospodarzy zdołał ten bolszewicki oddział złapać. Napozór wydaje się to dziwnem, żeby na tyłach armji polskiej mógł się jeszcze jakiś oddział bolszewicki znaleźć, a jednak nie-jeden raz trafiało się w tej kampanji, zarówno z powodu wielkich przestrzeni, jak i z racji ogromnych liściastych lasów, ciągnących się np. od Korostyszewa na północ, w stronę Owrucza, jednym pasmem. Wiele mniejszych oddziałów bolszewickich, które zostały w tyle za naszą armją, rozplynęło się w przestrzeni, t. j. wsiąkło w ludność wiejską danej miejscowości, by w danym momencie wystąpić znowu czynnie przeciwko nam. W tej wsi Koszerewo pod wpływem świeżej egzekucji niewinnych pięciu »diadków« pomstowano na bolszewików, a mnie, co najważniejsza moim koniom, zrobiono owację w postaci owsa i siana. Wypiwszy przy pomocy moich dwóch adjutantów całą »hładyszkę« zimnej maślanki, ruszyliśmy dalej w stronę Brusilowa, sądząc z mapy większego miasteczka, w którym liczyłem zrobić dwugodzinny popołudniowy popas.

Po kilku godzinach przybyliśmy do miejsca, gdzie stało kiedyś miasteczko Brusilów (dawniej własność wojewody Kisiela, który traktował w myśl liberalnego kanclerza Ossolińskiego z Chmielnickim). Równie dobrze mógł sobie Schlie-



mann powiedzieć: »tu stała Troja«, bo chyba ja po Brusilowie nie zastałem więcej niż ten sławny badacz Grecji — po Troi. Jak już tyle razy wspominałem, czyto na Litwie, czy na Rusi, wszędzie widziało się ruinę, zniszczenie, — ale czegoś podobnego, jak tu, nie widziałem nigdzie!

Miasteczko, liczące przed wojną kilka tysięcy mieszkańców, wyłącznie żydów, zostało w r. 1917 przez wojska antybolszewickie Denikina zniesione doszczętnie, a ludność cała wymordowana co do jednego. Jadąc tedy, gdzie stał kiedyś Brusilów, nie widziałem ani jednego domu, ani jednej stodoły, ani jednej nawet psiej budy: rumowisko porośnięte już trawą i zgliszcza pokryte majową zielonością. Przejechawszy przez ten cmentarz, przez który przewiozłbym chętnie p. Morgenthau'a i innych żydowskich szczekaczy na polskie pogromy żydów, zobaczyłem o jakie półtorej wiorsty sylwetkę kościoła katolickiego, otoczonego murem, — pod murem kościelnym kilka chałup, widocznie zamieszkałych przez ludność polską. Podjechałem pod bramę, przez którą wyszedł do mnie jakiś bolszewik, bo na głowie papacha, broda zapuszczona i zakurzona, pas wełniany na rosyjskim tołubie... Pytam się, czy ksiądz tu mieszka («ksiądz» na Rusi oznacza tylko katolickiego kapłana, — »pip«, »świaszczennik« »batiuszka« kapłana prawosławnego).

— Ja nim jestem — odpowiada tak znakomicie ukształtowany proboszcz brusilowski.

On to, ten proboszcz dzielny, który tyle wytrzymał, by parafji nie opuścić, opowiadał mi te wszystkie okropności, jakie »Denikińcy« wyprawiali z żydami, w myśl hasła: »Spasaj Rossieju — biej jewrejew!«. Kilka godzin, które spędziłem na plebanji, gadałem i gadałem, o ile pozwoliło mi jedzenie i picie coraz czegoś nowego, znalezione w zapasach plebanji. Byłem pierwszym żołnierzem polskim, którego

proboszcz i całe jego otoczenie miało radość widzieć; w zakątku tym, odciętym od świata, nie wiadano o niczem; chodziły jakieś słuchy, ale żydków wymordowali denikińcy, pantoflowej poczty zabrakło, — o gazetach w tych czasach nikomu się nie śniło. Siedział biedny proboszcz za swoim murem kościelnym, o niczem nie wiedząc, bojąc się wychylić za obręb probostwa. Nie pamiętam nazwiska szanownego proboszcza. Czy żyje? — Wątpię bardzo, bo po naszym odwrocie z pod Kijowa mordowano wszystkich księży katolickich bez pardonu.

Ma się rozumieć, że postój na tej plebanji podobał się moim ordynansom, którzy między czeladzią księżą mieli takie samo powodzenie, jak ja u proboszcza. Konie nasze odpoczęły i podjadły rzetelnie. Pojechaliśmy dalej w kierunku południowym, do Chwastowa. Pierwszy nocleg w ciepłą, pachnącą noc wiosenną urządziliśmy sobie w gęstym lesie, zdaleka od gościńca, a ze wschodem słońca ruszyłem dalej. Koło południa przyjechałem do Chwastowa, gdzie (jako na jednej z linii magistralnych naszej ofenzywy) roziło się od wojsk polskich. Spotykam moc znajomych kolegów, przedewszystkiem trafiam na kolegów z 2-go pułku ułanów. Kochany pułkownik Waraksiewicz bierze mnie ze sobą na obiad do oficerów 3-go szwadronu; dowiaduję się o akcji jazdy naszej na Koziatyn; mówią mi koledzy, że i generał Sawicki ze sztabem dywizji jazdy jest tu, w Chwastowie; jednym słowem dużo nowin, przechodzę moc wrażeń, samych miłych i pocieszających. Melduję się w sztabie generała Sawickiego, gdzie trafiam także na znajomych i dostaję zapewnienie, że szwadron mój jest już w Białej Cerkwi i że VII dywizja piechoty ma także z Radomyśla przejść na prawe skrzydło III-ej armji, do Białej Cerkwi. Napasiony i napojony wraz z moimi ordynansami i końmi przez 2-gi pułk ułanów, jadę w nocy przed



świtem z Chwastowa do Białej Cerkwi. Marsz niedługi, za-  
 ledwie trzydzieści kilometrów; pogoda, jak wogóle przez cały  
 ten epokowy rok 1920, prześliczna. Jadę prawdziwą Ukrainą,  
 przez bogaty, czarnoziemny, stepowy kraj (ta północna Ukra-  
 ina koło Radomyśla to takie same piachy, jak np. pod Ot-  
 wockiem) i przyjeżdżam do Białej Cerkwi. Szwadron mój  
 jest, — radość obopólna, t. j. szwadronu i moja, wielka. Ja  
 opowiadam o rezultatach mojej misji w sprawie dywizjonu,  
 a koledzy opowiadają mi, co robił szwadron: Nie próżnował;  
 jak zwykle badał przedpole przed linią VII-ej dywizji; pod  
 Zwiahlem, w jednej z utarczek z jazdą bolszewicką, byłby  
 wziął cały pluton do niewoli, ale wachmistrz Bardowski nie  
 wytrzymał, i kiedy szwadron obchodził bokiem, wyrwał się  
 sam jeden na ten pluton i samopas go zaatakował, a pluton  
 w nogi! — Dostał wielkiego nosa dzielny wachmistrz, ale  
 i przykład dał doskonały tym moim żołnierzom, którzy jesz-  
 cze w ogniu nie byli. Pod Kropiwną podchorąży Jan Choj-  
 nowski z jednej strony, a por. Beyzym z drugiego skrzy-  
 dła — podtrzymali chwiejącą się własną piechotę, a ppor.  
 Tadeusz Tarnowski poprowadził swój pluton do skutecznego  
 kontrataku. Opowiadają mi koledzy cały szereg epizodów  
 drobniejszych, których nie cytuję, bo nie byłem świadkiem,  
 ale widzę, że oficerowie zadowoleni z żołnierzy, a ci patrzą  
 tylko w oczy przełożonych i rwą się do akcji.

Przybywa sztab VII-ej dywizji z generałem Szubertem na  
 czele; szwadron mój rozdzielony na dwie połowy: — dwa  
 plutony do 13-ej brygady, a dwa drugie do 14-ej brygady przy-  
 dzielone na czas dłuższy; ja otrzymuję rozkaz być przy szta-  
 bie VII-ej dywizji. Jak już poprzednio wspomniałem, rola do-  
 wódcy takiej jazdy dywizyjnej jest w najwyższym stopniu  
 niewdzięczna. Niemniej zarówno oficerowie moi — ppor.  
 Mysyrowicz (przybyły niedawno ze szkoły jazdy), ppor. Bey-

zym, podchor. Barylski, Tarnowski — Chojnowski, jak i podoficerowie i żołnierze, pełnią służbę na przedpolach swoich brygad bez zarzutu i utrzymują stale łączność między obydwooma brygadami.

Po paradzie przed generałem Listowskim w Białej Cerkwi, po obchodzie 3 Maja (przy ołtarzu polowym podczas mszy spotykam ku wzajemnej radości i zdumieniu mojego przyjaciela zacnego ks. Anzelma Zagórskiego, byłego proboszcza i komisarza polskiego w Starokonstantynowie), przychodzą coraz cięższe terminy na całym froncie kijowskim. Pewnego dnia majowego, będąc na stacji kolejowej w sprawach służbowych, spotykam świeżo co przybyłego generała Karnickiego, który znając mnie z I-go korpusu, objaśnia mnie, że obejmuje dowództwo naszej dywizji jazdy, a dywizję czeka ciężkie zadanie, bo cała armja konna Budiennego idzie na nas; że armję tę zna z czasów, kiedy był odkomenderowany do sztabu generała Denikina. Sam Budienny to prosty chłop, podoficer, był ordynans generała Karnickiego z czasów, gdy tenże dowodził dywizją carskiej jazdy; ale sztab jego składa się z fachowych oficerów rosyjskich i niemieckich. Jednem słowem, jest to twardy orzech do zgryzienia, tem bardziej, że siły Budiennego obliczają na 15.000 szabel, podczas kiedy nasza dywizja, tu na tym odcinku, ma wszystkiego niespełna 3.000 szabel. Co najgorsze, to że front nasz był z »pajęczyny«, na kilometrze bowiem frontu stała kompanja piechoty, przeważnie bez rezerw i etapowych oddziałów.

Ten to 900-wiorstowy front, od Witebska do Zmierzynki, połknął te nieprzebrane masy wojska polskiego. Całe rzeki zbrojne płynące z Polski na wschód wsiąkły w ten bezmiernej długości front, — wszędzie brakowało rezerw, a z tych, którzy byli obecni, ubywało codziennie wielu. Każdego wieczoru wychodziła kolumna pogrzebowa ze szpitala



w Białej Cerkwi na cmentarz — przeciętnie szło 10 wozów, na każdym po dwie trumny z ciałami zmarłych z ran żołnierzy. A ilu zostało w polu pogrzebanych, zabitych na miejscu! Ludność polska w Białej Cerkwi, która, uszczęśliwiona z naszego przybycia, robiła co mogła, aby uprzyjemnić ciężką służbę żołnierzowi polskiemu, nie tała się ze swemi patryjotycznymi uczuciami wobec stojącego na boku, obserwującego tylko wszystko co się dzieje, żydostwa; nie chciała przypuszczać z początku, że to piorunowe zajęcie Ukrainy skończy się wkrótce odwrotem. Przezorniejsi zaczęli opuszczać Ukrainę i uciekać na zachód. Tymczasem huk armat ciężkiego kalibru w samej Białej Cerkwi, na pozycji nad rzeką Rosią, dawał dużo do myślenia. A cóż robi Ukraina? Gdzie powstanie ukraińskie? gdzie Petlura i jego sympatycy? — Nie widziałem, przyznaję szczerze. Oprócz dwóch zawsze milczących, niebardzo świetnych ale potulnych oficerów »łącznikowych« ukraińskich, przychodzących tylko na obiady i wieczery do sztabu dywizji, nie widziałem żadnego Ukraińca wojskowego. Ludność ukraińska miejscowa, wyłącznie młodzież szkolna męska i żeńska, urządzała jakieś obchody, zabawy, koncerty i t. p., ale trzymała się od nas zdaleka, w naszych uroczystościach nie brała udziału, a widoczną sympatię okazywała żydkom i młodym żydówkom, swoim kolegom i koleżankom.

Będąc codziennie o 6-ej wieczorem w sztabie dywizji na »odprawie«, na której wszyscy dowódcy oddziałów dostawali rozkazy dla podkomendnych sobie kompanij, baterij lub szwadronów, obserwowałem wraz z kolegami tragiczną czerwoną tasiemkę na wielkiej mapie sztabu generalnego, oznaczającą linię wojsk sowieckich. Tasiemka ta, która pierwotnie była za Dnieprem, sunęła od wschodu ku zachodowi coraz prędzej, minęła Kaniów, minęła Taraszcę, Skwirę; — między

bohaterską 1-szą dywizją legjonową a naszą 13-tą brygadą powstała luka, — na tę dziurę, na Chwastów, maszeruje bolszewicka taraszczańska dywizja. Na zatkanie dziury jedzie mój szwadron, ma lukę załatać i nawiązać łączność z dywizją legjonową. Zadanie to wykonane zostało bez zarzutu, dzięki dzielnym moim oficerom i żołnierzom. Nieprzyjaciel, cofający się z pod Chwastowa, gdzie go legjonowa dywizja idąca od północy wzięta w obroty, zostaje w Krasnoje, potem w Ludwinówce, zmuszony do odwrotu w kierunku na Kahanłyk — przy skutecznym ogniu naszej półbaterji z Krasnoje, — bolszewicy uciekają do wsi Rozaljewka, którą obsadzają. Szwadron mój idzie w konnym szyku do szarży na tę wieś; na 200—250 kroków przed wsią głęboki rów wstrzymuje nasz atak; szwadron dostaje kilka salw z karabinów ręcznych i maszynowych, prawie na dystans dobrego rewolweru, i zgodnie z legendą ani jeden strzelec ani jeden koń nie został draśnięty. Nieprzyjaciel w nocy opuszcza tę wieś i ucieka ku wschodowi. Luka we froncie zatkana, łączność z dywizją legjonową nawiązana, szwadron otrzymuje pochwałę w rozkazie VII-ej dywizji i rozkaz pozostania w Ludwinówce. Oddziały I-szej legjonowej dywizji, ruszywszy gwałtownie z północy ku południowi, zachodzą na tyły sił bolszewickich, grożących naszej 13-ej brygadzie w Białej Cerkwi. Zwycięski pochód bolszewicki zamienia się w paniczną ucieczkę; dywizja legjonowa zdobywa sporo armat i taborów, a mój dzielny szwadron bierze kilkudziesięciu jeńców i zdobywa trochę koni. Starszy strzelec Świeczko, jadąc z boku szwadronu jako ubezpieczenie, bierze sam jeden ośmiu bolszewików do niewoli.

W akcji tej odznaczył się ppor. Mysyrowicz, ppor. Tarnowski i również zawsze dzielny wachmistrz Kulczycki. Równocześnie przybywa nowy szwadron uzupełniający dy-



wizjon, ze wszystkim co potrzeba, — mundurami, bronią i rynsztunkiem, ale bez koni!

Z nowym szwadronem przybywają oficerowie: ppor. Lasocki, podchor. Izdebski i dawny mój ułan wojewódzki Ryszard Choynowski. Ja dostaję awans na majora. Notabene w tym samym rozkazie personalnym zostaje majorami jazdy pięciu rotmistrzów Kossaków: mój brat Wojciech, ja, i trzech naszych stryjeczno-stryjecznych, dzielnych i znanych dobrze w armji polskiej oficerów.

Nastrój chwilowo doskonały, nitka czerwona na mapie cofnęła się ku wschodowi. Krótko to, niestety, trwało, bo nadchodzą groźne wiadomości o przerwaniu się na nasze tyły konnej armji Budiennego. Część przybyłego szwadronu wsadzam na zdobyte konie, kilku żołnierzy jako eskortę odsyłam koleją do Kowla ze zbywającym kosztownym rynsztunkiem, a z reszty pieszych strzelców konnych formuję na rozkaz generała Szuberta ochronę dla sztabu VII-ej dywizji. Nadchodzą najcięższe dni z całej tej kampanji kijowskiej, najcięższe nie dlatego, żeby było większe niebezpieczeństwo, ale dlatego, że w powietrzu czuć panikę, najgorszego wroga każdej armji. Dywizja VII posuwa się przez Marzepińce, Fastowiec ku Glejwasze, zabezpieczona podczas całego tego marszu przez 14-tą brygadę pod dowództwem generała Pogorzelskiego, tyły zaś tej brygady zabezpiecza mój konny szwadron.

Wymarsz VII-ej dywizji z Białej Cerkwi nastąpił tak niespodziewanie, że jeszcze w południe tego samego dnia czerwcowego (dat nie podaję, bojąc się pomyłki) nie było rozkazu do ewakuowania szpitala z rannymi i chorymi, taborów i t. d. Idąc po południu do sztabu, widzę pędzące na łeb na szyję tabory, widzę ruch koło szpitala, — wszystko to przy coraz gwałtowniejszym ogniu naszej ciężkiej arty-

lerji i padających nieprzyjacielskich pocisków. Atmosfera przepełniona strachem ogólnym; ludność polska w rozpaczy błaga sztab dywizji o podwody, by miała na czym uciekać; dywizja dać nie może, bo sama w kłopotach; chłopci, czując zmianę losu, pochowali się wraz z podwodami. Wieści krążą, że droga między Chwastowem a Koziatynem, zarówno kolejowa jak szosowa, przerywana przez oddziały Budiennego; w takim razie przepadłoby wszystko: i ranni, i siostry Czerwonego Krzyża, i doktorzy, magazyny, kancelarze i t. d. Rwą serce wyrzuty, jakie słyszymy od zrozpaczonej ludności polskiej »Pocoście tu przyszli? Żeby nas zgubić do reszty!? — Żyliśmy jako tako; teraz albo zostać przy swoim to pewna śmierć, albo iść za wami na nędzę i poniewierkę«.

Przy artyleryjskim akompanjamencie opuszczamy wieczorem Białą Cerkiew. Na czele sztab z dowódcą generałem Szubertem, 13-ta brygada piechoty, oddział sztabowy z moim pieszym szwadronem, i artylerja pod dowództwem majora Szponara. Uważam za swój obowiązek zaznaczyć, że zarówno w tym pierwszym strasznym momencie, jak i podczas całej naszej dalszej kampanji, VII dywizja piechoty była od początku do końca zwartą, posłuszną, wzorową jednostką bojową. Nie było paniki, nie było rabunków, nie było żadnych objawów niesubordynacji. — Stosunek żołnierzy do oficerów był zawsze jak najlepszy. Pamiętam jeden epizod, dowodzący niezbitcie tego, co napisałem: Gdzieś nad jakąś rzeką, za jakąś górą (byliśmy dosłownie za siódmą rzeką — rachując od Buga do Rosi), stanęła cała 13 brygada ze sztabem w jakiejś dużej wsi na odpoczynek. Było to podczas odwrotu; prowiantura funkcjonowała słabo, chłopci kwitów rekwizycyjnych petlurowskich nie uznawali (mieli dobrego nosa!), — jeść żołnierze chcą strasznie, i nic dziwnego, bo minimalne marsze były po 30 km, a bywały i po 50 kilometrów dziennie. Wy-



dano ze sztabu rozkaz, by rekwirować u chłopów bydło na rzeź. »Starszyna« (sołtys) miejscowy robi co może, oszczędza krewnych i przyjaciół swoich, a nieprotegowanym każe oddawać wojsku pojedyncze sztuki bydła. Podoficerowie rekwizycyjni różnych kompanij towarzyszą »starszynie«, i co jaką sztukę wskaże, piszą wagę na »oko« na petlurowskim kwicie (Ukraina miała ponosić koszty naszej rekwizycji), oddają kwit, a sztukę zabierają na rzeź. Przypatruję się tej manipulacji przy rozlegających się wrzaskach bab, płaczu dzieci, kwiku świń, kłótni chłopów ze »starszyną« i t. d. — Wcale niewesołe widowisko. Mija mnie plutonowy z 11-go pułku piechoty z kilkoma żołnierzami, którzy ciągną na postronku młodą krowę, z ładnem wymieniem, dobrze utrzymaną. Za nimi, jak za pogrzebem, idzie młoda, mizerna, widocznie chora kobieta z dzieckiem na rękę, a troje drobiazgu całuje ryczącą krowę gdzie się da, i zanosi się od płaczu. Zatrzymuję ten kondukt i pytam się, co takiego? — Zwykła wojenna tragedia! — Mąż tej kobiety zginął na wojnie, ona sama chora, a jedyną żywicielką czworga drobiazgu to ta ukochana krowa. — Śmierć krowy — wyrok śmierci na matkę i dzieci. Zaczynam traktować tę sprawę z plutonowym, nie służbowo, ale po ludzku, i pytam się zrozpaczonej kobiety, co by można zrobić, żeby i wilk był syty i koza cała? Pokazuje się, że gotowa jest oddać rocznego byczka, aby tylko uratować krowę; byczek niema ani połowy tej wagi, jaka się kompanji należy, dlatego »starszyna« kazał żołnierzom wziąć krowę, — a jednak — i plutonowy i żołnierze i dwaj plutonowi z tej samej kompanji, którzy przybiegli patrzeć, co się dzieje, jednogłośnie przychyłili się do mojej prośby, by zostawić krowę biednej wdowie a zadowolić się byczkiem. Podziękowałem dzielnym chłopcom i szczerze uściśnąłem rękę plutonowym.

Przypomniat mi się odwrót wojsk niemieckich i stosunek żołnierzy niemieckich do oficerów.

Niech mi wolno będzie jeszcze raz przy tej okazji wyrazić szczerą cześć i uznanie dla całej VII-ej dywizji, zaczynając od generała Szuberta i jego szefa sztabu, rotmistrza Borowca, por. Latawca, por. Winterhofa, por. Kocyana i t. d. aż do prostych żołnierzy włącznie. Obie brygady, 13. i 14. brygada piechoty, były zawsze, czy podczas ofensywy czy podczas odwrotu, bez zarzutu. Dowództwo 13-ej brygady zmieniało się kilkakrotnie, dlatego nie cytuję nazwiska dowódcy, by uniknąć pomyłki; dowódcą 14-ej brygady był stale spokojny, uprzejmy, wzbudzający największe zaufanie i szacunek generał Pogorzelski. On i mój oddział jazdy oszczędzał!

Dywizja nasza, jak powyżej wspomniałem, cofa się do Glejwachy za Wasylkowem; za naszą dywizją tłumy cywilnej ludności polskiej, idącej pieszo, z węzełkami w ręku lub na plecach; coś w rodzaju odwrotu armji napoleońskiej z pod Moskwy, tylko że w najlepszym sezonie, bo w czerwcu a nie w zimie, odwrót ten się odbywa. Glejwachą, wieś pod wielkim, starym lasem sosnowym, przez który idzie szeroki na kilkadziesiąt metrów gościniec do Kijowa. W lesie tym pod Glejwachą gromadzą się przeróżne oddziały; prócz naszej VII-ej dywizji są tu rozmaite oderwane oddziały jazdy, piechoty i artylerji, i tłumy cywilnych uchodźców. Tu, w tym lesie, odbywa się palenie kancelaryjnych papierów, zbytecznych powozów i wozów; dla skrócenia kolumn wojskowych wydano rozkazy ograniczające do minimum tabory oddziałów. Od czasu do czasu alarm i strzały w lesie; wybiegam kilka razy z moimi strzelcami w kierunku strzałów, — nic ważnego: bandy zdemobilizowanych chłopów — żołnierzy, manifestujących przedewszystkiem chęć rabunku. Wogóle nie pojmuje, dlaczego



ta panika, dlaczego ten niepokój? — Przychodzą rozkazy od dowództwa III-ej armji.

Odwrót III-ej armji generała Rydza-Śmigłego postanowiony. — Jako straż tylna ma iść za III-cią armją, o jednodzienny marsz dystansu, VII dywizja generała Szuberta. Jestem wezwany do sztabu i otrzymuję rozkaz zabezpieczyć tyły VII-ej dywizji. W tym celu mam się udać nad Dniepr, na południe od Kijowa, wraz z dwoma moimi szwadronami (jeden silniejszy, konny — drugi słabszy, na podwodach), do miejscowości Kozin powyżej Trypolja. Wszyscy dążą na zachód — ja mam iść »pod włos«, na wschód?

— Rozkaz, panie generale.

— Proszę nie dopuścić do dessantu bolszewickiej piechoty na prawy brzeg Dniepru, panie majorze — dodaje generał Szubert, i żegna się ze mną wyjątkowo serdecznie.

Ku zdumieniu cywilnej publiczności, po pożegnaniu się z przyjaciółmi — jadę tym szerokim gościńcem ku wschodowi, w stronę nieprzyjaciela; moim dzielnym strzelcom nie nowina, śpiewają więc wesoło, aż się po lesie rozlega, ale na zdemoralizowanej, nieszczęsnej cywilnej ludności robi to wrażenie ogromne.

Do utrapionego Kozina zgórą pięćdziesiąt wiorst. — Utrzymanie łączności ze szwadronem 4-ym, jadącym na wozach, niemożliwe, tem bardziej, że chłopci boją się bitwy, zasadzek, i rozmyślnie wloką się bardzo wolno. Podaję więc marszrutę ppor. Lasockiemu, a sam z konnym szwadronem jadę do Kozina. Straszna miejscowość dla oddziału konnego ten Kozin: osada to rybacka na odsypisku dniewem, zalewanem na wiosnę wodą, na którym to odsypisku przypuszczano prawdopodobny dessaut bolszewickich wojsk, przewiezionych przez Dniepr na łodziach.

Nad tą doliną dniewą wysoki prawy brzeg rzeki

odległy od Kozina około 4—5 wiorst. Pozycja dla oddziału jazdy fatalna. Na Dnieprze jeżdżą tu i tam dwa opancerzone parostatki, sypiące do nas granatami i szrapnelami, za nami bagno, przez które tylko ścieżka błotnista prowadzi do wsi Podgorce, na wysokim brzegu Dniepru. We wsi zostawiamy za sobą mały posterunek piechoty polskiej, oczekujący rozkazu cofania się; kompanja ta ma połączenie telefoniczne z dowództwem VII-dywizji. Zwołuję radę wojenną, przedstawiam kolegom ciężkie nasze położenie, bo nieprzyjaciel przeszedł przez Dniepr powyżej Kozina — jesteśmy już odcięci od wojsk polskich. Wieczór lipcowy nadchodzi, wiadomości o naszym pieszym szwadronie nie mamy; oddaję dowództwo szwadronu por. Beyzymowi, a sam, stosownie do decyzji rady wojennej, jadę z plutonem ppor. Tarnowskiego do Podgorców próbować połączyć się telefonem z dywizją (a jeżeli się uda, z innemi oddziałami polskimi), i prosić o cofnięcie rozkazu i wstrzymanie dalszego marszu pieszego szwadronu. Zastaję polski oddziałek szykujący się do odwrotu, stosownie do otrzymanego właśnie rozkazu VII-ej dywizji. Rozkaz ten dotyczy i mojego oddziału. Wydany był zaraz po naszym odejściu z Glejwachy, ale w tym strasznym momencie doszedł do nas z wielkiem opóźnieniem. Posyłam dwóch strzelców konnych do Kozina z rozkazem do dowódcy szwadronu, by się cofnął natychmiast do Podgorców. Strzelcy ci nie zastają już szwadronu w Kozinie, gdyż pod naciskiem wielkich sił nieprzyjacielskich cofnął się w górę rzeki, w stronę Kijowa.

Straszna, niezapomniana noc lipcowa; zmartwienie, że oddział mój rozbity na części, niepokój o szwadron pieszy, którego nie mam już nadziei zobaczyć, pytanie, którędy poszedł oddział konny — wszystko razem gnębi mnie moralnie bardziej niż głód, zmęczenie i ciągle obstrzały kierowane



ze wszystkich stron do mojego oddziału. Tło obrazu — zupełnie »Wojna« Grottgera. Cały nieboskłon północny jarzy się olbrzymią łuną nad Kijowem, w której migają nieustannie setki krzyżujących się ognistych węzów szrapneli i granatów; ziemia trzęsie się od wystrzałów armatnich, wybuchów min; atmosfera cała pełna dalekich wrzasków, jęków, komend — rosyjskiego »ura!« — bliskich strzałów karabinowych i gwizdu kul. W ciemności, spotęgowanej przez refleks łuny, nie wiemy, kto do nas strzela, czy wróg, czy nasi, któredy z tego piekła wyjechać. Położenie napozór bez wyjścia!

W przekonaniu, że i tamte oddziały dywizjonu kierować się będą śladem VII-ej dywizji, postanawiamy z ppor. Tarnowskim przerznąć się przebojem w stronę Radomyśla. Przerzneliśmy się, — ale ile to dni trwało, ile razy trzeba było przejechać po piechocie bolszewickiej lub podjeździe (zdziwionym zwykle, skąd wzięliśmy się na ich tyłach) — tego żaden z nas nie mógł zapamiętać. Cały ten czas spało się tyle, ile czasu konie popasały owsem, na pniu jeszcze stojącym, t. j. od czasu do czasu po pół godziny — i jazda dalej! Większe odpoczynki robiliśmy w gąszczach leśnych w południowych godzinach; najszybsze marsze odbywaliśmy nocą, żywiąc się chlebem i kwaśnem mlekiem, utrzymanem w którejkolwiek wsi z dobrej woli lub »poniewoli«, z rewolwerem w garści.

W Radomyślu, nieprzytomni z niewyspania i zmęczenia, witani jesteśmy jak goście z tamtego świata; ja dowiaduję się z radością wielką, że por. Beyzym, kochany kolega, skierował się w ową straszną noc lipcową na Kijów, tam przyłączył się do zbiorowej grupki męznego, dzielnego pułkownika, Olszyny-Wilczyńskiego, i z oddziałem tym walczy w grupie pułkownika Rybaka, kierującej się na Owrucz.

Co przeszły tamte części mojego dywizjonu, nie potrafię w przybliżeniu nawet opisać, skoro swoich przejść tego straszego okresu nie mogę nawet przy pomocy wiernego towarzysza, ppor. Tadeusza Tarnowskiego, dokładnie sobie przypomnieć. Przybyliśmy do Radomyśla, nie straciwszy ani jednego konia, ani jednego strzelca. Myjemy się i kąpiemy pierwszy raz po wielu dniach; koszule, długo niezmieniane, pełne kurzu, potu i... wszów, oddajemy na spalenie stęsknionym i niespokojnym o nas ordynansom, którzy zostali przy sztabie dywizji. Nareszcie czyści, jako tako najedzeni, pierwszy raz bez butów na nogach i bez rewolweru w dłoni kładziemy się na słomie na parę godzin snu. Strzelcy nasi, ich konie, dzielny wałach ppor. Tarnowskiego »Antek«, moja »Królowa« — wszystko śpi razem na sianie i słomie jak zabici.

Obudziwszy się koło 5-ej po południu, dowiadujemy się, że VII dywizja zostanie w Radomyślu co najmniej jeszcze dzień. Bardzo nam się to podoba, bo po tem pierwszym normalnem spaniu jesteśmy połamani i zmęczeni więcej niż przedtem. Zbiera się na deszcz, i to na porządną, robi się ciemno bardzo i mokro.

Próżne marzenia! O wpół do szóstej przed wieczorem wezwani jesteśmy przez sztab »na odprawę«. — O do diabła! Idziemy w ulewę do sztabu ze złem przeczuciem; sprawdziło się ono niestety: cała dywizja wyrusza dwoma kolumnami, dziś, o 9-ej wieczorem. Brygada 13 (z 10-kilometrowej długości taborem dywizji) pod generałem Szubertem jako prawa kolumna, brygada 14, pod generałem Pogorzelskim, jako lewa kolumna; odstęp między kolumnami, idącymi równolegle, około trzech wiorst.

Trzeba widzieć wymarsz takiej większej jednostki bojowej, żeby mieć pojęcie, ile to wozów własnych, rządowych,



podwód zarekwirowanych, wozów sanitarnych i t. d., najrozmaitszych zapasów amunicji artyleryjskiej, karabinowej, środków technicznych i wybuchowych, aparatów telefonicznych i telegraficznych, zapasów żywnościowych, siana i owsa — ile to tego wszystkiego ciągnie się na wojnie za taką dywizją piechoty... Według rozkazów wydanych na odprawie, cała kolumna taborów ma się zebrać już o siódmej wieczorem u zachodniego wylotu miasta Radomyśla, by być gotową do marszu razem z dywizją. Niejednokrotnie zaimponowała mi VII dywizja spokojem, porządkiem, sprawnością w wykonaniu rozkazów dowództwa, ale ten wymarsz z Radomyśla, tych tysięcy wozów i podwód, ciągnących się, jak wyżej wzmiankowałem, na 10 wiorst, przy odwrócie całej armji, a więc bądź co bądź przy pewnej depresji moralnej i nadmiernem natężeniu sił fizycznych, był wspaniały. Furmanki i wozy skarbowe każdego oddziału, a więc tabor sztabu dywizji, tabor sztabu brygady, tabor pułku x, pułku xx, artylerji dywizji i t. d. zgrupowane stoją gotowe; łby końskie dotykają prawie wozu idącego wprzód (na ogonie); oddziały piechoty dla obrony taborów rozdzielone wzdłuż bezmiernej długości kolumny na pojedynczo idących żołnierzy, którzy stoją spokojnie na deszczu: żaden żołnierz nie siada na wóz, bo jest surowy zakaz obciążania transportu i dopuszczenia jakiegokolwiek samowolnej wygody. Wszystko to robi na nas wrażenie najdodatniejsze. Wyjeżdżamy z Radomyśla wieczorem, przy silnym deszczu; na czele kolumny sztab dywizji, na wiorstę przed sztabem mój oddział z ppor. Tańnowskim jako zabezpieczenie. Kierunek marszu naszej dywizji: na Korosteń.

Mamy maszerować całą noc. Do Korostenia około 70 wiorst; mamy to zrobić jednym etapem. Zaledwie dywizja oddaliła się od Radomyśla na kilka wiorst, czerń chłopska

z pierwszej wsi leżącej na zachód od Radomyśla atakuje naszą kolumnę taborów i straż tylną. Atak zdemobilizowanych żołnierzy-chłopów pod wodzą agitatorów bolszewickich zupełnie formalny: linja tyraljerów z karabinami maszynowymi, granatami ręcznymi i t. d. Tylna straż odpiera atak energicznie, a gdy artylerja nasza sypnęła szrapnelami i pociskami zapalającymi, skierowanymi na tę wieś, atak się nie udał, a łuna palącej się długo wsi przyświecała nam pomimo deszczu do północy.

Jedziemy tak całą noc. Morduję moją »Królowę« i siebie, śpiąc na niej, ale jadąc w sennej fantazji inną drogą. Deszcz ustał, — ciepło wilgotne usposabia sennie. — W danej chwili, koło 6-ej rano, krótki odpoczynek »na kawę«; żołnierze na zmianę ze swoich kuchni polowych, oficerowie sztabowi z kuchni sztabowej dostają to śniadanie: surogat kawy (żyto, żołądź, czy też sama cykorja) bez cukru i kawałek chleba, posmarowany powidłami z buraków. Do wszystkiego mogłem się przyzwyczaić, ale do tego śniadania »ersatzowego« — nie mogłem. Szklanka herbaty z »termosu« i kawałek suchego chleba (o, te powidła! — psiakrew!) ocuciły mnie i wzmocniły. Po krótkim odpoczynku ruszamy dalej. Słońce się podnosi, przygrzewa, nadchodzi moment najgorszej śpiączki. Mija on prędko, bo czujemy w powietrzu bitwę. Ciągłe przybywający łącznikowi z meldunkami od ppor. Tarnowskiego i z lewej strony, od 14-ej brygady generała Pogorzelskiego; huk strzałów armatnich i daleki trajkot karabinów maszynowych podniecają nas wszystkich. Cała kolumna z zaspanej robi się »czuj duch!«, idzie elastycznym krokiem i bacznie; konie odczuwają odrazu usposobienie jeźdźców, idą także z głową do góry, strzygąc uszami.

Z rozkazu generała Szuberta jestem przy nim, przy sztabie dywizji, i widzę bitwę rozwijającą się coraz bardziej,



z coraz silniejszym przeciwnikiem. Zaczyna się bitwa pod Gorbylewem — przez uczestników nazwana »bitwą napoleońską«. Nazwę tę otrzymała dlatego, bo dystanse między dwiema walczącymi armjami były, jak na dzisiejsze czasy, tak bliskie, że stojąc ze sztabem dywizji na wzgórzu, stanowiącym środek naszych pozycji, widziało się wszystko jak na dłoni; nawet artylerję przeciwnika, stojącą zwykle gdzieś daleko i zakrytą, widzieliśmy podczas tej bitwy gołym okiem. Nasza VII dywizja piechoty miała przeciwko sobie także VII-mą bolszewicką dywizję piechoty, i IV dywizję jazdy Budiennego, których zamiarem było zatrzymać nas w odwrocie i — mając dwukrotnie większe siły — zniszczyć.

Manewrował nieprzyjaciel źle, wpakował się w środek między nasze dwie brygady (widocznie chciał je pozbawić łączności i każdą osobno pobić). Skutek był ten, że kręcąc się na tym kilkowieństwowym odstępnie między naszymi dwiema kolumnami, był atakowany to na swoim prawem skrzydle, przez generała Pogorzelskiego, to na lewym, przez generała Szuberta; był to rodzaj *foot-ball'u* albo — jak obrazowo podczas bitwy określali koledzy sztabowi: — »teraz dostał od 14-ej brygady w pysk... zaraz dostanie od naszej 13-ej w mordę«. Niemniej, mając znaczną przewagę sił, zwłaszcza artylerji i jazdy atakował nas nieprzyjaciel bez ustanku. Historyczne wzgórze, na którem wolnym stępem zmieniał ciągle miejsce sztab dywizji, zasypywane było ustawicznie pociskami armatnimi, a z wybuchających nad nami obłoczków szrapneli sypały się kule szrapnelowe w obfitości. Kanonada ta zwrócona była zarówno na nasz sztab (widny dla nich tak samo, jak ich dla nas), jak i przeciw naszej poznańskiej baterji, stojącej na skłonie tego samego wzgórza. Pyszna była w ogniu ta baterja (1-sza baterja 7-go Daku); oficerowie artylerji: pułkownik Majewski, ppor. Witold Makowski i ppor.

Józef Bogdański, wzbudzali w nas wszystkich, świadkach tej bitwy, najgłębsze uznanie. Wzgórze »Napoleońskie« podziurawione wkrótce lejami od granatów jak mapa księżycy. Kasztan stojącego obok mnie kolegi sika krwią z zadu prosto w plecy swojego jeźdźcy, na łokieć prawie wysoko: kula szrapnelowa spadła mu z góry na zad; niewiele sobie z tego robił, skakał tylko zdenerwowany przy każdym następnym wybuchu. Panorama całej tej bitwy niesłychanie ciekawa; gdyby ktoś miał czas i ochotę zdejmować film fotograficzny ze sztabu naszej VII-ej dywizji na tem wzgórzu, z całym ruchem adjutantów, łącznikowych, spokojną postacią dowódcy dywizji, stanowiącego środek tego ruchu, — wyszedłby obraz zupełnie w guście Vernet'a, Gérarda, lub naszego Suchodolskiego, które to obrazy uważałem dotąd za zmanierowane, mając za nieprawdopodobne, żeby tak mogło być w rzeczywistości.

W pewnej chwili jadę z ppor. Tarnowskim ku naszemu oddziałowi, stojącemu na obserwacji naszego prawego skrzydła. Tuż obok nas padł granat, obsypuje nas ziemią, dymem i świstem żelastwa. Oglądamy się wzajemnie: nic! — ale pół brązowego płaszcza kawaleryjskiego ppor. Tarnowskiego odcięte jak nożycami! Stanowczo mam szczęście w ogniu, i ci, co są ze mną. Wybuch ten granatu zdenerwował nawet mądrą i odważną moją »Królowę« — zaś »Antek« ppor. Tarnowskiego (zupełnie w guście mojej »Zorzy« co do temperamentu i wyglądu) skakał dłuższy czas, zanim się uspokoił. Napozór wydaje się to nieprawdopodobnem, żeby odłam granatu mógł siedzącemu na koniu oficerowi odciąć połowę płaszcza bez zranienia jego lub konia, — a jednak opisuję fakt autentyczny.

Wróciwszy na wzgórze do sztabu, patrzę z zajęciem jak nasza bateria poznańska lokuje granat po granacie we



wrażą artylerję; z lornetą polową obserwacja zupełnie wyraźna. Wtem zdaleka na horyzoncie widać wyjeżdżającą z za dalekiego lasku całą masę jazdy nieprzyjacielskiej. »Jazda Budiennego!« słyhać wykrzyki naokoło, a artylerja nasza bierze jako obiekt tę o 3.000 do 3.500 metrów oddaloną kawalerję. Moment psychologiczny dzisiejszej bitwy nadchodzi. Najwidoczniej nie mogąc inaczej dopiąć swojego celu, rzuca nieprzyjaciel tę jazdę na naszą środkową pozycję, by złamać linję naszą i wpaść na olbrzymie nasze tabory długości 10 kilometrów, których olbrzymi ogon zaczyna się zaraz za »napoleońskim« wzgórzem. Jazda bolszewicka posuwa się kłusem, ale towarzyszą jej nieodstępnie, krok w krok, pękające nasze granaty na ziemi, a obłoczki szrapneli w górze. Nasze karabiny maszynowe rozpoczynają żniwo, — tną pokotem żyto na pniu, w które wpakowała się cała masa dzikich bestyj mongolskich. Razem z żytem tną i pokosy tego paskudztwa; żal tylko biednych, niewinnych koni. Pomimo szalonych strat, jazda nieprzyjacielska bierze szybsze tempo i jedzie na naszą poznańską baterję, na nasze wzgórze... jeżeli dopadnie baterji i tuż obok zaczynającej się kolumny taborów — może być źle!

W tym momencie spostrzega generał Szubert mijający naszą kolumnę taborową oddział 17-ego pułku ułanów poznańskich (żółtych) — nie należących do naszej dywizji, — który tu się przypadkiem w trakcie bitwy zjawił. Była to reszta niedobitków tego ślicznego pułku, który w ciągu dwóch czy czterech ostatnich dni stracił w bitwie nad Teterowem, między Korostyszewem a Radomyślem, prawie wszystkich oficerów (rannych lub zabitych) i 80<sup>0</sup>/<sub>100</sub> żołnierzy. Z tego pułku zostało jakoby te 60 szabel, jadących koło naszego wzgórza. Jakkolwiek nie należący do dywizji, na kategoryczny rozkaz generała Szuberta idzie ten oddział do ataku na jazdę

bolszewicką, ale nie wpływa to bynajmniej na powstrzymanie jazdy Budiennego, — jadą w kierunku na dzielną poznańską baterję, która niewzruszenie wali już do nich szrapnelami, nastawionemi na kartacze. Widzę niektórych naszych piechurów z tyraljery na wzgórzu, opuszczających chyłkiem pozycję... W tym rzeczywiście krytycznym momencie kilku młodych oficerów ze sztabu VII-ej dywizji, z por. Latawcem na czele, zlatuje z góry do taborów z okrzykiem: »Kto z karabinem, za mną chłopcy, na to wzgórze!« Około 180 »taborytów« skoczyło piorunem za dzielnymi oficerami na wzgórze, plunęli bliskim już baszkirom raz, drugi i piąty w sam pysk, i — *suum cuique* — rozstrzygnęli zwycięstwo! Po tej skutecznej interwencji świeżego oddziału piechoty mieli już budiennowcy dość ataku i... w nogi! Dopiero z całym spokojem zajądłym kropienie w nich. I dzielna artylerja poznańska, i karabiny maszynowe i taborcy — wszystko wali w uciekającą jazdę nieprzyjacielską, widną jako cel na tym zupełnie otwartym terenie względnie bardzo długi.

Godzina 2-ga popołudniu: nieprzyjaciel na całej linii w odwrocie ku północnemu wschodowi; dowiadujemy się, że nasza lewa kolumna generała Pogorzelskiego zabrała 100 wozów taborów bolszewickich i wzięła do niewoli, wraz ze sztabem administracyjnym Budiennego, 800 jeńców. Śliczna bitwa »napoleońska« pod Gorbylewem, zakończona świetnem zwycięstwem, droga do Korostenia wolna, cała VII dywizja posuwa się dalej bez przeszkody. Po bitwie pod Gorbylewem, w trakcie posuwania się naszej VII-ej dywizji w kierunku na Korosteń, Olewsk, Sarny, następuje cały szereg bitew i utarczek, w których mój 2-gi dywizjon 2-go pułku strzelców konnych odznacza się zawsze, ponosi jednak poważne straty w 17 zabitych strzelcach konnych i traci kilka koni. Dnia 25-go lipca, stojąc we wsi Kołodji, otrzymuję z kadry z Piń-



czowa uzupełnienie w sile 108 koni i 106 żołnierzy z bronią i rynsztunkiem, które wraz z przybyłym z tym oddziałem por. Łomnickim stawia mój dywizjon na pewniejszym gruncie. Dotychczasowe bowiem uzupełnienia konnego oddziału oddziałami pieszymi powodowały tylko kłopot, bez żadnego pożytku dla dywizjonu, gdyż spieszonych strzelców przyłączano z rozkazu dywizji do kompanji sztabowej piechoty.

Mamy więc nareszcie dwa pełne szwadrony, po 100 koni każdy, *plus* oddział karabinów maszynowych (2 »maszynki« 22 konie). Szwadronem Nr. 3 będzie dowodzić do końca kampanji por. Łomnicki, szwadronem Nr. 4 por. Beyzym. Co-famy się ku zachodowi, nad Stochód, dywizjon mój idzie jako tylna straż 13-ej brygady — przez Gorodek, Mały-Obryz do Werchów. Pod wsią Gorodkiem znowu ciężki moment, bo jedyne przejście dla 13-ej brygady to długa na kilka kilometrów grobla na bagnistej łące, wyłożona okrągłakami, z których znacznej części brakuje. Pośpieszać więc nie można, bo konie połamalyby nogi. Na tyłach naszych zjawia się jazda Budiennego z artylerją i obsypuje brygadę i mój dywizjon ogniem karabinowym i armatnim. Moment bardzo odpowiedni do wywołania paniki, bo przy końcu grobli widny zdaleka las: byle się do niego dostać, to ocalenie pewne; najspokojniej maszeruje cała brygada z artylerją, taborami, tą fatalną groblą ku lasowi, podczas kiedy mój dywizjon odgryza się ogniem karabinowym na samym końcu kolumny. Marsz ten, w którym 13. brygada poniosła pewne straty, ale w stosunku do przebytego niebezpieczeństwa nieznaczne, kończy się po kilku godzinach; cała 13. brygada zagłębia się w las, na grobli zostaje już tylko mój dywizjon. Idą dzielne chłopcy najspokojniej; za dywizjonem posuwa się nieopatrznie tą samą groblą bolszewicka jazda. Zaledwie dywizjon wyjechał z fatalnej

grobli, na lesiste wzgórze, wachmistrz Kulczycki ustawia swoje »maszynki«, z których sztrychuje groblę i jazdę bolszewicką jak kosą; — dywizjon mój staje w szyku pieszym w tyraljery i ostatecznie rżęsim ogniem z doskonałej pozycji, z lesistego wzgórza dominującego nad łąką i groblą, spędza hołotę bolszewicką definitywnie. Brygada cała i mój dywizjon maszerują dalej...

Wspominając te niedawne wypadki i mając dokładnie w pamięci te chwile, kiedy rzeczywiście padały kule koło nas, jak w pierwszych sekundach letniej nawałnicy gradowej pierwsze rzadkie tu i tam kulki lodu, — rozumiem, dlaczego statystyka »wielkiej wojny« wyrachowała, że potrzeba 10.000 ładunków karabinowych na zranienie czy zabicie jednego żołnierza. Na froncie zachodnim żołnierz był prawie zawsze w okopach; jeżeli szedł odkryty do szturm, to przeciwnik był już zwykle ogniem huraganowym zgnębiony dostatecznie; wojna polska wprowadzie okopów prawie nie zaznała, ale zato przeciwnik nasz strzelał przeważnie »pod psem«. Straszna to broń, karabin maszynowy, ale strzelać celnie z tej »maszynki« nie tak łatwo; trzeba się położyć, co najmniej przykłęknąć (o ile pozycja nie przygotowana zawczasu) i spokojnie, z nastawionym na odpowiedni dystans celownikiem, mierzyć; gorączkowe strzelanie, aby prędeż, praktykowane przez bolszewików, powodowało najczęściej, że kule albo ryły ziemię przed nami, albo szły górą nad nami. Straszną bronią po staremu jest dobrze użyta szabla. Kula przejdzie na wylot przez żołnierza lub konia, i ostatecznie bardzo często nie spowoduje śmierci — wspominałem o dzielnym moim ułanie wojewódzkim Daabie, przestrzelonym wpoprzek piersi na wylot; ukochany koń ppor. Tadeusza Tarnowskiego, »Antek«, dostał jedną kulę w brzuch, drugą pod lewem okiem, i zdrów jak ryba, zezuje tylko trochę. Zato



cięcia szablą są często bez ratunku śmiertelne. Widziałem odrąbane części czaszki, jakby głowa zabitego bolszewika była z masła, widziałem kiedyś, po starciu się moich strzelców konnych z baszkircami, siedzącego nad rowem, białego jak papier krasnoarmiejca, patrzącego się na dwa własne, tryskające krwią miarowo, w takt zamierającego już pulsu, i za każdym wytryskiem krwi drgające kikuty bez obu dłoni; jeden to z moich strzelców konnych, mijając baszkirca trzymającego obu rękami lejce, jak ciął na odlew po łapach, odciął mu obie jak brzytwą. Widziałem i straszne cięcia rosyjskich jeźdźców — wraz z hełmem przeciętą głowę naszego żołnierza. Na psychikę żołnierza zawsze więcej będzie oddziaływać świszcząca na głowę szabla, niż przybywająca gdzieś z daleka, niewidziana kula.

Dobry koń pod sobą a ostra szabla w dłoni nie straci nigdy — pomimo wszelkich wynalazków ułatwiających ludzkości wzajemne mordowanie się — swojego znaczenia. Od najdawniejszych czasów łączy też kawalerzystę z jego koniem bojowym stała i rzetelna przyjaźń, może nigdzie nie objawiająca się tak tradycyjnie, jak w jeździe polskiej. Jeszcze służąc w jeździe austriackiej, za pokojowych czasów, słyszałem od austriackich generałów jazdy pod adresem galicyjskich ułanów najwyższe pochwały, że o wiele więcej dbają o swoje konie niż Węgrzy, Czesi lub Niemcy. Przez trzy lata służby na różnych frontach polskich przekonałem się, o ile ta sympatja wzrasta w czasie wojny. W czasie letnich naszych kampanij spaliśmy (o ileśmy wogóle spali) w razie pogody na stogu siana lub słomy, w razie deszczu w stodółach, obserwowałem więc tyle razy obchodzenie się naszych ułanów z końmi przy rannem ich czyszczeniu, karmieniu i pojeniu. Stałe rozmowy, nibyto wymyślania, gdy połaskotana pod brzuszkiem wiechciem słomy klacz zrobiła ruch nogą jakby do

wierzgnięcia: — »Ach! ty mało, to za to, że cię czyszczę, fąfry stroisz«, — w ślad za tem poklepanie i flirty wzajemne, bo i konie przywiązały się do swoich jeźdźców: każdy znał głos swojego ułana, każdy biegł za swoim, jak pies za panem. Dostałem kiedyś rozkaz wybrania dobrego konia z dywizjonu mojego dla generała Szuberta. Wybrałem, ale gdy jeżdżący na nim mój strzelec konny przyszedł z płaczem (notabene wcale nie żadna baba, ale dzielny żołnierz, z »Krzyżem Walecznych«), prosząc gorąco, by go nie rozdzielać z towarzyszem, nie miałem serca przeprowadzić tego rozvodu.

Trafiały się też na tem tle miłości do konia bardzo »romantyczne« zdarzenia. Kiedyś, nad Stochodem, podczas naszego odwrotu wzięliśmy cały pluton bolszewików z końmi do niewoli. Między końmi temi poznałem por. Beyzym swoją własną klacz wierzchową, z własnego majątku Onyszkowiec pod Starokonstantynowem, — klacz »Basię«, zrabowaną z całym majątkiem podczas pogromu w r. 1917 przez chłopstwo i żołdaków. Niedowierzając oczom, woła na nią: »Baśka!« Wymizowana, parszywa (jak prawie wszystkie konie bolszewickie) »Basia« leci, rżąc, klusem do swojego pana. Ma się rozumieć, że wkrótce przyszła do siebie i wypiękniała bardzo.

Nad Styrem czy nad Horyniem w tym mniej więcej czasie zdobyliśmy znowu kilka koni, między niemi był doskonały kasztan z wypaloną na szyi cechą: »3 U«, to znaczy, że to polski koń z 3-go pułku ułanów, zdobyty swojego czasu przez bolszewików a odebrany teraz przez moich. Właśnie brakowało konia jednemu z moich żołnierzy, bo stracił go od kuli w bitwie. Uszczęśliwiony, że dostaje dobrego i silnego, cieszy się nim bardzo krótko, bo należąc do wysłanego przezemnie podjazdu, który pod naporem dużych sił musiał się ratować jedyną drogą przez bagnistą łąkę, musiał zostać zatopionego w bagnie po brzuch kasztana, który ugrzązł



i wydostać się nie mógł. Biedny chłopiec, zabrany przez jednego z kolegów, który mu w ten sposób życie uratował, był po stracie tego doskonałego konia niepocieszony. Minęło kilka tygodni. Gdzieś pod Białopolem czy Raciborowicami w Hrubieszowskiem bierze mój dywizjon kilkunastu bolszewików do niewoli, i znowu ten kasztan (który mógłby także swoje wspomnienia napisać) wpada w nasze ręce, i dostaje się z powrotem uszczęśliwionemu przyjacielowi. Zastanowiwszy się, ile w tym czasie było na tym bezmiernie długim froncie naszych i bolszewickich koni, przyznać trzeba rzeczywiście, że te dwa wypadki z odzyskanemi końmi wydają się wręcz nieprawdopodobne.

---

## VI

### KARTA SIĘ ODWRACA

Cały miesiąc lipiec 1920 schodzi III-ej armji na odwrocie z pod Kijowa; gdzie większa rzeka, mamy stanąć w linii obronnej i nie cofać się dalej; — linja Rosi opuszczona dla Teterewa, z nad Teterewa nad Słucz, Stochód, Horyń i t. d.; na każdej z tych linii rzecznych umęczone pośpiesznemi marszami wojsko kopie rowy strzeleckie i zakłada druty, nato, aby następnego dnia cofać się dalej, gdyż północny front polski wygina się szybkim tempem ku zachodowi, co zmusza dowództwo naszej III-ej armji do cofania się również, by wyrównać tę 900 kilometrów długą linję frontu. Dywizjon mój zabezpiecza tyły 13-ej brygady piechoty i jest w stałym kontakcie z nieprzyjacielem, który pomimo wyższości moralnej i strategicznej, jaką ma nacierający nad broniącym się, mimo że ciągle atakuje — rozbić nie może. Ulubionym systemem jazdy Budiennego podczas tej kampanji było wciąganie oddziałów polskiej jazdy w zasadzki, udawanie odwrotu w kierunku jakiego lasu lub wsi, obsadzonych gęsto karabinami maszynowymi na »taczankach«, i zasypywania morderczym ogniem bohaterskich naszych kawalerzystów. »Taczankami« nazywano z rosyjska lekkie jednokonne wózki-linijki, na których umieszczony na ruchomej osi karabin maszynowy mógł być przez siedzącego żołnierza kierowany naprzód i wtył. »Taczanki« nawet przy rzeczywistym odwrocie jazdy Budiennego (bo niewszystkie zasadzki kończyły się dla wroga pomyślnie) sypały



bez ustanku gradem kul w stronę ścigającej naszej jazdy. Moc kul biła w ziemię lub »Panu Bogu w okno«, bo przy szybkim ruchu uciekającej »taczanki« celowanie było trudne, — niemniej wobec ogromnej ilości tych wózków (o ile pamiętam, każda brygada Budiennego miała 20 »taczanek«) i nieustającego ognia jazda nasza poniosła szalone straty. Wspomniałem już o 17-y, poznańskim pułku ułanów, którego część, około 60 szabel, widziałem podczas bitwy pod Gorbylewem. W tym samym mniej więcej stopniu ucierpiały i inne pułki: hekatombę dzielnych oficerów polskich pokryły front kijowski od Wereszczycy koło Lwowa aż do Dźwiny. Bohaterski 14. pułk ułanów, »jazłowiecki«, który stracił w zabitych i rannych oficerach 90% (na 34 oficerów stracił 31!!), w tym samym stosunku mniej więcej 1. pułk ułanów, »krechowiecki«, stracił 27 oficerów; pułk 9. ułanów, pułk 2. ułanów, »giochowski«, pułk 3. ułanów, »dzieci Warszawy«, pułk 12. ułanów — wszystkie pułki jazdy polskiej, ułanów i strzelców konnych, przy końcu odwrotu z pod Kijowa pozbawione były oficerów. Jednym z moich szwadronów dowodził podporucznik, drugim podchorąży!

Pewnego dnia w lipcu 1920 stoimy nad Stochodem, nad rzeką tą mamy zająć pozycję i nieprzyjaciela zatrzymać. Dywizjon mój stoi we wsi Policy, łącząc 13-tą brygadę naszej piechoty z grupą generała Bałachowicza. Zaraz na drugi dzień, wobec przerwania linii Stochodu przez większe siły bolszewickie, mamy z kilkoma kompanjami piechoty utworzyć grupę wypadową, która pod dowództwem majora Wir-Konasa ma zadanie wyprzeć nieprzyjaciela z powrotem za linię Stochodu. Udamę się z adjutantem, podchor. Barylskim, do kwatery majora Wir-Konasa na »odprawę«. W biednej, brudnej chałupie, na barłogu ze słomy, leży młody major piechoty, robiący na mnie wrażenie, że łaďa moment życie skończy —

taki mizerny i wycieńczony, — nie poddaje się jednak. Ponieważ nietylko iść, ale ruszyć się nie może, powiada, że wózkiem chłopskim jeździć będzie z grupą i dowodzić. Otrzymawszy rozkazy, pogadawszy z kolegami od piechoty i artylerji, wracam do moich dwóch szwadronów i jadę do wsi Huta Borowiecka, gdzie mamy się spotkać z piechotą i artylerją.

Oczekując przybycia grupy, rozmawiamy we trzech: por. Beyzym, ppor. Mysyrowicz, i ja; w pewnej chwili częstuję kolegów papierosami (wielka rzadkość i specjał na froncie!). Por. Beyzym zapala zapalną i częstuje mnie ogniem, zapala sam i chce zapalną rzucić, nie dając zapalić trzeciemu, t. j. ppor. Mysyrowiczowi, ten jednak żartobliwie wyrzywa mu palącą się zapalną i, kpiąc z przesądów, zapala papierosa. Jak zaraz opowiem, w niespełna dwie godziny zostaje ciężko ranionym i omal nie ginie. Wypadek ten umocnił w dywizjonie przekonanie, że źle jest, jeśli trzech korzysta z jednej zapalnej. Oczekując przybycia reszty oddziałów grupy, oglądamy konie obu szwadronów, konstatujemy stan rynsztunku, broni i t. d. Z przyjemnością stwierdzam porządek, zapobiegliwość plutonowych, doskonały stan moralny i pyszny humor moich strzelców konnych, pomimo że z pierwotnych ułanów wojewódzkich został niewielki procent, a większość to żołnierze z poboru. Niemniej nigdy dotąd nie było skarg, nie było pretensyj o rabunek lub jakąkolwiek krzywdę, bo pierwotny charakter oddziału zachowany został dzięki podoficerom i części dawnych, inteligentnych żołnierzy. Przychodzi stary chłopina z małą dziewczynką wiejską ze skargą do mnie, że dziewczynkę tę spotkali dwaj moi strzelcy, zabrali jej dzbanek czarnych jagód i oprócz dzbanka z jagodami zabrali jej kawałek chleba (chleb na przednowku był w tym biednym, ograbionym ze wszystkiego kraju na wagę



złota). — Szwadrony zwołano na »zbiórkę«, zaczyna się oglądanie śledcze fizjognomij żołnierskich, winowajcy, dzięki py-skom czarnym od jagód, wykrzyci natychmiast, próżny dzba-nek (gdzieś w krzaku znaleziony) zwrócony dziewczynce. Zamiast chleba, zjedzonego przez napasłników, dostaje uszczę-śliwiona paczkę amerykańskich sucharów, a rabusie oddani kolegom do ukarania. Winowajcy dostają z wyroku kolegów po 25 razów rapciami na gołą skórę, z zapowiedzią, że je-żeli jeszcze kiedyś — coś... to... będzie gorzej. Cytuję ten epizodzik dla scharakteryzowania, jaki był duch u żołnierza polskiego w tych strasznych dniach odwrotu, pełnych zgry-zoty, poniżenia wobec ludności polskiej, trudów i głodu.

Grupa zebrana. Major Wir-Konas zemdlął, wyjechawszy na trzęsącej furze z Policy, i niemal umierający odwieziony został do pociągu sanitarnego (z radością spotkałem kiedyś w Warszawie, już po wojnie, kochanego majora wyleczonego, zdrowego). Grupą dowodzi w jego zastępstwie któryś z wyż-szych oficerów piechoty i grupa przystępuje do akcji. Z akcji tej zacytuję jeden epizod ku chwale żołnierza polskiego.

Część grupy, a mianowicie mój 4. szwadron pod ppor. Mysyrowiczem i dwie kompanje piechoty, idą na Budki Cze-rewiszcze, podczas kiedy reszta grupy kieruje się marszem obchodowym ku rzece Stochodowi. Pierwszy oddział trafia na znaczne siły nieprzyjacielskie i jest silnie atakowany; na jednym skrzydle linja naszej piechoty, bez oficera, zaczyna się chwiać; widzi to ppor. Mysyrowicz zsiada z konia i prowadzi energicznie piechotę do kontrataku, będąc jednak już o kilka-dziesiąt kroków od nieprzyjaciela, pada ciężko ranny, a ośmie-lony nieprzyjaciel leci z wyciem na naszą piechotę. Moment kry-tyczny bardzo, ppor. Mysyrowicz trzyma własny rewolwer przy głowie, by nie wpaść żywcem w ręce tych potwornych opraw-ców, — w tym momencie kapral od moich karabinów maszyno-

wych, H. Sokołowski, podjeżdża galopem z dwukółką, zdejmując z niej piorunem »maszynkę« przy pomocy również dzielnej obsługi, sypie gradem kul na bliskiego o kilkadziesiąt kroków wroga, odpędza go, a podporucznika Mysyrowicza, wyrwawszy mu rewolwer z ręki, ładuje na dwukółkę i odwozi za linię strzałów.

Dowództwo 4-go szwadronu obejmuje podchor. Choynowski Jan, najstarszy rangą w szwadronie, który troszcząc się o życie podporucznika Mysyrowicza, posyła starszego strzelca Lubowidzkiego do Policy po wóz sanitarny i lekarza. Strzelec Lubowidzki z dwoma dodanymi mu jeźdźcami jedzie przebytą rano drogą przez Hutę Borowiecką, gdzie się nieprzyjaciela za naszymi plecami wcale nie spodziewano, i we wsi tej dostaje salwę wprost w twarz od piechoty bolszewickiej. Jeden z jego towarzyszy spada zabity z konia, drugi wali się z zastrzelonym koniem. Podczas kiedy Lubowidzkiemu chwyta konia za uzdę bolszewik i chce go zatrzymać, dzielny chłopiec wali szablą na odlew po łapie, która, odcięta zupełnie a ściśnięta kurczowo, wisi parę sekund przy pysku jego konia (widzi to przywalony zabitym koniem — wzięty do niewoli, ale wkrótce przez nas odbity — kolega, strzelec konny). Wyrwawszy się z tej opresji i przejechawszy Hutę Borowiecką, przychodzi ten doskonały żołnierz do przekonania, że wobec otoczenia walczącego w lesie własnego oddziału przez nieprzyjaciela i odejścia drogi do odwrotu ważniejszą sprawą, niż sanitarka i lekarz, jest zawiadomienie polskiego oddziału o grożącym mu od tyłu niebezpieczeństwie. Nie namyśla się Lubowidzki, a nie mając (z powodu bagien) innej drogi, puszcza się co koń wyskoczy z powrotem do oddziału, tą samą drogą, przez wieś, w której wytrzymuje szczęśliwie kilka obstrzałów, — dopada do podchorążego Choynowskiego



i o groźnej sytuacji melduje. Dowodzący grupą oficer piechoty wraz z podchor. Choynowskim wyprowadzają cały oddział bocznymi drogami, przebijają się przez linię nieprzyjacielską, biorą jeńców, odbijają kilku własnych żołnierzy wziętych do niewoli, między nimi i mojego strzelca konnego, który konia stracił, łączą się z resztą grupy i wypierają nieprzyjaciela z powrotem za rzekę Stochód. Wszyscy wymienieni, zaczynając od podporucznika Mysyrowicza, otrzymali krzyże *Virtuti militari* lub »Krzyże Walecznych«.

Pomimo odparcia nieprzyjaciela na całym odcinku, cofamy się na rozkaz głównego dowództwa dalej na zachód, na linię Bugu. Maszerując w kierunku na Włodawę w porze nocnej, widzimy zdaleka słupy ognia, ciągłe wybuchy min, od których ziemia się nam pod nogami trzęsie: to mosty kolejowe i budynki stacyjne w Kowlu wysadza nasza inżynierja wojskowa w powietrze... Przechodzimy pod Włodawą na lewy brzeg Bugu, ostatniej naszej linii obronnej; jeżeli tę opuścimy, to ostateczna zagłada nastąpi; zostałaby nam tylko linja Wisły i ten skrawek Polski po lewym jej brzegu. Czujemy też instynktownie, że tu się kampanja rozstrzygnąć musi. Maszerując z pod Kijowa wśród przeważnie niechętnie usposobionej do nas ludności rusińskiej, cieszymy się zgóry, że teraz, na terenie dawnego Królestwa Polskiego, będziemy wśród swoich, że witani będziemy życzliwie, że lud wiejski będzie nam pomagał... Spotyka nas na każdym kroku zawód, bo jeżeli nie wyrażna niechęć, to zupełna obojętność przebija we wszystkich stosunkach z ludnością »polską« w Lubelskiem. Dwory puste i ograbione ze wszystkiego, inwentarze rozebrane, zboże, częściowo już skoszone, także się gdzieś podziało: fornale dworscy, parobcy i chłopci zabrali co się dało, bo poco ma się marnować to »dobro«, kiedy i tak bolszewicy tu wnet przyjdą. Widoczne oczekiwanie upragnio-

nych gości, którzy te rabunki oficjalnie usankcjonują; od poszkodowanych ziemian słyszy się od czasu do czasu opowieści niewiarogodne. Były wypadki, że nie pozwalano właścicielowi wyjechać własnym powozem i końmi. Maszerujemy z Włodawy przez Świerże do Chełma. Śliczna rezydencja w Świerżach jest w takim stanie, że sztab dywizji nie zastaje w tym dużym pałacu ani jednego pokoju, zdatnego na żołnierski nocleg: połamane meble obdarte z pokrycia, kupy papierów, podartych książek całe stosy, — a przecie bolszewików wcale tu jeszcze nie było! Maszerujemy na Dorohusk, Uhrusk, ku Chełmowi; codziennie bitwy zaciekle z nieprzyjacielem, idącym nam na piętach. Podczas walki o most na Bugu pod Dorohuskim ponosi 13. brygada piechoty ogromne straty, ale literalnie stosy trupa nieprzyjacielskiego zawaliły pomost i nieprzyjaciel został odparty. W bitwie tej padło kilkunastu oficerów piechoty naszej, zabitych i rannych.

Idziemy na Chełm (sztab VII-ej dywizji i 13. brygada) i na Sawin (14. brygada); szwadrony moje chwilowo rozdzielone przy wymienionych brygadach.

Przybywamy do Chełma!

Znałem to miasto, mieszkając długo w lubelskim, znałem jako »Chołm« stolicę »Chołmszczyzny«, gdzie rozmaite kanaje rosyjskie popełniały cały stek łajdactw i zbrodni; przesuwam mi się w myśli cały szereg postaci, jedna podlejsza od drugiej: przewielebny Eulogjusz, nasz przyjaciel Bobryński gubernator Tchorżewskij, gubernator bar. Mienkin, Sengalewicz (lubelski Apuchtin), pułkownik żandarmski Arcybaszew, dyrektor więzienia lubelskiego Gorskij, aż do dozorca więziennego o wdzięcznem nazwisku Mokrotowarowa. Siedząc kilka miesięcy w więzieniu w r. 1906, miałem przyjemność poznać tych panów osobiście.

Tego niedawno jeszcze »Chołma«, w którym nie wolno



było mówić po polsku, ma obecnie bronić od dziczy bolszewickiej — polskie wojsko! — Zaiste, ile razy będzie można w historii polskiej powtórzyć za księdzem Starowolskim: *Deus mirabilis — fortuna variabilis!*

W Chełmie (już nie »Chołmie«) inteligencja polska, bardzo licznie reprezentowana, swoim gorącym poczuciem patriotycznym, radością z przybycia ślicznej i mężnej VII-ej dywizji usuwa potrochu przykre wrażenia, jakie zrobiło na nas usposobienie »ludu«. Pomimo grozy położenia, mimo zastraszających wieści, że cała prawie Polska zalana już tą śmierzdzącą falą, — mimo deprymujących zapewnień od wojskowej misji francuskiej w Chełmie, że *cette pauvre Pologne est foutue!* — nie tracimy ani na chwilę wiary. Dnie i noce idą gorące, cała najbliższa okolica Chełma grzmi od strzałów armatnich i karabinowych. Pod samem miastem mój 3-ci szwadron pod komendą por. Łomnickiego rozbija koło folwarku Krzywiczki cały pułk Kozaków, który pomimo czterokrotnej liczebnej przewagi rozlatuje się w popłochu na wszystkie strony. W mieście nastrój trwożny, który staramy się wszelkimi siłami uspokoić. — Pewnego dnia w tym okresie najgorszym rozlega się gwałtowny tętent koni i turkot wozów: to żandarmerja miejscowa ucieka w panice w stronę Lublina, jadąc główną ulicą w samo południe; — źle się wybrała, bo generał Szubert, dowódca VII-ej dywizji, zatrzymał ją osobiście i oddał pod sąd.

W tym czasie, około połowy sierpnia, jestem wysłany z obydwojoma moimi szwadronami, które i kilku doskonałymi oficerami wzmocnione zostały (por. Łomnicki, por. Hochtaubel i podchor. Izdebski), do Białopola, celem oczyszczenia z bolszewickiego plugastwa całej okolicy nadbużańskiej, od Horodła, Dubienki, do Matezy, i od Stepankowic do Białopola wzdłuż szosy z Chełma do Hrubieszowa. Cały ten dwu-

tygodniowy przełomowy okres jest jednym pasmem rozmaitych niespodzianek, zarówno dla nas, jak i dla nieprzyjaciela: uganianie się wzajemne, jakby w jakiejś okropnej »ciuciu-babce« dzień i noc czuwać musimy naokoło, niewiadomo, skąd wróg napaść może; również i my staramy się napadać, skąd się nas nie spodziewają — i możemy sobie oddać sprawiedliwość, żeśmy w tem rzemiośle okazali się lepszymi majstrami, bo pomimo tylu bitew i utarczek (pod Raciborowicami, Maziarnią, Strzelcami, Cegielnią, Mateczą, Horodłem, Dubienką i t. d.), w których narznęliśmy sporo tej dziczy, nie straciłem prócz kilku rannych ani jednego żołnierza, ani jednego konia — zawsze zgodnie z legendą! Wieści nadchodzą od Warszawy radosne; usposobienie w całej dywizji nadzwyczajne. Generał Szubert dostaje z Warszawy krzyż oficerski *Virtuti militari*.

Niedaleko Raciborowie jest ogromny las ordynacji zamajskiej: »Maziarnia nowa«, liściasty, mocno zwarty i gęsto leszczyną i różnemi krzakami podszyty. W lesie tym, w samym środku, znajduje się zameczek myśliwski i kilka domków administracji i służby leśnej. W czasie tych zmagających się z jazdą Budienego, otrzymałem rozkaz zająć las »Maziarnię« i rozpędzić zarówno gromadzących się tam rozbitków bolszewickich, jak i ofenzywnie występujące oddziały rosyjskiej jazdy. Polowanie to trwało parę dni i było bardzo zajmujące. Padło tam »zwierzyny« sporo. Jednego z tych dni, jadąc przez ten las, słyszałem tyle jęków, widziałem tylu czołgających się pół-nieboszczyków, którym nic pomóc nie mogłem, że pomimo wielu okropności, jakie oglądałem, jeszcze mnie zgroza przejmuje. Wezwany do Chełma do sztabu dywizji, jadę któregoś z tych dni z adjutantem wiernym i zawsze wesołym, podchor. Stanisławem Barylskim, przez las »Maziarnię« samoczwart — nas dwóch i dwóch ordynansów — ku



szosie chełmskiej; pod Białopolem, w pewnym punkcie krzyżujących się dróg leśnych, proponuje mi podchor. Barylski skrócić na boczną, krótszą drogę. Zgadzam się na propozycję, skręcamy z gościńca, i wyjechawszy dopiero z lasu, dowiadujemy się od zdumionego naszym widokiem karbowego w Strzelcach, że w tę stronę, skąd jedziemy, pojechała właśnie cała brygada Budiennego. Jednem słowem, nie wiedząc nic wzajemnie o sobie, otarliśmy się zaledwie o kilkaset kroków o siebie. Gdybyśmy pojechali gościńcem, bylibyśmy wpadli prosto w paszczkę potwora bolszewickiego i byłoby nam ciepło.

Jadąc do sztabu w Chełmie, widzę stojący koło kościoła oddział jazdy 1-go pułku strzelców konnych. Pułk ten nie należał do mojej dywizji i odpoczywał chwilowo w Chełmie, idąc z jednej bitwy ku drugiej w stronę Sawina. Pytam się pierwszego lepszego strzelca konnego, czy jest tu pan ppor. Kossak? — »A właśnie tam stoi, panie majorze« — odpowiada żołnierz, i wskazuje na grupkę kilku oficerów francuskich i polskich, stojących pod murem kościelnym tyłem do mnie. — Było to pierwsze i jedyne spotkanie się moje podczas wojny z synem Zygmuntem, pporucznikiem 1-go p. strzelców konnych; krótko ono trwało, bo nas w kwadrans obowiązki służbowe rozdzieliły. Na drugi dzień syn mój odznaczył się podczas akcji 1-go p. strzelców konnych, został rannym i otrzymał »Krzyż Walecznych«.

W tym przełomowym okresie, w sierpniu 1920 r., padł na posterunku dzielny major Wolff, były szef sztabu grupy zaniemeńskiej w początku 1919 r., a w tych dniach sierpniowych 1920 r. dowódca 25-go pułku piechoty. Stał ze sztabem i częścią swojego pułku z baterią artylerji pod Matczą, broniąc przyczółku mostowego nad Bugiem. Pewnej nocy zjawia się konno oficer sztabowy, niby polski, przed frontem tej

grupy, zaczyna najlepszą polszczyzną wypytywać się podoficerów i żołnierzy o rozmaite szczegóły, podsuwa się mimochodem ku baterji, a w danym momencie czołgający się w ciemnościach oddział bolszewicki rzuca się z wrzaskiem na baterję i kwaterę sztabu i pod komendą tego zdrajcy chce zagarnąć armaty. — Nie udała się impreza, bo czujny major Wolff ze swoimi oficerami wyleciał z kwatery, wypalił z najbliższego działu kartaczami w kupę bolszewicką, kręcącą się koło pozostałych armat, położył ich jednym tym strzałem zgórą 70 trupem — ale sam padł od kuli, która prze-strzeliwszy mu żołądek, wyszła przez wątrobę. Stałem z oddziałem, oddając mu honory, gdy go sanitariusz wioził trzęsącym wózkiem z Matczy do szpitala w Chełmie.

Z końcem tego epokowego sierpnia i początkiem września 1920 roku napięcie bojowe polskiego wojska dochodzi do szczytu; — my, kawalerzyści, ciągle na przedpolu pełniący służbę, nie wiemy nic, co się dzieje, ale żołnierskim instynktem czujemy, że idzie dobrze, że *la Pologne n'est pas foutue*. Trudy ponosimy niezwykle, tem bardziej, że nastąpił okres deszczów i błota; w tym czasie najwyższych wysiłków i nateżeń wychodzi rozkaz z dywizji, by nawet odsednione konie podawać w »stanie bojowym«, — okropny rozkaz dla dbającego o swój oddział dowódcy jazdy. Rozgoryczenie nasze na służbę przy piechocie dochodzi także do szczytu, — ale — »rozkaz«!!!... na odparzonych koniach wyjeżdża się oklep albo na derce do spania, bez siodła, na worku z sieczką, — robi się wszystko, co można, aby jednak oszczędzać tych wiernych towarzyszy.

Jednego z tych dni uganiamy się cały dzień między Raciborowicami a Maziarnią z jazdą Budiennego, — powożenie po naszej stronie; por. Łomnicki, por. Hochtaubel i Izdebski położyli ich sporo; z drugiej flanki por. Beyzym,



ppor. Tarnowski, chorąży Choynowski i dzielni plutonowi Taraszewski, Gierwatowski, Fiszer, wachmistrz Bardowski i wszyscy inni rzną tę dzicz z wściekłą zjadłością (brakuje dzielnego Henryka Kulczyckiego, dowódcy karabinów maszynowych — parę tygodni przedtem został ciężko rannym). Są straty i po naszej stronie, ale tylko w rannych. Koło 6-ej wieczorem wracamy zmordowani, zgłodniałi, do naszej kwatery, t. j. do kolosalnej stodoły w Białopolu, i padamy jak nieżywi na słomę, podczas kiedy ordynansi dają nam herbatę, a strzelcy, wyczyściwszy broń i konie, robią »ogonek« przy kuchniach szwadronowych. Deszcz leje jak z cebra; myśl, że tę noc prześpi się w stodole, pod dachem i na słomie, bez alarmu ze strony pobitego nieprzyjaciela, jest rozkoszna. — Konie, także zadowolone, parskają i jedzą owies przywieziony w snopach prosto z pola przez furazerów. Moja »Królowa« kokieta mnie ślicznemi oczyma, by dostać kawałek cukru. Jednem słowem, jest nam dobrze, i zabezpieczeni często zmianami posterunkami, zasypiamy.

— Telefon! — Zrywam się:

— Kto mówi?

— Adjutant 14-ej brygady generała Pogorzelskiego wzywa pana majora w imieniu generała na »odprawę« dziś w nocy.

O psia! Do sztabu brygady z Białopola 10 wiorst, stoi ten sztab w wioseczce Lipinki, w której nie byłem; drogi nie znam; wiem, że 3 wiorsty mam szosę do karczmy w Dryszczowie, na przecięciu szosy, a potem 7 wiorst bocznej, zupełnie nieznannej drogi; — noc i ciemności egipskie, bo deszcz leje.

— Rozkaz!

Jedziemy we dwóch z wiernym Borowskim; godzina 11 wieczorem jesteśmy przy karczmie w Dryszczowie, skąd mamy boczną drogą iść do wsi Lipinki. Zaczyna się sztur-

mowanie do ciemnych chałup i szukanie chłopą przewodnika. Trwa to godzinę, bo baby chowają swoich małżonków po chlewach i zakamarkach. Z rewolwerem w jednej ręce, a lartarką elektryczną w drugiej, szukam, jak Diogenes, »człowieka«. Znalazłem nareszcie, i po pewnym czasie, kiedy się z losem pogodził, — wcale nie złego. Idziemy w ciemnościach piechotą; idę przy przewodniku, który ma ręce związane postronkiem dla wszelkiej pewności; »Królowę« i swoją karą prowadzi Borowski w rękę, bo poco je mordować, kiedy i tak musimy stosować krok do przewodnika.

Godzina druga w nocy, kiedy przemoczeni do suchej nitki i zabłoceni po dziurki w nosie dochodzimy do małych Lipinek. W jednej chałupie widać światło: to kwatera sztabu 14-ej brygady. Melduję się u szanownego generała Pogorzelskiego, dla którego wszyscy oficerowie VII-ej dywizji mamy najgłębszy szacunek za spokój i uprzejmość bez względu na najgorsze choćby okoliczności, jakich nam losy wojny nie szczędziły. Generał Pogorzelski, poczęstowawszy mnie skromną generalską wieczerzą, daje mi wraz ze swoim szefem sztabu instrukcje na dzień dzisiejszy: O godzinie 7-ej rano mam się spotkać z oddziałem piechoty pułkownika Olszyny-Wilczyńskiego i z oddziałem tym rozpocząć akcję między Maziarnią a Stepankowicami.

Otrzymaawszy rozkazy dokładne, wracam z przewodnikiem tą samą drogą. Dopiero na szosie pożegnawszy przewodnika, wsiadamy z Borowskim na konie. Była godzina 6 rano, kiedy przyjechałem do Białopola z powrotem, mając akurat tyle czasu, by się przy studni oblać zimną wodą, zmienić przemoczoną bieliznę, wydać rozkazy dowódcom szwadronów i ruszyć na miejsce spotkania z oddziałem pułkownika Olszyny. Ale, z wyjątkiem mnie jednego, wszyscy moi oficerowie i szeregowcy wypoczęli tej nocy należycie. Zacytowa-



łem taką »jedną z tysiąca nocy«, żeby czytelnik-cywil wiedział, że wyższość rangi wojskowej nie jest wcale synonimem większych wygód, mniejszych trudów fizycznych. Podczas pokoju może tak jest, ale na wojnie, kiedy wszystko odpoczywa, — sztab nie śpi ani chwili: ciągle telefony, rozkazy, raporty, meldunki; w kwaterze sztabu danego oddziału świeci się światło całą noc, a każdy szef sztabu i dowódca oddziału jest nie tylko moralnie ale i fizycznie najbardziej umęczoną osobą!

Któregoś dnia w tym okresie czasu wezwany jestem telefonem do Chełma, do sztabu. Jadę na »Królowej« z Białopola i melduję się u szefa sztabu, majora Borowca. Sprawa ważna.

— Masz szpiega w swoim dywizjonie, czy bolszewickiego agenta — mówi major Borowiec. — Oto list tego twojego strzelca, pisany częściowo szyfrem. Defenzywa nasza poleca ci aresztować winowajcę i zrobić śledztwo.

Dziwi mnie ta sprawa, bo winowajca, półinteligent wiejski, bardzo odważny i sumienny żołnierz, nie patrzy mi na podejrzaną osobę. Zabrawszy szyfrowany list, wracam do Białopola i razem z por. Beyzymem bierzemy się do odczytywania szyfru. Zaczynając od  $a=1$ ,  $b=2$ ,  $c=3$  i t. d., trafiamy z punktu na ten prymitywny »szyfr« i z łatwością odczytujemy cały ten tajemniczy ustęp, który brzmiał: »Żałuj Józiek, że cię po szpitalu odesłali do domu, teraz tu życie morowe, bracie, żeby ten list nie wpadł mojej Maryśce w ręce, piszę do ciebie numerami, jakeśmy się to umówili, tylko Marysi ani słowa — powiadam ci we dnie łupimy to psiarstwo bolszewickie, a w nocy idzie człowiek pod pierzynę do pierwszej lepszej słomianej wdowy albo dziewczyny i dobrze«. Na drugi dzień oddałem szefowi sztabu oryginał listu wraz z przeczytanym »szyfrem« i śmiechu było co niemiara! Niewiernego narzeczonego Maryśki zawołałem do siebie i ostrzegłem,

żeby się więcej w tajemnicze »szyfry« nie bawił, bo mógłby wpaść w gorszą biedę.

Nadchodzi pora najzaciętszych walk — miesiąc wrzesień 1920 r. Wprawdzie po wyparciu wroga poza granice dawnej Kongresówki odetchnęła z ulgą Warszawa a za nią cały kraj, niemniej wiedzieliśmy z rozkazów operacyjnych, że bolszewickie plugastwo nie zrezygnowało jeszcze z napadu na Polskę; wiedzieliśmy, że pod Pińskiem i Kowlem gromadzą się nowe armje bolszewickie, organizowane zarówno ze świeżych dywizyj, idących z Rosji, jak i z odpartych band z pod Lwowa, Lublina i Warszawy. Wiadomem nam więc było dobrze, że czeka nas jeszcze ciężka robota wojenna, ale usposobienie i duch w armji polskiej jakże zupełnie inne były teraz, we wrześniu, niż miesiąc temu, w pierwszej połowie sierpnia. Wówczas krakali nad nami wszyscy; nawet wierni przyjaciele Francuzi odbierali nam otuchę i resztę wiary w możliwość odparcia wroga; depesze zagraniczne (berlińskie i wiedeńskie) donosiły o wzięciu Warszawy przez bolszewików; Żydzi, Niemcy i Litwini (t. zw. kowieńscy, czyli żydowsko-niemieckie parobki) nie ukrywali swej radości, — a teraz!... niezapomniany okres ciągłej naszej radości, bo mieliśmy już niezbitą pewność zwycięstwa, pewność ocalenia honoru oficerskiego i poczucie spełnionego do ostatka obowiązku względem zagrożonej Ojczyzny.

W tym to rozkosznym czasie, kiedy każdemu szczeremu żołnierzowi polskiemu jasno się na duszy zrobiło, ruszyliśmy na całej wschodniej granicy naszej »bezgranicznej« Rzeczypospolitej — do ofensywy!

Wszystko, co było dzielne i polskie, rzuciło się na tę hydrę stugłową, ziejącą jadem i smrodem, próbującą licznymi mackami zdusić umęczoną Polskę. Młodzież szkolna i rzemieślnicza, inteligencja starsza, zawodowcy, mieszczaństwo



i t. d. — Każdy prawy Polak szedł na front, nie dlatego, że na chodnikach widział co kilkadziesiąt kroków napis: »Idź na front!« i nie dla złudnych obietnic, wypisanych na gmachach państwowych: »Jak ty Ojczyźnie — Ojczyzna tobie!« Mocno musiałby być naiwnym ten, ktoby tę obietnicę wziął na serjo. Jak zgóry było widocznem i jak się pokazało obietnica ta spełnioną została w sensie odwrotnym, bo wynagrodzeni zostali suto paskarze, handlarze waluty, rozmaite tchórze pozafrontowe, karjerowicze wojskowi i cywilni, którzy zyskawszy protekcję wszechpotężnych »suwerenów«, chwyтали intratne posady, ziemię rządową, synekury i t. d. — Ci, co się przez cały czas wojny tłukli na froncie, a o interes osobisty dbać nie mogli, ci pozostali w zapomnieniu, a po demobilizacji bez zajęcia i bez dachu.

Cały miesiąc wrzesień 1920 r. to jeden długi cykl epizodów bohaterskich, epizodów, w których odznaczają się męstwem, odwagą i poświęceniem dla dobra Ojczyzny zarówno młodzi chłopcy, studenci, jak i starsi ludzie, żołnierze z zawodu lub chwilowo chwytający za broń w obronie kraju. Ginie ich, tych dzielnych, wielu, krwawią się serca matek, żon i narzeczonych; padają na polu chwały dowódcy pułków, bataljonów, szwadronów, baterij i kompanij, padają młodzi chłopcy... Jedyną pociechą najbliższych jest krzyż *Virtuti militari* lub »Krzyż Walecznych« zawieszony na mogile bohatera.

Z pośród licznych epizodów z tej epoki chcę opisać jeden, na który wówczas patrzyłem, a który jest niezbitym przykładem, na co może się ważyć choćby mały oddział, jeżeli zarówno dowództwo jak i żołnierze stoją na wysokości zadania, a nieprzyjaciół pod względem wartości bojowej i moralnej stoi o wiele niżej.

W pierwszej połowie września — jak już wspominałem — zaczęły się za linją Bugu formować nowe armje bolsze-

wickie, z których jedna (XII armja bolszewicka) grupowała się w Kowlu, druga zaś pod Pińskiem. Cała linja Bugu, t. j. lewy brzeg, był w naszych rękach, prawy zaś, broniony przez bolszewickie przyczółki mostowe, znajdował się jeszcze w tych dniach (12—13 września) w ręku nieprzyjaciela.

Celem zniszczenia i rozbicia całej zgrupowanej XII-ej armji bolszewickiej w Kowlu wyjeżdża dnia 12-go września, w południe, z Włodawy grupa wypadowa majora Bochenka ze sztabu generalnego, która ma zrobić rajd na samochodach na tyły nieprzyjaciela, przejechać dystans 170-wiorstowy (w tem 22 mosty) i cel — rozbicie XII-ej armji — osiągnąć.

Grupa majora Bochenka składała się z dwóch bataljonów (600) 11-go pułku piechoty majora Wanniczka, dwóch baterij (8 armat) pod majorem Pileckim, i kilkunastu karabinów maszynowych na 4 lekkich i 2 ciężkich samochodach opancerzonych. Wymienione dwa bataljony 11-go p. p. pod majorem Wanniczkiem rozmieszczone zostały na 30 samochodach ciężarowych, podane powyżej 8 armat przyczepione bez przodków (jaszczyków) do 8 samochodów ciężarowych. Jako szpica jechał na przodzie, na lekkim opancerzonym samochodzie ppor. Sulimierski, dawny mój ułan ze szwadronu wojew. mazowieckiego. Równocześnie z wyruszeniem tej kolumny wypadowej z Włodawy, atakuje nasza VII dywizja wszystkie przyczółki mostowe na Bugu, a mianowicie: Uhrusk, Świerże, Dorohusk, Dubienkę i Matczę, zdobywa je piorunującym uderzeniem i pędzi rozbitą czerń bolszewicką ku wschodowi. Mój 2 dywizjon 2-go pułku strzelców konnych idzie w przedniej straży przed sztabem VII-ej dywizji. Przeprawiamy się przez Bug pod Świerżami, ostrzeliwani rżęsiście przez bolszewicką artylerję. Strzelają Moskale celnie, ale tylko szrapnele wyrządzają nam szkodę, obsypując z góry kulami; granaty nie pękają — zaledwie jeden granat na sześć eksploduje, reszta ob-



sypuje nas piaskiem nadrzecznym albo wodą z Bugu. Wi docznie są to jeszcze granaty »Patent: Suchomlinow« b. ministra wojny, przyjaciela Rasputina, zdrajcy notorycznego, który wraz z rostrzelanym Miasojedowem był na żoldzie pruskim.

*Intermezzo* to nie psuje nam humoru; nawet gorsza rzecz: zmiana pogody, deszcz i błoto psujące drogi na poczeka niu — i to nie wpływa ujemnie na usposobienie, bo się już nie cofamy, idziemy naprzód!

Koło wsi Dubowa, o 5 kilometrów od Kowla w stronę Włodawy, skąd ma przybyć grupa wypadowa majora Bochenka, mamy się zatrzymać i na przybycie grupy zaczekać. Pozycja niezwykła, nieprzyjaciel na wszystkie strony w wielkiej sile. Wprawdzie i za nami idzie nasza VII, a na prawo od nas XVIII dywizja generała Krajowskiego, i nasz żołnierz pełen animuszu, a bolszewicki w panice, — niemniej uderzyć w 600 żołnierzy na kilkunastotysięczną armję, bez łączności ze swoją dywizją, — to wymaga od wszystkich uczestników wielkiej odwagi i determinacji.

Koło godziny 11-ej rano, dnia 13-go września, słysząc zdaleka turkot tych 36 samochodów z przyczepionemi 8 armatami. Cała grupa wypadowa staje na chwilę w Dubowej i opowiada o swoich przejściach. Wyjechali wczoraj po południu z Włodawy, wieczorem wzięli udział w bitwie pod Małorytem, gdzie nasza XVI dywizja atakowała ten punkt kolejowy, bijąc wroga i rozpędzając gromadzące się koło Pińska bolszewickie oddziały; grupa majora Bochenka zdobyła z działa kompletne wraz z zaprzęgami, i zostawiwszy zdobycz XVI-ej dywizji, pomknęła w dalszą drogę do Kowla. Wszystkie 22 mosty szosowe podpalili cofający się bolszewicy, nie dość jednak dokładnie, a i deszcz swoje zrobił, bo kolumna sa-

mochodowa przejechała przez pałacę się mosty szczęśliwie, i oto jest w Dubowej, o 5 kilometrów od Kowla.

Dywizje nasze: VII generała Szuberta i XVIII generała Krajowskiego, są jeszcze daleko, prawie o cały dzień marszu, gdzieś pod Maciejowem; grupa majora Bochenka rusza na-przód, by się w tem morzu bolszewickiem zagłębić. Wywiad wysłany w stronę Kowla melduje, że niedaleko, między Dubową a Kowlem, stoi duży oddział, około 2000 bolszewickiej piechoty. Wyładowują się nasi z samochodów, i 600 żołnierzy z 11-go pułku piechoty pod majorem Wanniczkiem uderza na nieprzyjaciela. W trakcie tego dywizjon mój zachodzi od skrzydła i zmierza ku torowi kolejowemu, by przerwać linję i zamknąć drogę opancerzonemu pociągowi.

Krótko trwa bitwa, bo bolszewicka hołota poddaje się. Stoją w szeregach, z ramionami wyciągniętymi do góry jak słupy, — jest tych jeńców 1800. Dobrze! ale co z tym fantem zrobić? Dawać konwój? osłabić swój oddziałek, który i tak rzucić się ma z motyką na słońce? Krótka narada dowódców grupy: broń i amunicja, karabiny maszynowe i taśmy do rzeki (tuż obok), a jeńcy dostają legitymację na kartce, że są więci do niewoli, i sami, bez konwoju, mają iść za grupą; ponieważ załoga polska siada na samochody i rusza ostro, leci i ta chmura bolszewickich bezbronných jeńców co siły w nogach za nami, ze strachem, by się nie spóźnić. Nic dziwnego, że cała grupa wypadowa, patrząc na to z wysokości samochodów, trzyma się ze śmiechu za boki.

Naprzód szpica ppor. Sulimierskiego, za nią cała grupa wypadowa, wpada w rejon olbrzymich zabudowań i linii kolejowych, jak i w środek miasta Kowla. Godzina pierwsza w południe: właśnie sztab i komisary siadały do obiadu, kiedy równocześnie na przestrzeniach ogromnej stacji kolejowej i w mieście zaczyna się sypać grad kul szrapnelowych, ka-



rabinowych i granatów. Dwa nieprzyjacielskie opancerzone pociągi, stojące zamknięte w obrębie stacji, biorą udział w walce i strzelają do naszej kolumny o kilkadziesiąt kroków. Sztab i żydy komisary uciekają samochodami na łeb na szyję; zaczyna się niewypowiedziane zamieszanie w mieście, na stacji i na przedmieściu. Nasze opancerzone samochody szprycują z karabinów maszynowych po wszystkich ulicach, jak troskliwy ogrodnik po kwiatowych rabatach; — artylerja nasza wali po transportach kolejowych, po niezliczonych taborach; pociski nasze rozrywają tor, uniemożliwiając normalną ucieczkę koleją, a cała przedmiejska okolica, gdzie stało zgórą 800 wozów taborów, jest w pół godziny tak zawałona trupami ludzi, koni, połamaniem wozami, skrzyniami, workami i t. d., że jadąc konno z towarzyszącym mi podczas tej imprezy oficerem francuskim »Commandant Connaught« nie możemy przejechać nawet »gęsiego«! Inteligentny, miły i dzielny, Francuz kręci się ze mną po tem piekle; oglądamy pobojuwisko, widzimy bezgraniczną panikę i ucieczkę na wszystkie strony; wierzyć się oczom nie chce, że ta garstka majora Bochenka rozpedziła, rozbiła, unicestwiła tę kilkunastotysięczną armję bolszewicką. Trupów bolszewickich leżą całe kupy, — niestety i biednych, niewinnych koni hekatomb! W jednym miejscu efekt jednego naszego pocisku, który wybuchnął wśród bolszewickiego taboru na szosie pod miastem, jest straszny. Na długości kilkudziesięciu kroków szosa zawałona jedną masą trupów ludzkich, końskich i szczątkami wozów. Widocznie ręka Nemezys, bo opodal, nad rowem szosowym, leżą zwłoki młodej, ładnej siostry Czerwonego Krzyża, zamordowanej widocznie przez zemstę, wbiciem koła drewnianego w łono! Widzimy żydków miejscowych, grzebiących na rozkaz polski 480 zabitych bolszewików w samym tylko mieście. Idąc ku olbrzymiej stacji, wступujemy do kolegów artylerzy-

stów, robiących nam honory w zdobytym, przepysznym opancerzonym pociągu — »Субботникъ« nazywa się ten »broniewik« po polsku »Szabaśnik«; — podle nazywa się z żydowska, niemniej jest wspaniały; — jeszcze takiego nigdy nie widziałem. Mój towarzysz »Commandant« zachwyca się także; ostatnie słowo techniki wojennej! Wzmocnieni kieliszkiem wódki dzięki gościnie rozpromienionych oficerów majora Pileckiego, idziemy dalej. Niezliczone transporty kolejowe, pełne różnych zapasów, broni, amunicji, mundurów i żywności — są już szarpane przez ludność miejscową. Odpędzamy rabusiów strzałami rewolwerowymi, ale mało co poradzić możemy, bo transportów stoi bez miary, — jeden drugiego zakrywa, a my za mało mamy żołnierzy, by obstawić wartami zdobyte bogactwa. Dywizjon mój z dowódcami szwadronów goni uciekającego nieprzyjaciela. Oglądamy pobieżnie zawartość wagonów: czego tam niema! Dwa nowe, nierozpakowane jeszcze aeroplany angielskie na lorach, mundurów letnich płóciennych, postolów plecionych z łyka (zamiast butów) kilkanaście wagonów, produktów spożywczych całe pociągi, bezmiar podków, haceli i hufnali, telegrafów polowych, telefonów, amunicji ogromne zapasy, armaty na lorach i t. d. Natrafiamy z kolei na pociąg propagandowy z »Kinem«, biblioteką w kilku wagonach i całemi stosami propagandowych kolorowych ilustracyj w kilku wagonach. Oglądamy te dzieła sztuki z towarzyszem Francuzem z wielkiem zainteresowaniem; ma się rozumieć treść mniej więcej zawsze ta sama: z jednej strony bolszewicki raj, gdzie wszystkim dobrze i słodko, gdzie wszyscy mają rozanielone i uduchowione twarze, — z drugiej strony ustrój stary, zgniły, burżuazyjny, gdzie wszystkim źle; proletarjat nieszczęsny o szlachetnych twarzach cierpi niewypowiedziane krzywdy od cara, policjanta i »pamieszczyka«, którym »kraśni« artyści dali nieludzkie mordy.



Znaleźliśmy i całą pakę obrazków z polskimi napisami, przeznaczonych dla Polski — śliczne arcydzieła!! — Cara tam już niema, policjanta dawnego autoramentu także, ale jest »pan« — a na niektórych i Naczelnik Państwa. — Fizjognomje »panów« wszystkich na jedno kopyto: pysk buldoga z dużemi wąsami; co ci panowie na tych obrazkach nie wyprawiają! Jest i drastycznie, bardzo *in crudo* przedstawione *ius primae noctis*, jak to »pan« porywa prosto od ołtarza niewinną dziewczę, co on z tą cnotą uciśnioną wyprawia, a jak pana młodego piorą po pysku »białogwardziści«, gdy staje w obronie oblubienicy! Jest i pięknie i równie »prawdziwie« przedstawiona pańszczyzna. Jednem słowem, wszystko tam było artystycznie przedstawione, coby sobie tylko Łańcucki albo Dąbał, albo inna kanalja wykoncypować mogła; były i czułe obrazki *ad usum* naszych żołnierzy. Oto rosyjski »towariszcz« wyciąga ramiona do żołnierzy Polaków; ci rwą się do tego szlachetnego przyjaciela, — cóż, kiedy polski oficer wali im z rewolweru w łby; dopiero kiedy oficer padł, zabity przez swoich, przedstawia dalszy ciąg obrazków wspólne szczęście połączonych »przyjaciół«. Krótko mówiąc, mieliśmy »artystyczną« ucztę, po której nam się trochę mdło zrobiło. Wsiadliśmy na konie i jedziemy do miasta. Godzina 6 wieczorem: — grupa wypadowa z majorem Bochenkiem pojechała zaraz po rozpędzeniu kowelskiej załogi w stronę Włodzimierza Wołyńskiego; major Wanniczek ze swymi żołnierzami barykaduje główne ulice i szosy, by się od jakiego ewentualnego napadu bolszewickiego zabezpieczyć; mój dywizjon wrócił z wypadu i bierze czynny udział przy wprowadzeniu jakiego takiego ładu i dozoru w mieście i na stacji — jednym słowem, ruch na całej linii, bo i obliczenie zdobywszy daje sporo zajęcia.

Oto rezultat tego niezwykłego wypadu: XII armja bolszewicka rozbita, i w panice ucieka ku wschodowi; wzięto do niewoli 3.000 jeńców, zdobyto 32 armat, dwa przepyszne opancerzone pociągi, dwa nowe aeroplany, 1.800 wagonów, pełnych wszelkiego dobra, kilkadziesiąt parowozów i 800 wozów taborów. Bolszewików padło w mieście 480 zabitych, — z naszej strony cała ta wygrana kosztowała życie trzech żołnierzy! Padł jeden żołnierz od piechoty, jeden szofer i jeden artylerzysta.

Rezultaty powyższe cieszą nas wszystkich nadzwyczajnie, — humory świetne. Major Wanniczek znalazł coś do zjedzenia, pałaszujemy po tych wrażeniach z wilczym apetytem, patrząc równocześnie na wielki młyn parowy naprzeciwko kwatery majora Wanniczka, w którym na wszystkich piętrach napakowano jak śledzi jeńców bolszewickich; okna mocno zakratowane, naprzeciwko zabitych drzwi posterunek polski i karabiny maszynowe do strzału gotowe.

Idziemy z kolegą Francuzem na miasto. Pierwszy raz widzę żydowskie twarze nie wrogo, a przeciwnie, życzliwie do nas się zwracające, — dziwne miasto!?! Oto idzie starszek kanonik, miejscowy proboszcz prowadzi pod rękę również starego patriarchę żyda; — w ten sposób manifestuje ks. kanonik swoją wdzięczność i uznanie dla miejscowego rabina, którego nieustającej opiece i obronie wobec czerezwyczajki zawdzięcza życie. Jakież inne żydki w tym Kowlu! Oto nasz gospodarz mówi do mnie i do moich oficerów: »Żałko, czto wy wczera nie przyszli, sam Trockij był zdieś«. *Suum cuique* — oddać każdemu co się należy: — wylałem dość zółci pod adresem »mniejszości narodowej« w tych wspomnieniach, niechże jedną kroplę »słodką« wpuszcze do tego puhara goryczy.



Wieczorem, koło 10-ej godziny, nadchodzą pierwsze czołowe oddziały naszej VII-ej i XVIII-ej dywizji; pozycja nasza »à la mysz pod miotłą« kończy się, liczne warty otaczają nieprzebrane skarby w materiale wojennym, kolejowym i mostowym, przygotowanym przez bolszewików do rekonstrukcji zniszczonych przez nas swojego czasu mostów kolejowych.

Wkrótce ruszyły obie dywizje w pościg za nieprzyjacielem. Mój 2-gi dywizjon 2-go p. strzelców konnych poszedł jako przednia straż pierwszy; pomaszerowaliśmy ku Stochodowi do Powurska, potem do Maniewicz nad Styrem. Dzielni moi chłopcy staczają tu i owdzie jeszcze drobne potyczki podczas wywiadów, ale właściwa akcja wojenna już skończona.

Dnia 24-go września 1920 r. opuszczam mój 2-gi dywizjon 2-go p. strzelców konnych, żegnam oba szwadrony stojące przedemną w rozwiniętym szyku, wyrażając wszystkim moim dzielnym oficerom, podoficerom i żołnierzom najgłębszą wdzięczność i uznanie za męstwo, za wierną służbę Ojczyźnie, za zawsze wysokie trzymanie honoru oddziału, który przez cały czas wojny otrzymywał wyłącznie zaszczytne wzmianki a nigdy nagannych. — Żegnając się z kolegami i żołnierzami po tylu bojach, trudach i przejściach moralnych, które nas ściślej ze sobą związały, odczuwam wyraźnie, że sympatje i uznanie są wzajemne, że rozstanie jest dla obu stron równie przykre.

Rozkazem Sztabu Generalnego wezwany zostałem na kursa dla wyższych oficerów jazdy przy szkole sztabu gen. w Warszawie, — rozkaz to zaszczytny i miły, ale rozstanie się z oddziałem bolesne.

Na tem kończę moje wspomnienia wojenne, wyrażając niniejszem wszystkim generałom, dowódcom grup, szefom sztabów, oficerom, kolegom i żołnierzom, których nazwiska w wspomnieniach moich wymieniłem — najgłębszą cześć i uznanie.

Zakopane, w zimie 1921/22.

---



## TREŚĆ

|                                             | Str |
|---------------------------------------------|-----|
| I. Służba w pierwszym Korpusie . . . . .    | I   |
| II. Na przymusowym urlopie . . . . .        | 14  |
| III. Warszawa w listopadzie 1918 r. . . . . | 20  |
| IV. Na froncie . . . . .                    | 38  |
| V. Wyprawa Kijowska . . . . .               | 80  |
| VI. Karta się odwraca . . . . .             | 119 |

---





# KRAKOWSKA SPÓŁKA WYDAWNICZA

W KRAKOWIE, UL. ŚW. FILIPA 25

poleca następujące wydawnictwa:

- Boy: Flirt z Melpomeną i inne flirciki. Wieczór trzeci.  
Ćwikowski Witold: Pierwszy ogień.  
Grabiński Stefan: Szalony pątnik. Nowele.  
Kaden-Bandrowski Juljusz: Bitwa pod Konarami.  
Kisielewski Zygmunt: Krwawe drogi.  
Ligocki Edward: Pustkowie. Opowiadania.  
Ligocki Edward: Tryumfatorzy. Poezje.  
Mączka Józef: Starym szlakiem. Poezje.  
Mereżkowski D. I.: Dekabryści. Powieść.  
Nowakowski Tempka Zygmunt: Wymarsz. Nowela.  
Orkan Władysław: Droga Czwartaków.  
Przybyszewski Stanisław: Powrót. Powieść.  
Rostworowski St.: Szablą i piórem.  
Szczucka z Kossaków Zofja: Pożoga. Wyd. III.  
Szczucka z Kossaków Zofja: Beatum scelus.  
Tetmajer Kazimierz: Cienie. Poezje.  
Wells H. G.: Janka i Piotr. Powieść w 2 tomach.  
Wolter: Powiastki filozoficzne, przełożył Boy. W 2 tomach.  
Żuławski Jerzy: Eros i Psyche. Powieść sceniczna.

DO NABYCIA

W KRAKOWSKIEJ SPÓŁCE WYDAWNICZEJ

KRAKÓW, UL. ŚW. FILIPA 25

W KSIĘGARNI JAGIELLOŃSKIEJ

KRAKÓW, UL. WIŚLNA L. 3

I WSZYSTKICH INNYCH KSIĘGARNIACH.